

Zofia Kossak • Narodziny jawnej opozycji • PZPR – partia władzy, pieniędzy i bezwstydu

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

NR 1–2 (182–183) styczeń–luty 2021

Dodatek DVD z filmem: **SKARGA**

BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI



numer indeksu 433713
nakład 15 000 egz.

A black and white historical photograph showing a group of people, including several children, looking out from the open doorway of a train car. The scene is crowded and appears to be from the period of mass deportations.

**WYGNANI
Z KRESÓW**

SPIS TREŚCI

Wysiedleńcy z Kresów Wschodnich

Grzegorz Chajko – Ekspatriacja.

Przymusowe przesiedlenia Polaków do „nowej Polski” 5

Do końca swych rządów komuniści głosili, że „ewakuacja” Polaków z Kresów Wschodnich to repatriacja, czyli powrót do ojczyzny. W rzeczywistości była to bezwzględna akcja wysiedleńcza.

Paweł Naleźniak – Problemy adaptacyjne.

Początki życia Kresowian na Ziemiach Zachodnich
i Północnych powojennej Polski. 13

Propagandowo nazwano je „repatriacją”, czyli „powrotem do ojczyzny”, a było to wygnanie, ekspatriacja i stanowiło ogromny wstrząs dla wielu Polaków, którzy na zawsze musieli opuścić rodzinną ziemię i przystosować się do życia w zupełnie nowych warunkach.

Jan Szumski – „Kwestia polska” na sowieckiej Białorusi 29



Na sowieckiej Białorusi, najsilniej zrusyfikowanej i zsowietyzowanej ze wszystkich nierosyjskich republik ZSRS, pozostało po operacji ekspatriacyjnej ponad pół miliona Polaków. Stanowili oni największą grupę naszych rodaków w Związku Sowieckim. Ta polska mniejszość nie istniała jednak ani w przestrzeni publicznej, ani w przekazie propagandowym, ani w relacjach białoruskich władz sowieckich z PRL. Miała rozplynąć się w masie ludzi sowieckich – wykorzeniona i pozbawiona świadomości narodowej.

„Repatrianci Lwowscy“

Mamy zaszczyt zawiadomić, że z dniem dzisiejszym został otwarty

przy ul. MATEJKI Nr. 2

Skład papieru i ksiąg handlowych,
przyborów biurowych,
szkolnych i rysunkowych.

Polecamy się Szanownej Publiczności

Święt Jan i Szuic Władysław

Kazimierz Krajewski,
Tomasz Łabuszewski – Operacja
„Zachód” 48

Wielka konspiracyjna ewakuacja AK-owców z Kresów Północno-Wschodnich przeprowadzona między majem 1945 a marcem 1946 r. to epopeja tragiczna. Uratowała życie ponad czterem tysiącom żołnierzy, którzy uchodzić musieli na zawsze z rodzinnych stron, a zarazem położyła kres zbrojnej walce o zachowanie polskości na Wschodzie.

Bogusław Tracz – Byle nie dalej
na zachód! Polacy z Kresów
na Górnym Śląsku 37

Pierwsi Kresowianie, głównie z województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, dotarli na Górny Śląsk w 1945 r., wkrótce po ukonstytuowaniu się polskich władz w Katowicach. Wielu z nich jeszcze długo żywiło nadzieję na powrót do swoich domostw na wschodzie.



Piotr Niwiński – Eksterytorialny
Okręg Wileński 65

W obliczu wysiedleń ludności i sukcesów sowieckiego aparatu bezpieczeństwa Komenda Okręgu Wileńskiego AK postanowiła przerzucić partyzantów na bezpieczniejsze tereny i odbudować swe struktury w Polsce centralnej.





Tomasz Balbus – Eksterytorialny Okręg Lwowski AK-WiN i jego rozbicie przez bezpiekę 82

Akcja „Burza” w Obszarze Lwowskim AK, wspólne walki polskiego podziemia i czerwonarmistów wkraczających na Kresy Południowo-Wschodnie II RP, a zaraz potem represje sowieckich służb bezpieczeństwa nie zakończyły epopei konspiracji lwowskiej. Kres położyła jej dopiero operacja „Radwan”.

Mariusz Maszkiewicz – Ekspatriacja i repatriacja. Polityka PRL i III RP wobec rodaków na Kresach 95

Sylwetki

Adam Hlebowicz – „Nie damy pogrześć mowy”.
Jan Plater-Gajewski (1909–1998) 104

Komentarze historyczne

Sebastian Ligarski – „Pomożecie?” Edward Gierek w Szczecinie i Gdańsku (24/25 stycznia 1971 roku) 114
Andrzej Boboli – Zmiany w konstytucji PRL 122
Cecylia Kuta – Sprzeciw wobec zmian konstytucji PRL.
Narodziny jawnej opozycji antykomunistycznej 130
Radosław Peterman – „Ja już jestem magistrem, a wy jeszcze nie”.
Walka o Niezależne Zrzeszenie Studentów 140

Dariusz Zalewski – PZPR – partia władzy, pieniędzy i bezwstydu 156

Gdy zawałił się system komunistyczny, nikt nie płakał po Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jej dotychczasowe elity myślały już, jak zadbać o siebie w nowej rzeczywistości.





Polskie Rodziny

Kinga Hałacińska – Ocalał,
by dać świadectwo.

Władysław Siemaszko 165

Pisarze Niepodległości



Marek Klecel – Ocalona z zagłady.

Żywot heroiczny Zofii Kossak

(1889–1968) 179

Pożegnanie

Adam Hlebowicz – Na samotnej
wiedzie. Wspomnienie

o ks. prof. Romanie Dzwonkowskim SAC
(1930–2020) 192

Śp. Szczepan Siekierka 198

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
Adam Hlebowicz, dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr hab. Sebastian Ligarski, dr Agnieszka Łuczak,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr Wojciech Muszyński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
dr Filip Gańczak (filip.ganczak@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski
(jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko –
zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Andrzej Sujka (andrzej.sujka@ipn.gov.pl),
Ewa Tylus (ewa.tylus@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat: Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny: Sylwia Szafrńska
Projekt okładki i łamanie:
Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres do korespondencji:
ul. Postępu 18, 02-676 Warszawa

Druk:
LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

Na okładce: Wysiedleni z Kresów.
Fot. Archiwum Państwowe w Katowicach



Przeładunek dobytku ekspatriantów z wagonów kolejowych na furmanki, Gdańsk, październik 1947 r. Fot. PAP

Grzegorz Chajko

Ekspatriacja

Przymusowe przesiedlenia Polaków do „nowej Polski”

Do końca swych rządów komuniści głosili, że „ewakuacja” Polaków z Kresów Wschodnich to repatriacja, czyli powrót do ojczyzny. W rzeczywistości była to bezwzględna akcja wysiedleńcza.

„To przesiedlanie [...] Polaków odbywało się w warunkach potwornych. Można by je zestawić z wywożeniem kilku milionów sztuk bydła. Brak wagonów do przewożenia. Długie czekanie na transport na stacjach kolejowych nawet w miesiącach

zimowych pod szafasami. Długie wleczenie się wagonów i postoje przez całe dni na różnych bocznicach kolejowych. Nieludzka udręka chorych i starców, matek z małymi dziećmi umierającymi w drodze z wyniszczenia, niewygód i chorób. To wszystko jest osobnym rozdziałem wyniszczania narodu przez piekielny Kraj Rad¹.

Założenia

Przesiedlenia organizowane przez władze komunistyczne miały na celu zaludnić ziemię nowego państwa polskiego Polakami, którzy opuścili kraj w czasie II wojny światowej lub znaleźli się poza nim z powodu przesunięcia granic. W zamyśle więc zjawisko miało dotyczyć zarówno polskich emigrantów, którzy przed 1939 r. lub tuż po nim znaleźli się na terenie państw zachodnioeuropejskich i Ameryki, oraz Polaków, którzy po ustaleniach konferencji teherańskiej i jałtańskiej przebywali się na terenie Związku Sowieckiego. Ziemię polskie, wyludnione wskutek akcji eksterminacyjnej prowadzonej przez okupanta, a także tzw. Ziemię Odzyskane potrzebowały nowych gospodarzy, ludzi do pracy. Z tego też względu sprowadzenie do kraju jak największej liczby Polaków w jak najkrótszym czasie, stało się od samego początku zadaniem priorytetowym dla władz. W działania te zaangażowano wszelkie struktury administracyjne w Polsce oraz placówki dyplomatyczne.

Początek przesiedleń – Państwowy Urząd Repatriacyjny

Na mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 7 października 1944 r. powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR). W początkowym okresie działalności organ ten zajął się problemem repatriacji, czyli – w nazewnictwie propagandowym – akcji powrotu Polaków do „nowej” ojczyzny, przy jednoczesnym wysiedlaniu ludności niemieckiej z Ziemi Odzyskanych. W kolejnych miesiącach, w toku dalszych prac legislacyjnych, obwieszczeniem ministra administracji publicznej z 17 lipca 1945 r., PUR poszerzył działalność na państwa zachodnie. Urząd ten miał się zajmować opieką sanitarno-żywnościową, koordynować akcję relokacji i udzielać pomocy w zakresie gospodarczej odbudowy warsztatów pracy.

¹ J. Anczarski, *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939–1946*, oprac. J. Wołczański, wyd. 2, Lwów – Kraków 1998, s. 492–493.



Dziecko bawi się w wagonie towarowym, Gdańsk, październik 1947 r. Fot. PAP

Dynamicznie zmieniająca się sytuacja na terenach powojennej Polski zmusiła władze do reorganizacji zakresu działania PUR i przeniesienia jego zadań na inne podmioty. Już w listopadzie 1945 r. kwestie organizacji akcji repatriacyjnej poza granicami kraju zostały powierzone Generalnemu Pełnomocnikowi Rządu ds. Repatriacji w randze wiceministra, który to urząd podlegał odtąd Ministerstwu Ziem Odzyskanych. Do tegoż resortu został włączony PUR, który kilka lat później – 22 marca 1951 r. – w ogóle zlikwidowano.

„Repatriacja”, czyli ekspatriacja

Proces ekspatriacji Polaków mieszkających na Kresach – terenach zagarniętych u schyłku wojny przez ZSRS – przebiegał zgoła odmiennie niż powrót do kraju z innych części Europy i świata. Przede wszystkim o ich wyjeździe do „nowej Polski” decydowało przesunięcie granic. Do końca swych rządów komuniści głosili, że była to repatriacja, czyli powrót do Ojczyzny, choć tak naprawdę była to bezwzględna akcja wysiedleńcza.

Podstawę prawną do relokacji ogromnej rzeszy ludzi uzyskano na mocy umowy zawartej 6 lipca 1945 r. między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej w War-

szawie a rządem Związku Sowieckiego o prawie zmiany „obywatelstwa radzieckiego” osób narodowości polskiej i żydowskiej mieszkających na obszarze ZSRS i ich „ewakuacji do Polski” oraz o podobnym prawie dotyczącym osób narodowości rosyjskiej, litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej zamieszkałych w Polsce. Według danych urzędowych, na mocy wspomnianego dokumentu, do Polski przesiedlono do 1947 r. ponad 266 tys. ludzi z dawnych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, co stanowiło ok. 1/3 wszystkich Polaków przebywających w Związku Sowieckim. Reszta pozostawała w rozproszeniu na terytorium całego państwa sowieckiego oraz w łagrach. Szacuje się, że do lata 1947 r. do Polski przyjechało ponad milion osób. Po tej dacie przyjazd możliwy był już tylko na zaproszenie rodziny przebywającej w Polsce lub na podstawie decyzji władz sowieckich, co czyniono m.in. wobec osób zwalnianych z łagrów, a wywodzących się z przedwojennej inteligencji.

Rzeczywistość ekspatriacji

Przemieszczanie się ludności polskiej z Kresów Wschodnich na centralne tereny II RP rozpoczęło się wcześniej niż instytucjonalne i prawne rozwiązania komunistycznych władz. Już bowiem po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. i przesunięciu się linii frontu na wschód część ludności przeniosła się za Bug ze względu na lepszą i stabilniejszą sytuację materialną na tych ziemiach. Niebawem też, po intensyfikacji mordów dokonywanych na ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów, podobnie postępowali ocaleni Polacy, chociaż niektórzy z nich pozostawali na Kresach i grupowali się na miejscu w większych wioskach i miastach, co dawało im poważniejsze możliwości obrony i przeżycia. Przejście w 1944 r. frontu wojny z powrotem na zachód zdecydowanie pogorszyło warunki egzystencjalne ludności, w dalszym ciągu nękanej atakami ukraińskich band, niesłabnącym rabunkiem, żyjącej w nieustannym lęku. W tej skrajnie niebezpiecznej i trudnej sytuacji możliwość wyjazdu stała się z jednej strony swego rodzaju wybawieniem, z drugiej zaś łączyła się z koniecznością opuszczenia rodzinnych stron, pozostawienia swoich majątków, dziedzictwa, kultury, kościołów, grobów bliskich oraz udania się w nieznaną i budowania swojego życia od podstaw. Realia te powodowały, że u wielu pojawił się żal za utraconą małą ojczyzną, u innych zaś wewnętrzne rozdarcie i dylemat: zostać mimo wszystko czy wyjechać? Decyzja nie była łatwa, tym bardziej że Polacy widzieli, w jakich strasznych warunkach odbywały się wcześniejsze sowieckie deportacje na Syberię.



Ekspatrianci rozładują transport ziemniaków, Gdańsk, październik 1947 r. Fot. PAP

Z relacji świadków

Osoby, które przeżyły ekspatriację, zachowały w pamięci przygnębiający obraz ostatnich godzin przed wyjazdem i samego przejazdu w nowe miejsce. Część z nich spisała swoje wspomnienia i dzisiaj są one cennym źródłem pozwalającym poznać tragizm tamtych czasów. Najlepiej więc oddać głos świadkom.

W przeddzień wyjazdu ekspatriacyjnego z Tarnopola, w dniu 22 maja 1946 r., tamtejszy wikariusz ks. Józef Anczarski zanotował: „Jutro już wyjeżdżamy. Jest transport. Długi skład wagonów czeka na stacji. Paskudne i obskurne są te wagony. Krytych i zamkniętych jest mało, najwięcej otwartych, które normalnie służą do wożenia węgla, kamieni czy cegły do budowy domów. Najgorsze są te zupełnie gołe bez żadnego obrzeża. I na tym mają jechać całe rodziny ze swoim dobytkiem, z krowami, końmi, nierogacizną, kurami i wszystkim, co dało się zabrać. Także i z paszą dla bydła. Jak się z tym wszystkim rozmieścić? Miejsca niesłychanie mało. Ale ludzie i tak się cieszą, że wreszcie mają te wagony. Niektórzy czekali na nie całymi tygodniami, koczując w szałasach przy torach. Przy ładowaniu jest niesamowite podniecenie i ogromne ludzkie utrudzenie. [...] Dzisiaj pod wieczór mamy wyjechać. To już ostatni dzień naszego pobytu w tym mieście i na tej ziemi. Ostatnia Msza św. w naszym kościele. I mówią nam, że wyjeżdżamy na zawsze, że Polska już nigdy tutaj nie wróci. Zostawiamy

to Bogu i Jego zrządzeniom. My tu już teraz nie mamy nic do powiedzenia. Jest jak jest. Wyrzucają nas gwałtem, przemocą i rzeziami”².

Jan Burlikowski tak zapamiętał ostatnie chwile w sanktuarium Matki Bożej w Brzozdowcach: „W tym dniu [16 października 1945 r.] miała się dopełnić ostatnia ofiara Mszy Świętej w tej kilkaset lat istniejącej polskiej parafii. Wyszedł z nią ostatni jej proboszcz ks. Michał Kaspruk. Usługiwał kościelny Sanocki. Już od samego początku głos mu się łamał. Nie było takiej osoby w kościele, której nie stanęły łzy w oczach. Ostatnia odczytywana Ewangelia. Homilii nie było. Wszystko było jasne, oczywiste, tragiczne. Łzy były wymowną homilią. Ostatnie Podniesienie. Oczy zebranych zwróciły się ku Hostii – czy to możliwe, że po raz ostatni dopełnia się ta Ofiara? Nadszedł moment Komunii świętej. Ksiądz proboszcz zapowiedział, że dziś każdy do Niej przystępujący otrzyma więcej hostii, tak aby wszystkie były spożyte. [...] W kilkusetletniej brzozdowieckiej parafii i w prawie dwieście lat liczącym kościele Świętego Krzyża, przestała płonąć wieczna lampa. W przekonaniu ks. proboszcza i wszystkich obecnych na tej Mszy św. niedługo to miało trwać. Wojna się wnet skończy, sprawy zostaną uregulowane, wrócimy do Brzozdowiec i znowu zapalimy wieczną lampkę”³.

Transporty z ekspatriantami wyruszyły w wielotygodniową podróż w nieznaną. Docierały głównie na Ziemię Odzyskaną, gdzie tereny opustoszałe wskutek wysiedlenia Niemców potrzebowały nowych gospodarzy. Najliczniejsze grupy przybyły z Małopolski Wschodniej i skierowały się przede wszystkim na Górny Śląsk do Wrocławia. Niejednokrotnie zdarzało się, że Polacy z danej miejscowości kresowej wraz ze swoim duszpasterzem zasiedlali w całości poniemiecką miejscowość i rozpoczynali nowe życie. Z pozostałych regionów kresowych wyjechało znacznie mniej transportów, gdyż te ziemie, poza Wileńszczyzną, były w mniejszym stopniu zamieszkałe przez Polaków. W tym czasie stosunkowo niewiele osób opuściło także Wołyń, bo wcześniej – o czym była już mowa – wielu naszych rodaków zostało tam zamordowanych lub przeniesiono się stamtąd za Bug.

² *Ibidem*, s. 494, 497.

³ J. Burlikowski, *Moje miasteczko Brzozdowce. Krótka historia parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Brzozdowcach w Archidiecezji Lwowskiej*, oprac. R. Brzuchański, Kraków 2003, s. 84, 91.



Zdjęcie propagandowe – „Uroczyste wręczenie aktów nadania ziemi dla osiedleńców z Kresów Wschodnich”, listopad 1946 r. Fot. PAP

Akcja H-T – dopełnienie przesiedleń

Ostatnie przymusowe zbiorowe wysiedlanie ludności polskiej z Kresów Wschodnich w granice „ludowej” Polski nastąpiło w październiku i listopadzie 1951 r. Na mocy tajnej umowy ze Związkiem Sowieckim o zamianie odcinków granicznych terytoriów państwowych, podpisanej 15 lutego 1951 r., a ratyfikowanej ustawą z 26 maja tegoż roku, część powiatu hrubieszowskiego z miejscowościami Bełz, Krystynopol, Uhnów, Waręż i zachodnią częścią Sokala oraz innymi okolicznymi wsiami została przekazana ZSRS. W zamian Polska otrzymała fragment Bieszczadów z Ustrzykami Dolnymi. Przesiedlenie zorganizowano wówczas pod nazwą „Akcja H-T” (od nazw dwóch wysiedlanych powiatów: hrubieszowskiego i tomaszowskiego). Zgodnie z porozumieniem każde z państw obejmowało w posiadanie terytorium

sąsiada wraz z całym znajdującym się na nim nieruchomym majątkiem i zrzekało się jakichkolwiek pretensji o rekompensatę. Każda strona otrzymała prawo do własnego mienia ruchomego pod warunkiem wywiezienia go z oddawanego obszaru.

Ponieważ chodziło o dość niewielki teren, liczący 480 km kw., przesiedlenie nie miało takiego charakteru jak to z lat 1944–1946. Było też lepiej zorganizowane, chociaż emocje wysiedlanych się nie zmieniły. O relokacji informowały rządowe media, w tym komunistyczne „Nowiny Rzeszowskie”, które relacjonowały przyjazd mieszkańców Ziemi Bełskiej w Bieszczady. Stosowały przy tym typowy dla siebie język euforii i sukcesu, który i tym razem mijał się z realiami życia:

„Tego samego dnia, kiedy władze radzieckie przekazały te tereny Polsce, przystąpiły do pracy rady narodowe, komitety partyjne. Przyjechało 30 lekarzy, którzy objęli szpital i punkty sanitarne, władze kolejowe objęły dworce. Przyjechało 25 nauczycieli.

Dzień i noc przychodziły transporty z ludźmi, którzy mieli się tu osiedlić. Dzień i noc pracował aktyw partyjny, pracowali ludzie z ekip transportowych, z komisji osiedleńczych.

Dzień i noc z bezgraniczną cierpliwością wysłuchiowano próśb i życzeń, rozwiązywano palące zagadnienia. Wszystko było pilne, wszystko trzeba było załatwić zaraz – chodziło o ludzi, którzy tu zamieszkają i rozpoczną normalną pracę.

Chodziło wyłącznie o ludzi, bowiem wszystkie urządzenia zastaliśmy na miejscu. Urządzenia kopalni ropy i kin miejscowych, świetlic i drukarni, linie telefoniczne i biurka w urzędach, ławki szkolne i biurowe przybory do pisania. Wszystko to pozostawione jako widomy znak braterskich stosunków między narodami zawierającymi umowę – czekało na nas, aby ułatwić nam zagospodarowanie się na tych terenach⁴.

⁴ *Ziemia ropy płynąca*, „Nowiny Rzeszowskie”, 16 XI 1951 r., s. 3.



Grzegorz Chajko (ur. 1979) – historyk, dr hab., pracownik Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Autor książek: *W służbie Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie. Szkic biograficzny ks. Teofila Skalskiego 1877–1958* (2008); *Arcybiskup Bolesław Twardowski (1864–1944). Metropolita lwowski obrządku łacińskiego* (2010); *Archidiecezja lwowska obrządku łacińskiego w latach 1914–1918. Materiały źródłowe* (2018); *Kościół rzymsko-katolicki w Bełzie 1867–1939* (2019) i in.



Paweł Naleźniak

Fot. PAP

Problemy adaptacyjne

Początki życia Kresowian na Ziemiach Zachodnich i Północnych powojennej Polski

Propagandowo nazwano je „repatriacją”, czyli „powrotem do ojczyzny”, a było to wygnanie, ekspatriacja i stanowiło ogromny wstrząs dla wielu Polaków, którzy na zawsze musieli opuścić rodzinną ziemię i przystosować się do życia w zupełnie nowych warunkach.

Według oficjalnych danych wypędzenia Polaków z ziem wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1944–1946 objęły ok. 1,2 mln osób¹. W rzeczywistości Kresy Wschodnie opuściło ok. 2 mln Polaków i był to największy transfer przesiedleńczy w dziejach naszej Ojczyzny².

¹ *Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944–1947*, oprac. S. Ciesielski, Warszawa 2000, s. 399.

² Był on większy od tego, do którego doszło po zawarciu traktatu ryskiego w latach 1921–1924, a który objął 1,1 mln osób, por.: Cz. Żołędziowski, „Pierwsza repatriacja”. *Powroty i przyjazdy osiedleńcze do Polski ze wschodu po II wojnie światowej*, „Studia Migracyjne – Przegląd Polonijny” 2017, z. 1 (163), s. 79.

Uładzeni *Sami swoi*

Znanym polskim filmem fabularnym, który opowiada o trudnym procesie adaptacji ekspatriantów na Ziemiach Zachodnich, jest komedia *Sami swoi*, ukazująca losy dwóch skonfliktowanych ze sobą rodzin: Pawlaków i Karguli. Udana pod wieloma względami produkcja nie odbiega generalnie od prawdy, ale zawiera też sporą dozę przemilczeń. Prawdziwe są słowa Kazimierza Pawlaka o kilku tygodniach nieregularnej podróży; jego troska o to, aby dowieźć krowę bezpiecznie do celu; obawy ekspatriantów przed oddaleniem się od pociągów w czasie postojów, bo bywało, że odjeżdżały bez zapowiedzi; obraz opustoszałego miasteczka na Ziemiach Zachodnich z niemieckimi napisami na budynkach; osiedlanie się byłych Kresowian obok siebie; zakłopotanie, a nawet niezadowolenie z powodu wyższego poziomu cywilizacyjnego nowych domów i gospodarstw; pomoc z UNRRA; napływ przybyszów z Polski centralnej; niemieccy duchowni³, niemieckie cmentarze, a także spowiedź w tym języku; używanie bimbru jako waluty; brak poczucia bezpieczeństwa: zaminowane pola, dywersyjna działalność Werwolfa, powojenny szaber; oraz postępująca stopniowo adaptacja przesiedleńców.

Film nie pokazuje jednak – z oczywistych względów – dlaczego w ogóle doszło do wspomnianego exodusu: że, prócz aneksji Kresów Wschodnich przez ZSRS, wymusił go także sowiecki terror⁴, potęgowany dodatkowo przez wciąż aktualne zagrożenie ze strony nacjonalistów ukraińskich⁵. Nie zobaczymy również

³ Jeszcze w 1945 r. niemieccy kapłani stanowili na Ziemiach Zachodnich i Północnych ponad połowę duchowieństwa. Trzeba jednak przyznać, że na ogół bez uprzedzeń i ofiarnie spełniali swą posługę wobec Polaków. Późniejsza koegzystencja z duchownymi przybywającymi z Kresów nie układała się już harmonijnie. Zob. Cz. Osękowski, *Spółczesność Polski zachodniej i północnej w latach 1945–1956. Procesy integracji i dezintegracji*, Zielona Góra 1994, s. 216–217; F. Sikorski, *Ze wzgórz na doliny*, [w:] *Skąd my tu? Wspomnienia repatriantów*, red. K. Tyszkowska, Wrocław 2008, s. 47; M. Sobków, *Do innego kraju*, [w:] *Osadnicy. Nowe życie Kresowiaków na Ziemiach Zachodnich. Nadzieje i niemoc wobec władzy ludowej*, wybór i oprac. A. Knyt, Warszawa 2014, s. 48.

⁴ Jego przejawem było nie tylko wypieranie Polaków z ich posiadłości przez przydzielanie ich sowieckim przybyszom, lecz również, podobnie jak w latach 1940–1941, aresztowania, zapełnianie więzień i deportacje w głąb ZSRS. Do pozostania na miejscu nie zachęcały również fatalne warunki bezpieczeństwa, postępująca sowietyzacja, depolonizacja i dechryścianizacja Kresów. Por. G. Hryciuk, *Sprawa Lwowa właściwie otwarta: między nadzieją a zwątpieniem – Polacy we Lwowie w 1945 r.*, „Dzieje Najnowsze” 2005, nr 4, s. 132–135; S. Lewandowska, *Spółczesność polska Wilna wobec nowej rzeczywistości. Postawy i nastroje 1944–1945*, „Dzieje Najnowsze” 2005, nr 4, s. 83–88.

⁵ J. Anczarski, *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939–1946*, oprac. J. Wołczański, Lwów – Kraków 1998, s. 414, 418.



Fot. PAP

kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu ludzi stłoczonych w jednym wagonie ani odpłacania się raz po raz kolejarzom⁶, aby transport mógł jechać dalej, ponieważ burzyłoby to założony z góry pozytywny obraz „repatriacji”. Rodzina Pawlaków podróżuje na zachód osobnym wagonem, podczas gdy w rzeczywistości połowę z nich przydzielano jedynie profesorom uczelni wyższych. Przyjaznych stosunków polsko-sowieckich nie psują gwałty, wymuszenia i grabieże dokonywane przez żołnierzy Armii Czerwonej, a sprawcami tych ostatnich są wyłącznie szabrownicy. Nie wspomniano też słowem o wspólnej, trudnej egzystencji Polaków i Niemców pod jednym dachem i transferze tych ostatnich za Odrę. Osadzeni na poniemieckich gospodarstwach ekspatrianci dość szybko zaczynają się czuć jak na swoim, podczas gdy w rzeczywistości poczucie tymczasowości towarzyszyło niektórym z nich do końca życia.

„Repatriacja” miała się dokonywać równolegle, co oznaczało, że przesiedleńcy z Wileńszczyzny, Nowogródziny i Polesia powinni byli zasiedlić Warmię,

⁶ Zob. m.in.: A. Poczoska, *Dzieci Jajty. Exodus ludności polskiej z Wileńszczyzny w latach 1944–1947*, Toruń 2003, s. 263; B. Kubit, *Z Kresów na Śląsk. Przesiedlenie ludności polskiej z dawnych województw wschodnich II Rzeczypospolitej do Glin w świetle wspomnień*, [w:] *Kresowianie na Górnym Śląsku*, red. B. Tracz, Katowice – Gliwice 2012, s. 151.

Mazury i Pomorze, a ci z Wołynia i Małopolski Wschodniej – Górny i Dolny Śląsk. Mieszkańcy Lwowa mieli się znaleźć w Bytomiu, Gliwicach, Opolu i we Wrocławiu, a z Wilna – w Olsztynie, Gdańsku i Szczecinie. Władze wiedziały o antysowieckim nastawieniu mieszkańców Kresów, zwłaszcza inteligencji, dlatego skutecznie rozproszyły środowiska uczelniane po różnych miastach. Inaczej było w przypadku wiosek, które niejednokrotnie przesiedlały się na Ziemię Zachodnie i Północne w całości. Ekspatriantom nie było znane miejsce skierowania transportu, a o tym, gdzie się zatrzymywali i wyładowywali swój dobytek, decydował często czysty przypadek, np. dłuższy postój czy niespodziewane spotkanie znajomych lub przyjaciół. Wielu decydowało się zresztą później na zamieszkanie gdzie indziej, a ci, którzy najbardziej liczyli na rychły powrót na Kresy, osiedlali się na stałe w Polsce centralnej⁷.

Życie na walizkach

Podstawę prawną wysiedleń stanowiły tzw. umowy republikańskie zawarte przez marionetkowy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego⁸ z rządami sowieckich republik: Litewskiej, Białoruskiej i Ukraińskiej. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego były one nieważne, co przy oczywistej już sowieckiej dominacji w tej części Europy nie miało większego znaczenia. Dlatego zresztą „repatriacja” rozpoczęła się już w grudniu 1944 r., gdy trwała jeszcze II wojna światowa, a w rękach Niemców znajdowały się nie tylko przyszele tzw. Ziemie Odzyskane, lecz także Kraków i Warszawa⁹. Związkowi Sowieckiemu zależało jednak na szybkim „odpolszczeniu” Wilna i Lwowa, by przesądzić na własną korzyść wynik ewentualnego plebiscytu na spornych ziemiach. Priorytety wojenne sprawiły, że z powodu obciążenia linii kolejowych podróz na zachód była nieproporcjonalnie długa w stosunku do odległości, a pomoc, którą mogły zapewnić przesiedleńcom organa Państwowego Urzędu Repatriacyjnego – niewystarczająca. Niektóre

⁷ J. Ragankiewicz, *Wypędzeni*, „Semper Fidelis” 1995, nr 2 (25), s. 22; B. Kubit, *Gliwiccy Kresowianie*, Gliwice 2011, s. 55–58; *idem*, *Z Kresów...*, s. 152.

⁸ Konkurencyjny wobec Rządu RP na Uchodźstwie organ władzy powołany 21 lipca 1944 r. w Moskwie przez Józefa Stalina, całkowicie zależny od ZSRS.

⁹ W maju 1945 r. zakończyły się walki o Wrocław i Głogów, a to, czy Szczecin znajdzie się ostatecznie w granicach państwa polskiego, rozstrzygnęło się dopiero w lipcu tegoż roku.

punkty etapowe PUR-u mieściły się w zrujnowanych budynkach, zupełnie do tego nieprzystosowanych, albo wręcz pod gołym niebem¹⁰. W wielu z nich brakowało łaźni, dezynfektorów, leków i środków opatrunkowych, co sprzyjało szerzeniu się epidemii i chorób. Samowola i zbrodnie popełniane przez rabusiów i żołnierzy Armii Czerwonej¹¹ pogłębiały rozgoryczenie i frustrację ekspatriantów. Niektórzy z nich próbowali nawet wracać na Kresy.

Akcja przesiedleńcza trwała już od ośmiu miesięcy, a jeszcze nikt nie wiedział, gdzie będzie przebiegała przyszła granica między Polską a Niemcami¹². Niepewność towarzyszącą przesiedleńcom z tego powodu znakomicie oddaje pytanie, jakie filmowy Witold Pawlak skierował do swego ojca: „Oj Tatko, gdzie my trafili? A może to już nie jest Polska?”. Lęk przed powrotem Niemców powodował, że wielu ekspatriantów spędzało życie na walizkach, a niektórzy zdecydowali się nawet na porzucenie domów i gospodarstw. Kwestię granicy polsko-niemieckiej uregulowały dopiero częściowo postanowienia konferencji poczdamskiej. Ziemie Zachodnie i Północne przekazano jednak Polsce tylko w administrację, odkładając ostateczne rozstrzygnięcia do czasu konferencji pokojowej, a jednocześnie zobowiązując władze w Warszawie do humanitarnego wysiedlenia ludności niemieckiej¹³.

„Wszystko należało do wszystkich”

W ogólnym bilansie ponemieckie miasta i wsie przejęte przez Rzeczpospolitą reprezentowały wyższy poziom wyposażenia technicznego niż te pozostawione

¹⁰ Taka sytuacja panowała w Katowicach-Ligocie, ponieważ Armia Czerwona zajęła baraki przeznaczone dla przesiedleńców. Dramatycznie było też w Opolu, gdzie z powodu braku środków transportowych na rampie koczowało 20 tys. osób. W Legnicy całodzienne wyżywienie ekspatriantów stanowiły zaledwie dwa kubki gorzkiej herbaty, 200 gramów czarnego chleba i zupa bez tłuszczu, por.: *Przesiedlenie ludności polskiej...*, s. 251, 352.

¹¹ Zob.: J. Hera, *Ekspatriacja z Kresów – zapomniana tragedia*, „Arcana” 2003, nr 49, s. 95; J. Wieliczka-Szarkowa, *Czarna księga Kresów*, Kraków 2011, s. 320.

¹² Na konferencji jałtańskiej uzgodniono jedynie, „że Polska powinna uzyskać istotny przyrost terytorialny na północy i na zachodzie [...] że we właściwym czasie trzeba będzie zasięgnąć opinii nowego Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej co do wielkości tego przyrostu oraz że ostateczne ustalenie zachodniej granicy Polski będzie odroczone do konferencji pokojowej”. Zob. A. Patek, Z. Zblewski, *Polska i świat w latach 1918–1993. Teksty źródłowe*, Kraków 2001, s. 197–198.

¹³ Por. L. Pastusiak, *Teheran, Jalta, Poczdam. Wielka Trójka o zachodniej granicy Polski*, „Niepodległość i Pamięć” 2017, nr 24/1 (57), s. 97–98.

na Kresach Wschodnich. Wiele z nich zostało jednak w końcowym etapie wojny w znacznym stopniu zniszczonych¹⁴, co było efektem nie tylko ciężkich walk, lecz i celowych niemieckich wyburzeń, a potem sowieckich podpaleń¹⁵. Znalazienie w nich lokum nadającego się do zamieszkania stanowiło niejednokrotnie poważne wyzwanie. Pochodzący z Wileńszczyzny Józef Woźniak, który znalazł się w zburzonym Barczewie, wspominał: „Pierwsze wrażenie było bardzo przygnębiające. Wszędzie gruzy, brak światła i wody, płoty połamane, szyby w oknach powybijane, klamki powyrywane, dachówki na dachach pobite i wszędzie, wszędzie dookoła chwasty. [...]. Miasteczko wymarłe, jak po jakiejś chorobie zakaźnej. Ile trudu i wysiłku trzeba będzie włożyć, aby przywrócić je życiu”¹⁶.

Inaczej było w niezniszczonej części Legnicy, gdzie możliwości wyboru wręcz onieśmiały. Jan Kurdwanowski wspominał: „Miasto stało otworem. Można było wziąć w posiadanie mieszkanie, willę, kamienicę... Po lekarzu, po bankierze, po generale. Można było dom podpalić. [...]. Nie było żadnej władzy. Nie obowiązywało żadne prawo poza moralnym. Nie było własności prywatnej zatruwającej stosunki między ludźmi. Wszystko należało do wszystkich i do nikogo. Można było brać w posiadanie, nie odbierając innemu. Można było niszczyć, nie niszcząc cudzego. [...]

To bogactwo, którego można było brać, ile się chciało [...] wielu ludziom odbierało rozum. [...] większość pionierów, oszołomiona i oślepiąca nieograniczonymi możliwościami, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca zamieszkania. [...]. Ci »bezdumni« spiali obok stołówek, a dniem chodzili zwykle po kilku, od willi do willi, nie mogąc podjąć decyzji. Temu nie odpowiadało, że weranda wychodziła na północ; fortepian był w nieodpowiednim kolorze; okna to za duże, to za małe;

¹⁴ Do takich ośrodków należały m.in.: Bolesławiec, Braniewo, Brzeg, Elbląg, Gdańsk, Gliwice, Głogów, Gorzów Wielkopolski, Iława, Kamień Pomorski, Kołobrzeg, Krosno Odrzańskie, Legnica, Malbork, Nidzica, Nysa, Piła, Racibórz, Stargard, Strzelce Opolskie, Szczecin, Świnoujście i Wrocław. W ogólnym bilansie zniszczenia wojenne na ziemiach przejętych przez Polskę po wojnie były większe niż w centrum kraju. Zob. S. Banasiuk, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemach Odzyskanych w latach 1945–1947*, Poznań 1963, s. 69–70; Cz. Osękowski, *Spółeczeństwo Polski zachodniej i północnej...*, s. 28–29.

¹⁵ Przykładem może być los Gdańska, który po zdobyciu go przez Armię Czerwoną był spalany i niszczone. Zob. M. Żakiewicz, *Gdańsk 1945. Kronika wojennej burzy*, Gdańsk 2011, s. 77, 87–88, 104, 118, 135.

¹⁶ Cyt. za: W. Gieszczyński, *Państwowy Urząd Repatriacyjny w osadnictwie na Warmii i Mazurach 1945–1950*, Olsztyn 1999, s. 139.



Wysiedlenie Niemców ze Szczecina, 1946 r. Fot. PAP

żyrandol nie przypadł do gustu; nie takie meble”¹⁷.

Konieczność adaptacji w nowym miejscu stanowiła dla większości Kresowian duże wyzwanie. Zanim dotarli na Ziemię Zachodnie, uprzędziły ich tysiące przybyszów z Polski centralnej. Nie brakowało wśród nich „niebieskich ptaków”, dla których był to swoisty Dzikie Zachód. W ramach tzw. dzikiego osadnictwa zajmowali

oni lepsze domy i gospodarstwa, nad czym nie bardzo byli w stanie zapanować struktury PUR-u. Wiele terenów było pokrytych minami, rozkładającymi się trupami żołnierzy i padliną. W licznych domach mieszkali jeszcze Niemcy, którzy odnosili się do przybyszów z rezerwą i na różne sposoby próbowali ich zniechęcić do osiedlania się¹⁸. W dodatku, jak pisze ks. Andrzej Hanich, „wszystko tu było inne – krajobraz, klimat, jakość gleby, zabudowania gospodarcze, wyposażenie mieszkań, nagrobki na cmentarzu, wystrój kościoła czy kapliczki, a nawet klimat nabożeństw i śpiew wiernych w kościele”. Nic dziwnego, że duży odsetek osadników zachowywał się początkowo bardzo biernie, „miotając się pomiędzy nadzieją na powrót a wypieranym ze świadomości przeświadczeniem, że rozstanie z ziemią rodzinną jest ostateczne”¹⁹.

Propaganda wmawiała Kresowianom, że w nowej Polsce będzie się im żyć lepiej i dostatniej. Tymczasem nie zawsze udawało się zamienić ubogi wiejski dom na wschodzie na piękny na zachodzie. Poczucie krzywdy sprawiało, że wielu ludzi

¹⁷ J. Kurdwanowski, *Odzyskiwanie miasta*, [w:] *Osadnicy...*, s. 26–28.

¹⁸ Na przykład informowali, że na danym terenie panuje tyfus, lub wywieszali na swych domach polską flagę, por. M. Ordyłowski, *Życie codzienne we Wrocławiu 1945–1956*, Wrocław 1991, s. 72.

¹⁹ A. Hanich, *Powojenna „repatriacja” Polaków z Kresów Wschodnich na Śląsk Opolski*, [w:] *Kresowianie na Śląsku Opolskim*, red. M. Kalczyńska, Opole 2011, s. 64.



Fot. PAP

zatracało krytycyzm i wyolbrzymiało swój poprzedni stan posiadania. Michał Sobków wspominał: „Jeśli ktoś miał pod domem gruszę, nazywał ją sadem, motylkę zaliczano do maszyn rolniczych”²⁰.

Nawet jeżeli nowe lokum było dalekie od oczekiwań, umęczeni ludzie odczuwali ulgę, że nadszedł wreszcie kres tułaczki. Jeden z ekspatriantów wspominał: „Dotarliśmy do Ludźmierzyc 6 stycznia 1946 r. Przyjechaliśmy do domu, gdzie wszystkie okna były powybijane. [...] Rozłokowaliśmy się w dużej kuchni. Prądu nie było. Ojciec jakoś zabezpieczył okna, rozpałił w piecu, przyniósł z szopy słomę, rozścielił na podłodze. To był nasz pierwszy od tak dawna luksusowy nocleg pod dachem. Jaka to była radość – ciepło, mama ugotowała nam makaron”²¹.

Trudne sąsiedztwo

W 1945 r. na Ziemiach Zachodnich i Północnych mieszkało jeszcze ok. 3,5 mln Niemców²². Wzajemne relacje między ekspatriantami a nimi układały się różnie. Polacy byli zmuszeni – w trosce o swój byt – do wypierania ich z domów, gospodarstw oraz majątków i wielu towarzyszył z tego powodu duży dyskomfort moralny. Niestety, nie brakowało również takich, którzy za swe cierpienia mścili się na Niemcach, traktowali ich jak niewolników i uważali to za najlepszą legityma-

²⁰ M. Sobków, *Do innego kraju...*, s. 57.

²¹ *Wysiedlenia, wypędzenia i ucieczki 1939–1959. Atlas ziem polskich*, red. W. Sienkiewicz, G. Hryciuk, Warszawa b.d.w., s. 95.

²² Cz. Osękowski, *Spoleczeństwo Polski zachodniej i północnej...*, s. 83.

cję swej polskości. Michał Sobków wspominał: „[...] nawet ci, którym Niemcy nie zrobili krzywdy podczas okupacji, patrzyli na nich jak na raroga. [...]. Każdy uważał się za męczennika i bohatera, a zwyczajny, nawet najbardziej szlachetny Niemiec był dla nich draniem”²³. Znany jest przypadek starszej niemieckiej kobiety, która uniknęła wypędzenia, ale została przez nowych właścicieli wygoniona do przydomowej komórki i tam spędziła resztę życia²⁴.

Wspólnota losu wypędzanych powodowała jednak niejednokrotnie, że pojawiały się odruchy solidarności. Granice niechęci najszybciej przełamывały dzieci i młodzież – tu rodziły się koleżeństwa, sympatie, a nawet miłość²⁵. Również wielu dorosłych, mimo że było to ogólnie źle postrzegane, traktowało swych niemieckich sąsiadów po ludzku i dokarmiało ich w niedostatku. Mieszkanie w jednym domu zmuszało do wspólnego gospodarowania, z kolei niejedna fabryka starała się wyreklamować od wysiedleń niemieckich specjalistów. Sporadycznie między Polakami i Niemcami zawiązywały się nawet małżeństwa²⁶. Obraz nie byłby jednak pełny, gdybyśmy nie wspomnieli o dywersyjnej działalności Werwolu oraz powodujących śmierć i zniszczenie pułapkach minowych zastawianych w opuszczonych domach²⁷.

Ekspatrianci byli traktowani wrogo przez rodaków z Polski centralnej, którzy zasiedlając Ziemię Zachodnie, z braku wiedzy nazywali konkurencyjnych dla siebie przybyszów ze wschodu Ukraińcami albo Ruskimi. W stosunkach z autochtonami utrudnieniem była nieznajomość gwary śląskiej lub kaszubskiej, miejscowej kultury i zwyczajów, a z ukraińskimi przesiedleńcami – tragiczne doświadczenia związane z ludobójczą akcją OUN i UPA w latach 1943–1945. Na Warmii i Mazurach dochodziło też do sporów o kościoły, ponieważ osadnicy byli katolikami, a autochtoni w większości ewangelikami. O wzajemnej niechęci i uprzedzeniach najlepiej świadczyły przezwiska, jakimi obdarzano siebie nawzajem: „niemcy”, „luteraki”, „bose antki”, „centralaki”, „złodzieje”, „ruski”, „parsuki”, „zabugole”, „ukraińcy”, „chachały” i „kacapy”²⁸. Wzajemnej integracji najbardziej sprzyjały

²³ M. Sobków, *Do innego kraju...*, s. 54.

²⁴ Informacja udzielona autorowi przez Teresę Brzeską 2 lutego 2010 r.

²⁵ F. Sikorski, *Ze wzgórz na doliny...*, s. 48; M. Sobków, *Do innego kraju...*, s. 54–55.

²⁶ F. Sikorski, *Ze wzgórz na doliny...*, s. 52.

²⁷ A. Fastnacht-Stupnicka, *Saga wrocławska*, Wrocław 2015, s. 211.

²⁸ Cz. Osękowski, *Spółczesność Polski zachodniej i północnej...*, s. 110.

Kościół rzymskokatolicki²⁹, religijność koncentrująca się wokół cudownych wizerunków maryjnych przywiezionych z rodzinnych stron oraz edukacja³⁰. Na Ziemiach Zachodnich i Północnych nie doszło nigdy do zbiorowych samosądów ani pogromów, a na wypędzenie Niemców reagowano najczęściej obojętnie³¹.

Czas bezprawia

Ekspatriacja postawiła przed Kresowianami wiele wyzwań. Ich dawne społeczności lokalne przestały istnieć, a oni sami znaleźli się na terenie nasyconym zupełnie inną kulturą. Powodowało to konieczność adaptacji poniemieckiego mienia: domów, gospodarstw, zakładów pracy, kościołów, budynków użyteczności publicznej. Utrudniało ją zagrożenie nie tylko ze strony Werwofu, lecz również żołnierzy Armii Czerwonej, a także pospolitych rabusiów. Rejonowy Inspektor Osadnictwa z Namysłowa tak opisywał sytuację na podległym mu terenie: „Warunki bezpieczeństwa zarówno repatriantów zza Bugu, jak i przesiedleńców są niemalże żadne. Pojedynczy żołnierze przechodzących oddziałów sowieckich, jak i miejscowi komendanci sowieccy wsi robią z repatriantami to, co im się podoba.

Pomijając sprawę, że każdy repatriant i osiedleńca jest zmuszony do pracy na folwarkach, którymi administrują władze sowieckie, oraz że w niektórych wsiach miejscowa komenda rosyjska nie pozwala zacząć żniw Polakom. Zachodzą coraz częściej przypadki nie tylko samowolnego przez żołnierzy rosyjskich zabierania koni i bydła, ale i wypadki gwałcenia kobiet polskich.

Jeśli tego [*sic!*] stan rzeczy będzie trwał dalej, to czujemy się w obowiązku zakomunikować już teraz, że akcja osiedleńcza wymaganego i spodziewanego rezultatu nie da. Dochodzi do tego, że mamy codziennie dziesiątki zgłoszeń po przepustki na wyjazd z powrotem do domu, ponieważ według relacji osiedleńców życie w tego rodzaju warunkach staje się rzeczą niemożliwą³².

O ile przed szabrownikami broniono się, barykadując drzwi na noc, o tyle uzbrojeni sowieccy żołdaci byli praktycznie bezkarni. Wkraczając na tereny należące dotychczas do Rzeszy, traktowali oni całą zastaną tam populację jako Niem-

²⁹ *Ibidem*, s. 219.

³⁰ *Ibidem*, s. 195.

³¹ F. Sikorski, *Ze wzgórz na doliny...*, s. 57.

³² *Przesiedlenie ludności polskiej...*, s. 241.



Fot. AIPN

ców. Wiosną 1945 r. kilkadziesiąt tysięcy Górnoślązaków, w tym bardzo wielu autochtonów Polaków, deportowano do pracy przymusowej w ZSRS. Również w stosunku do ekspatriantów czerwonooarmiści dopuszczali się napadów, grabieży³³, gwałtów na kobietach, a nawet zabójstw osób usiłujących się temu wszystkiemu przeciwstawić. W ogólnym bilansie trzeba jednak powiedzieć, że napływowa ludność polska była traktowana przez zwycięzców lepiej niż Niemcy czy autochtoni³⁴.

Szaber, bimbrownictwo i inne plagi

Przesiedlenia spowodowały, że Zabuzanie stali się nagle ludźmi bez własności, która dawałaby im poczucie bezpieczeństwa. Stąd tak charakterystyczna dla wielu z nich dążność do szybkiego wzbogacenia się. Frustracja znajdowała swój wyraz zarówno w nadmiernym gromadzeniu poniemieckiego mienia, jak i w jego bezsensownym niszczeniu. W pierwszych powojennych latach były to dwa nieodłączne zjawiska towarzyszące adaptacji Polaków ekspatriowanych z Kresów. Jan Kurdwanowski wspominał: „Szabrem mienia porzuconego zajmowali się chyba wszyscy, nieporzuconego nie było. Typowy szabrownik, z pustym workiem przerzuconym

³³ F. Sikorski, *Ze wzgórz na doliny...*, s. 45; A. Kownacka-Góral, *Pierwsze lata na Śląsku*, [w:] *Kresowianie na Śląsku Opolskim*, red. M. Kalczyńska, Opole 2011, s. 237; B. Kubit, *Gliwicy...*, s. 79.

³⁴ M. Bystrzycki, *Bumaga dla komandira ratuje życie*, [w:] *Sami swoi i obcy. Prawdziwe historie wypędzonych*, wybór M. Maciorowski, Warszawa 2011, s. 134–135.

na plecy, ruszał z domu po porannej miętówce. Szedł od domu do domu, wypatrząc najwartościowszych rzeczy i najłżejszych przedmiotów. Tym wymaganiom najbardziej odpowiadały dwa towary: czółenka do maszyn i skóra. Potem dopiero szły kryształ, srebra stołowe i cokolwiek, co wyglądało na srebro. Na widok fotela obciążonego skórą szabrownik sięgał po nóż, wycinał polec skóry i wrzucał go do worka. Wydawać by się mogło, że gdy worek się napełnił, szabrownik powinien wrócić do domu. Ale nie. Szedł dalej pomimo ciężaru na plecach, z nadzieją, że trafi na coś jeszcze lepszego. I trafił. Skóra na innym fotelu prezentowała się bardziej okazale, więc wycinał nowy polec, wyrzucał poprzedni. [...].

Nigdy nie spotkałem tylu osób opukujących ściany w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Czasem pruli podejrzane kanapy, materace, pierzyny³⁵.

Także osiadły w Krośnie Odrzańskim Zdzisław Żaba wzmiankował: „Tłumy wyrostków tłukły kamieniami eleganckie żyrandole, lustra, urządzenia łazienek, porcelanę, powiększając i tak już straszliwe zniszczenie. Obrazy bez ram i ramy bez obrazów wały się po podwórkach, książkami palono w piecach. Wszędzie barbarzyński nieład³⁶.

Wskutek szabru wiele budynków mieszkalnych pozbawionych okien, drzwi i futryn nie nadawało się już do zamieszkania. Władze próbowały walczyć z tym procederem, wydając szereg zarządzeń, zsyłając winnych do obozów pracy, a także wypłacając premie tym, którzy przyczyniali się do ujawnienia ukrywanego mienia niemieckiego lub zatrzymania wywożonego bez zezwolenia³⁷. Na niewiele się to zdało – zjawisko potępiane tak przez władze, jak i Kościół rzymskokatolicki było powszechnie akceptowane jako rekompensata za straty materialne poniesione w czasie wojny.

Częstym procederem było również niszczenie niemieckiej własności publicznej. Przywołany już Zdzisław Żaba próbował przeciwstawić się – z mizernym skutkiem – paleniu przez brygadę robotników bezcennych dokumentów archiwalnych. „Podniosłem jakiś skoroszyt z kupy śmieci, rzuciłem okiem. Były to dane dotyczące rugowania języka polskiego z Dolnego Śląska, tajne sprawozdania kierowników szkół.

³⁵ J. Kurdwanowski, *Odzyskiwanie miasta...*, s. 29.

³⁶ Z. Żaba, *Wrocław w nasz*, [w:] *Osadnicy...*, s. 81.

³⁷ S. Banasiuk, *Działalność osadnicza...*, s. 73.

– Odłożysz pan to czy nie? – ozwał się niemiły głos. – To szwabskie.

– Ależ tu są ważne dla naszej historii dokumenty, które należy ocalić. Trzeba zawiadomić Ministerstwo Ziem Odzyskanych.

– Jakie znów ministerstwo? Mam rozkaz spalić to wszystko, bo to szkopskie. A wyście co za jeden, że tak to was obchodzi? Może wy folksdojcz albo autochton?

Milczałem. Nadzorca dokumentów brutalnie wyrwał mi cenne dokumenty. Zwalono je na kupę gorącego popiołu, za chwilę spłonęły³⁸.

Aby zmniejszyć poczucie wyobcowania Polaków zasiedlających Ziemię Zachodnie i Północne, władze same przeprowadzały szybką ich polonizację połączoną z usuwaniem lub niszczeniem śladów niemieckiej przeszłości, takich jak tablice, pomniki, a nawet cmentarze. Niestety, w tym pseudopatriotycznym zapale, który udzielił się wielu Kresowianom, unicestwiono również wiele dzieł sztuki.

Frustracja powodowała, że wśród nowych osadników szerzyła się plaga bimbrrownictwa. W dodatku alkohol był walutą, za którą od żołnierzy Armii Czerwonej można było kupić dosłownie wszystko. Nic dziwnego, że produkowano go nielegalnie w wielu domach, co skutkowało wzrostem pijaństwa. W okresie tym duży problem stanowiła także rozwiązłość, która potęgowała wzrost zachorowań na choroby weneryczne.

Ekspatrianci przekonani o tymczasowości swego położenia pracowali na swych nowych gospodarstwach bez entuzjazmu, a niektórzy wręcz trawili czas na picciu alkoholu i zabawach³⁹. Wielu dręczyła tęsknota, której przejawem było namiętne wracanie myślami do rodzinnych stron. Poeta Adam Zagajewski wspominał: „Chodziłem więc ulicami Gliwic z moim dziadkiem [...], ale w istocie spacerowaliśmy po dwu różnych miastach. [...] Mój dziadek, mimo że siedł tuż przy mnie, przenosił się w tym samym momencie do Lwowa. Ja siedłem ulicami Gliwic, on Lwowa”⁴⁰.

Sukces podszyty traumą

U wielu czas nie uleczył nigdy traumy spowodowanej utratą ojcowizny. Żyjąc w poczuciu tymczasowości, w rozdarciu między starym i nowym światem, nie roz-

³⁸ Z. Żaba, *Wrocław nasz...*, s. 83–84.

³⁹ Cz. Osękowski, *Spółczesność Polski zachodniej i północnej...*, s. 76.

⁴⁰ Cyt. za: B. Kubit, *Gliwicy...*, s. 9.

pakowywali swych bagaży, nie sadzili drzew, nie budowali domów, „nie naprawiali rynien ani centralnego ogrzewania, [a] potem masowo cierpieli na reumatyzm w wilgotnych i zimnych pomieszczeniach. Patrzyli obojętnie na sterty porzuconych maszyn i narzędzi rolniczych, które rdzewiały w przeciekających stodołach. [...] Jeśli mieli taką możliwość, wysyłali swoje dzieci do centralnej Polski. Obiektywnie rzecz ujmując, ich los był równie tragiczny jak dola wypędzonych Niemców, których ziemię i mienie z takimi oporami przejęli. Ich sytuację można podsumować trzema słowami: apatia, alkoholizm, alienacja⁴¹. Cena, jaką zapłacili za arbitralną decyzję wielkich mocarstw, była bardzo wysoka.

W latach 1955–1959 Ziemię Zachodnie zasilila kolejna fala przesiedleńców, wśród których, oprócz trwających dotąd na „straconym posterunku” polskich mieszkańców Kresów, znalazło się także ponad 22 tys. łagierników – żołnierzy Armii Krajowej oraz zesłańców z głębi ZSRS. Proces ich adaptacji przebiegał niejednokrotnie jeszcze boleśniej⁴².

Powojenna odbudowa Ziemi Zachodnich i Północnych, utrudniana rozmiarem zniszczeń⁴³ i grabieżą poniemieckiego majątku przez Sowieców, zakończyła się sukcesem. Nie byłoby to możliwe, gdyby większość Kresowian nie zdołała się przystosować do nowych warunków i nie włączyła się z zapałem w tworzenie zrębów nowego życia, odbudowę zniszczonych domów, zagospodarowywanie ziemi, uruchamianie fabryk, gospodarstw i urzędów. Za przykład pionierskiej działalności mogą służyć zwłaszcza nauczyciele, wykładowcy i rodzice uczniów, którzy sami remontowali i przystosowywali budynki szkół i uczelni do potrzeb edukacyjnych⁴⁴.

⁴¹ N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego*, Kraków 2003, s. 478.

⁴² Zob. T. Gleb, M. Strasz, *Inaczej niż w snach*, „Karta” 1993, nr 10, s. 48–61.

⁴³ Na przejętym obszarze spośród 9225 zakładów przemysłowych aż 6727 uległo (w różnym stopniu) zniszczeniu. Linie kolejowe były zniszczone w 63 proc., a tabor kolejowy aż w 97 proc. Zburzonych zostało 70 proc. mostów rzecznych, niemal wszystkie mosty drogowe oraz co najmniej 60 proc. urządzeń portowych. Zniszczeniu uległo lub zostało uszkodzonych 27,5 proc. zagród wiejskich. Jedynie 45 proc. budynków szkolnych nadawało się do tego, by bezpośrednio rozpocząć w nich naukę. Na Żuławach ok. 120 tys. ha ziemi zostało zalanych przez wodę na skutek przerwania wałów i zniszczenia przez Niemców stacji pomp odwadniających. Zob. S. Banasiuk, *Działalność osadnicza...*, s. 67; Cz. Osękowski, *Spółczesność Polski zachodniej i północnej...*, s. 28, 197.

⁴⁴ W tym początkowym okresie wielu dzieci nie posyłano jeszcze do szkół ze względu na złe warunki bezpieczeństwa. W 1947 r. w dużej części szkół okna były zabite deskami, a z powodu braku opału budynki zamykano w czasie największych mrozów. We Wrocławiu trudne warunki



Niemiecka ludność Szczecina w punkcie zbiornym przed wysiedleniem, 1946 r. Fot. PAP

Kresowianie powoli wrastali w tworzącą się na nowo polską historię Wrocławia, Opola, Bytomia, Gliwic, Legnicy, Szczecina i Olsztyna, tu zakładali rodziny i wychowywali dzieci. Nie wstydziła się swych korzeni, o czym świadczyły choćby takie prywatne inicjatywy, jak cukiernia Lwowianka czy bar Kresowy. W miejscowe kultury wnieśli swój specyficzny humor, wileński akcent, lwowski bałak, temperament, życzliwość, otwartość i gościnność. Swą „polską kresowość” wpisali na trwałe w kod cywilizacyjny Ziemi Zachodnich i Północnych, co najlepiej widać na przykładzie Wrocławia i Gdańska.

lokalowe wymusiły wprowadzenie w wielu szkołach systemu dwuzmianowego. Profesorowie Uniwersytetu Wrocławskiego prowadzili zajęcia w płaszczach i czapkach, ogrzewając co jakiś czas ręce na małych piecykach elektrycznych. Brakowało książek i podręczników. Zob. M. Ordyłowski, *Życie codzienne we Wrocławiu...*, s. 200–201, 214.

» **Kresowian wypędzonych do Polski pojałtańskiej niesłusznie, aż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, nazywano repatriantami. W dowodach osobistych wpisywano im jako miejsce urodzenia ZSRS.** »

też to, że w dowodach osobistych wpisywano im jako miejsce urodzenia ZSRS. Nie mieli takich możliwości jak wypędzeni w Republice Federalnej Niemiec, którzy zakładali organizacje oraz związki i z pomocą państwa prowadzili szeroką akcję dokumentacyjną. Ekspatriantów z Kresów jako świadków zniszczonej polskości tych ziem skazano na trwającą prawie pół wieku niepamięć, uznając, jak słusznie zauważył Ryszard Legutko, że są oni „nieprzyjemną, lecz nieuniknioną i per saldo opłacalną ceną za zwycięstwo i postęp”⁴⁵. A przecież to dzięki wypędzonym z Kresów Ziemi Zachodnie i Północne, oderwane przed wiekami od macierzy, znowu nasiąkają polsnością.

Kresowian wypędzonych do Polski pojałtańskiej niesłusznie, aż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, nazywano repatriantami. O tym, że byli instrumentalnie traktowani przez władze komunistyczne, świadczy

⁴⁵ *Koncepcja Muzeum Kresów w Warszawie*, <http://slowopolskie.org/koncepcja-muzeum-kresow-w-warszawie/> [dostęp: 23 XII 2020 r.].



Paweł Naleźniak (ur. 1971) — historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Krakowie. Autor: skoroszytu edukacyjnego (z D. Gorajczykiem, J. Szarkiem, A. Zechenter) *Na szlakach historii w Małopolsce. Galeria wielkich Polaków* (2015); teki edukacyjnej (z H. Głębockim, D. Gorajczykiem, M. Mastowskim, A. Zechenter) *„Operacja polska” NKWD 1937–1938. Losy Polaków w Rosji bolszewickiej i w ZSRS do 1939 roku* (2017). Organizator małopolskiego projektu edukacyjnego „Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku” (od 2012 r.).

**W numerze 11(180)2020 na s. 96 błędnie podpisałimy autora zdjęcia.
Autorem jest Janusz Tomczak.
Przepraszamy.**



Jan Szumski

Fot. AIPN

„Kwestia polska” na sowieckiej Białorusi

Na sowieckiej Białorusi, najsilniej zrusyfikowanej i zsowietyzowanej ze wszystkich nierosyjskich republik ZSRS, pozostało po operacji ekspatriacyjnej ponad pół miliona Polaków. Stanowili oni największą grupę naszych rodaków w Związku Sowieckim. Ta polska mniejszość nie istniała jednak ani w przestrzeni publicznej, ani w przekazie propagandowym, ani w relacjach białoruskich władz sowieckich z PRL. Miała rozptynać się w masie ludzi sowieckich – wykorzeniona i pozbawiona świadomości narodowej.

O kreslenie „kwestia polska” brzmi dla ucha badacza dziejów Polski znajomo i nasuwa skojarzenie z dziewiętnastowiecznym dążeniem do postawienia na arenie międzynarodowej sprawy odbudowy niepodległej Rzeczypospolitej z ziem trzech zaborów. Ale w Imperium Rosyjskim, a później Związku Sowieckim kwestia ta (ros. *polskij wopros*) miała rangę problemu wewnętrznego, którego

rozwiązanie wymagało wyboru strategii, metod i praktyki asymilacji Polaków w procesie tworzenia jednolitej przestrzeni państwowej. Rosja bolszewików deklarowała odrzucenie dziedzictwa „więzienia narodów” i możliwość zaspokojenia na swoim terytorium aspiracji narodowych, kulturalnych i społecznych Polaków. Rzeczywistym celem władzy była jednak zmiana polskich elit narodowych na polskojęzycznych obywateli sowieckich, czyli ludzi z nową tożsamością.

Od autonomii do okupacji

W dwóch autonomiach – Polskim Rejonie Narodowym im. Juliana Marchlewskiego (Marchlewszczyźnie) powstałym w 1925 r. na sowieckiej Ukrainie oraz Polskim Rejonie Narodowym im. Feliksa Dzierżyńskiego (Dzierżyńszczyźnie) powołanym do życia w 1932 r. na terytorium Białoruskiej SRS – tworzone polskie rady wiejskie, przedszkola, szkoły, technika pedagogiczne, domy dziecka, sądy, instytucje kultury i oświaty. Na sowieckiej Białorusi język polski uzyskał – obok białoruskiego, rosyjskiego i jidysz – status języka państwowego. Bolszewicy traktowali polskie autonomie jako swego rodzaju model mający służyć do przetestowania pewnych rozwiązań przed przeniesieniem ich do podbitej w przyszłości Polski.

Sowiecki eksperyment narodowościowy znalazł swój krwawy finał w „operacji polskiej” NKWD w czasie Wielkiego Terroru lat 1937–1938, gdy Polaków skazano na eksterminację. Od sierpnia 1937 r. do września 1938 r. w ramach „operacji polskiej” aresztowano na mocy poszczególnych rozkazów NKWD w ówczesnych granicach BSRS 21 407 osób i rozstrzelano 18 684 z nich – podczas gdy „operacja niemiecka” pociągnęła za sobą zatrzymanie 563, a „łotewska” – 1459 ludzi¹.

Okupacja przez Sowieców województw północno-wschodnich II RP wraz z Białostoczczyzną, Łomżyńskiem oraz częścią Wileńszczyzny w następstwie porozumień sowiecko-niemieckich z 23 sierpnia i 28 września 1939 r. oraz utworzenie niby-państwa Zachodniej Białorusi z nieformalną stolicą w Białymstoku (przez kilka tygodni na przełomie września i października 1939 r. białoruscy komuniści uważali za stolicę Zachodniej Białorusi Wilno – zanim Sowieci przekazali miasto Litwinom) postawiły znów „kwestię polską” na porządku dziennym.

¹ U. Adamuszką, *Palitycznyja represii 20–50 hadou na Bielarusi*, Mińsk 1994, s. 55–57.



Dzieci podczas posiłku w stołówce PUR, 1945-1946 r. Fot. AIPN

Bezład i anarchia panujące w początkowym okresie demontowania struktur państwa polskiego „za pierwszego Sowietą” pociągnęły za sobą straty wśród ziemiaństwa, osadników i bogatszych chłopów – w wyniku napadów rabunkowych, grabieży i samosądów nierzadko inicjowanych przez sowiecką bezpiekę. Od początku 1940 r. represyjne działania Moskwy przybrały charakter zorganizowanych deportacji i zsyłek, które stanowiły w pewnym sensie kontynuację tradycji Rosji carów polegającej m.in. na eliminacji elit i asymilacji słabiej uświadomionej części społeczeństwa.

Zniszczyć Polaków deportacjami

Jedną z unowocześnionych metod zwalczania faktycznych lub wymaganych przeciwników były w sowieckiej rzeczywistości przesiedlenia całych narodów, rozpoczęte jeszcze w okresie międzywojennym i zintensyfikowane podczas II wojny światowej oraz po jej zakończeniu. Zanim machina terroru rozkręciła się na dobre, w początkowym etapie wojny ten rodzaj represji dotknął głównie wybrane grupy społeczne. W wyniku czterech wielkich wywózek (w lutym, kwietniu i czerwcu-lipcu 1940, a następnie w czerwcu 1941 r.) w głąb Związku Sowieckiego z BSRS deportowano „społecznie niebezpieczny element”, głównie obywateli polskich narodowości polskiej, ale także żydowskiej i białoruskiej.

Pierwsza sowiecka okupacja Kresów w latach 1939–1941 oraz kolejna – niemiecka (1941–1944) zasadniczo odmieniły mapę narodowościową i społeczną ówczesnej BSRS. Przesunięcie granic, sowieckie deportacje i represje, działania wojenne, niemiecki terror i Holokaust zniszczyły obraz wielonarodowej mozaiki tych ziem. Gwoździem do trumny Kresów były masowe przemieszczenia ludności określane jako „przesiedlenia”, „ewakuacje”, „wymiana ludności”, „repatriacje” czy „ekspatriacje”, dokonywane na mocy tzw. układów republikańskich, a więc umów podpisanych w 1944 r. przez PKWN z trzema sowieckimi republikami: białoruską, ukraińską i litewską – tymi, do których włączono wschodnie obszary Polski międzywojennej.

„Nie chcecie jechać na zachód, to pojedziecie na wschód”

Na mocy układu z 9 września 1944 r. zawartego pomiędzy PKWN a rządem Białoruskiej SRS o „ewakuacji” byłych polskich obywateli narodowości polskiej i żydowskiej z obszarów wschodnich Polski międzywojennej, a także dodatkowego protokołu z 25 listopada 1945 r., dokonano „przymusowych ewakuacji” mieszkańców sowieckiej Białorusi na terytorium Polski „lubelskiej”, a ludności białoruskiej – w kierunku odwrotnym. Na terenach włączonych w skład Białoruskiej SRS proces „ewakuacji” przebiegał odmiennie na różnych etapach: od bezpośredniego przymusu w początkowej fazie do utrudniania i blokowania wyjazdu w końcowej.

Akcja przesiedleńcza z obszarów BSRS rozpoczęta jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej odbierana była przez miejscową ludność co najmniej z rezerwą. Powszechnie było przekonanie o zbliżającym się konflikcie sowiecko-brytyjsko-amerykańskim i nieuchronnej zmianie władzy. W ciągu zaledwie pięciu lat sytuacja zmieniała się bowiem w tak zaskakującym tempie, że ponowny powrót Sowieców wydawał się stanem tymczasowym.

Działania władz Białoruskiej SRS wobec Polaków prowadzone były wielotorowo. Obok trwającego od drugiej połowy 1944 r. zwalczania podziemia polskiego w ramach operacji „czekistowsko-wojskowych”, „wymiana ludności” pozwalała na usunięcie Polaków głównie z ośrodków miejskich oraz pozbycie się elementów najbardziej aktywnych społecznie. Na szeroką skalę korzystano z rozmaitych środków przymusu administracyjnego. Często powtarzał się argument, który zachęcał do wyjazdu: „Nie chcecie jechać na zachód, to pojedziecie na wschód”. Jak potwierdzają dokumenty partyjne, „na masowy wyjazd Polaków wpłynęły wie-



Mali ekspatrianci w stołówce Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Fot. AIPN

lokrotne fakty łamania prawa socjalistycznego, nieuzasadnione areszty, wypadki pobicia Polaków, a także nieprawomocne naruszanie ich praw”².

Aby zamaniestować narodowość polską ludzie składali podania o wyjazd, nie mając w rzeczywistości takiego zamiaru. Mimo początkowego bagatelizowania sprawy przez władze („Polaków tu nie ma, są jedynie spolonizowani Białorusini”), szybko okazało się, że problem obecności Polaków w republice jest poważny.

Z jednej strony, wśród wyjeżdżających prowadzono agitację dyskredytującą polskie podziemie dla „zdemaskowania polskich nacjonalistów jako agentów hitlerowskich Niemiec” – po to, aby „repatriujący się Polacy pozostali zwolennikami przyjaznych stosunków między ZSRS a Polską”. Z drugiej zaś, wzmożono działania propagandowe wobec Polaków zamieszkujących zachodnie obwody BSRS w zwartych skupiskach, tworząc specjalne grupy złożone z komunistów, władających językiem polskim.

Trzeba zatrzymać Polaków

Stosowanie przymusu, represji, zastraszania i innych środków administracyjnych doprowadziło do sytuacji, która zaniepokoiła władze sowieckiej Białorusi, gdyż na przełomie wiosny i lata 1945 r. dostrzegły one, że masowe wyjazdy Polaków pa-

² Narodowe Archiwum Republiki Białoruś, f. 4, op. 29, d. 221, Notatka informująca o wykonaniu przez grodzieński *obkom* KP(b)B uchwały KC WKP(b) z 20 I 1945 r. „O pracy politycznej partyjnych organizacji wśród ludności zachodnich obwodów BSRS”, 3 VII 1945 r., k. 83–84.



Izba chorych w ośrodku dla ekspatriantów
w Bytomiu. Fot. AIPN

ralizują życie gospodarcze i prowadzą do wyludnienia poszczególnych obszarów. Jak donosiły partyjne źródła, wiosną 1945 r. z Grodna wyjechali albo zgłosili taki zamiar prawie wszyscy nauczyciele, lekarze, aptekarze, a także wykwalifikowani robotnicy narodowości polskiej. Podobnie wyglądała sytuacja w drugim co do wielkości mieście obwodu grodzieńskiego – Lidzie, gdzie prawie połowa kwalifikowanej siły roboczej zgłosiła chęć wyjazdu. Korzystając z możliwości, do Polski usiłowali dostać się też Białorusini, a nawet Rosjanie podszywający się pod Polaków. Dla osób znajdujących się na zesłaniu czy „oddelegowanych” do przymusowych robót w głąb ZSRS przyznanie się do polskości oznaczało szansę na wydobycie się z koszmaru.

Podjęta 22 maja 1945 r. uchwała Biura KC KP(b)B miała na celu powstrzymanie wyjazdów poprzez utrudnianie rejestracji, zmiany w dokumentacji zarejestrowanych już osób narodowości polskiej na białoruską i w konsekwencji wykreślanie ich z list. Władze w Mińsku alarmowały Moskwę o braku rąk do pracy, obawiając się zwłaszcza wyludnienia terenów wiejskich, bowiem największy odsetek wśród wyjeżdżających stanowili włościanie. Próby przedłużenia „akcji repatriacyjnej” podejmowane kilkakrotnie przez komunistyczne władze Polski napotykały na stanowczą odmowę Moskwy. W lutym 1947 r. ogłoszono jej oficjalne zakończenie.

Według różnych szacunków, od września 1944 do 1947 r. z sowieckiej Białorusi wyjechało do Polski pojałtańskiej od 240 do 270 tys. osób. Rozbieżności wynikają z różnic między danymi zawartymi w sowieckim protokole ukończenia akcji repatria-

cyjnej a dokumentacją polską. Liczby z obu źródeł nie uwzględniają ok. 40 tys. ludzi powołanych do ludowego Wojska Polskiego z województw północno-wschodnich II RP, zajmowanych od lata 1944 r. przez Armię Czerwoną, którzy po zakończeniu wojny pozostali na terenie Polski „lubelskiej”. Około 250 tys. osób z list zarejestrowanych w BSRS nie mogło wyjechać do Polski, ponieważ uniemożliwiły im to władze.

Pół miliona Polaków przepadło

Po zakończeniu akcji przesiedleńczej w 1947 r. władze partyjne w Mińsku postanowiły całkowicie zlikwidować szkoły polskojęzyczne na terytorium BSRS, konsultując uprzednio sprawę z Moskwą. Od końca lat 40. następuje nasilona rusyfikacja oświaty i szkolnictwa. Jednocześnie przypuszczono atak na Kościół rzymskokatolicki i duchowieństwo. Wobec braku szkół polskojęzycznych kościoły przez pewien czas spełniały rolę polskiego ośrodka oświaty i kultury, ograniczenie ich liczby automatycznie przekładało się zatem na zanik polskości. Represje przeciwko duchowieństwu, wyjazd do Polski ponad 200 kapłanów, zamykanie pod byle pretekstem świątyń doprowadziły do drastycznego ograniczenia instytucjonalnych wpływów Kościoła katolickiego.

Władze w Mińsku uznały, że wszyscy Polacy wyjechali do Polski, pozostali zaś to „spolonizowani” Białorusini. Kwestia obywateli narodowości polskiej w BSRS po raz ostatni pojawiła się na porządku dziennym w materiałach partyjnych w rezolucji VI Plenum KC KP(b)B, które odbyło się w czerwcu 1947 r. Od tamtego czasu w oficjalnych dokumentach nie ma nawet wzmianki o pracy partyjno-politycznej wśród miejscowych Polaków.

Zmiany polityczne w Moskwie umożliwiły w 1955 r. wyjazd za Bug części Polaków przebywającym w Związku Sowieckim, przeważnie zesłańców i przedterminowo zwolnionych więźniów z sowieckich łagrów. Podpisana w 1957 r. umowa repatriacyjna formalnie rozszerzyła grupę uprawnionych do repatriacji na wszystkich przedwojennych obywateli RP (Polaków i Żydów). W praktyce o wszystkim decydowała arbitralnie strona sowiecka – również o tym, kto jest Polakiem, a kto nie i komu przysługuje prawo do opuszczenia Związku Sowieckiego.

Opór i niechęć lokalnych władz wobec wyjazdów, wspierane po kryjomu przez centrum, prowadziły do blokowania zezwoleń. Realizacja sowiecko-polskiej umowy o repatriacji prowadzona była w warunkach ciszy informacyjnej ze strony władz BSRS. Umowa zmusiła sowieckie władze do uaktywnienia maszyny biurokratycznej, a lokalne

władze partyjne i sowieckie musiały się dwoić i troić, aby utrudnić, zakwestionować, a nawet uniemożliwić udowodnienie narodowości polskiej składającym wnioski.

Problem Polaków w sowieckich republikach podnoszono w relacjach międzypartyjnych i międzypaństwowych pomiędzy Moskwą a Warszawą, głównie w kontekście realizacji umowy repatriacyjnej bądź prób otwarcia polskiej placówki konsularnej w Mińsku³. W okresie realizacji umowy nastąpiło też ożywienie bezpośrednich kontaktów Polaków z sowieckiej Białorusi z krajem. Wobec braków kontaktów instytucjonalnych zasadniczą rolę odgrywały kontakty osobiste z krewnymi przyjeżdżającymi na zaproszenie. W tym też czasie pojawiły się ograniczone możliwości słuchania I programu Polskiego Radia oraz prenumeraty polskich tytułów prasowych.

W latach 1955–1959 z BSRS do PRL wyjechało ok. 100 tys. osób. Źródła białoruskiej proweniencji mówią o 88 546 osobach⁴. Choć akcja ekspatriacyjna zakończyła się w 1959 r., drobne korekty granicy polsko-sowieckiej i jednostkowa wymiana ludności trwały do początku lat 60. XX w.

Powszechny spis ludności przeprowadzony w ZSRS w 1959 r., daleki od rzetelności, wykazał istnienie w Białoruskiej SRS ponad półmilionowej grupy Polaków (538 881 osób). Kuriozalny jest w związku z tym fakt, że mniejszość polska w BSRS nie istniała ani w przestrzeni publicznej, ani w przekazie propagandowym, ani w stosunkach dwustronnych pomiędzy PRL a sowiecką Białorusią. Do końca lat osiemdziesiątych XX w. problem Polaków zamieszkujących tę republikę był tematem tabu zarówno dla sowieckich władz w Mińsku, jak i w komunistycznej Polsce.

³ M. Golon, *Moskwa, Kijów, Mińsk, Leningrad, Wilno...*, *Problem utworzenia i działalności polskich placówek konsularnych w ZSRR w latach 1944–1972*, [w:] *Polska polityka wschodnia w XX wieku*, red. M. Wojciechowski, Włocławek – Toruń 2004, s. 201–237.

⁴ A. Wialiki, *Bielaruś u sarwiecka-polskich adnosinach 1944–1959 gg. XX st.*, Mińsk 2010, s. 212.



Jan Szumski (ur. 1979) – historyk, dr hab., pracownik Instytutu Historii Nauki PAN oraz Biura Badań Historycznych IPN. Od lat zajmuje się tematyką związaną z historią stosunków polsko-sowieckich oraz dziejami Polaków w ZSRS. Autor dwóch monografii: *Sowietyzacja Zachodniej Białorusi 1944–1953. Propaganda i edukacja w służbie ideologii*, (2010, przetłumaczonej na białoruski i wydanej w Białorusi) oraz *Historia a polityka. ZSRR wobec nauki historycznej w Polsce 1945–1964* (2016). Jest koordynatorem serii wydawniczej IPN „Polacy w Rosji i Związku Sowieckim”.



Bogusław Tracz

Byłe nie dalej na zachód!

Polacy z Kresów na Górnym Śląsku

Pierwsi Kresowianie, głównie z województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, dotarli na Górny Śląsk w 1945 r., wkrótce po ukonstytuowaniu się polskich władz w Katowicach. Wielu z nich jeszcze długo żywiło nadzieję na powrót do swoich domostw na wschodzie.

Już w 1943 r., w obawie przed terrorem nacjonalistów ukraińskich i nadejściem frontu, a wraz z nim kolejnej sowieckiej okupacji, wielu mieszkańców Kresów zdecydowało się wyjechać na zachód. W pierwszej połowie 1944 r. w Krakowie i innych miejscowościach w zachodniej części Generalnego Gubernatorstwa mieszkało już sporo przybyszów zza Buga. Większość z nich korzystała z gościnności rodzin i znajomych, z niecierpliwością wyczekując chwili, kiedy będzie można wrócić do swoich domów. Lecz to, jak się okazało, miało nigdy nie nastąpić.

Utrata ojczyzny

Niespełna tydzień po ukonstytuowaniu się marionetkowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), 27 lipca 1944 r., jego przedstawiciele podpisali w Moskwie porozumienie o wyznaczeniu granicy polsko-sowieckiej wzdłuż tzw. linii Curzona, co oznaczało utratę Kresów Wschodnich. Porozumienie to stało się podstawą do zawarcia 9 września 1944 r. układu między PKWN a Ukrainą Socjalistyczną Republiką Sowiecką o wymianie ludności; rozpoczęły się masowe wysiedlenia Polaków, eufemistycznie nazywane „ewakuacją” lub „repatriacją”. Organizacją i przebiegiem całej operacji transferu ludności zajął się, powołany na mocy dekretu PKWN z 7 października 1944 r., Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR).

Akcje represyjne przeciwko Polakom przeprowadzone na początku 1945 r. we Lwowie i innych miastach, aresztowania i działalność NKWD powodowały, że wielu mieszkańców Lwowa, Drohobycza czy Stanisławowa podjęło decyzję o wyjeździe. W powojennym Lublinie, Krakowie czy Kielcach nie było jednak dla nich miejsca. Trafiali do mieszkań, w których w wielu przypadkach żyło nawet kilka rodzin, gnieźdzących się w niewyobrażalnej ciasnocie. Należało więc rozważyć decyzję o dalszej podróży na zachód.

Pierwsi Kresowianie dotarli na Górny Śląsk już w lutym 1945 r., niebawem po ukonstytuowaniu się polskich władz w Katowicach i niedługo po tym, jak w wyniku operacji sandomiersko-śląskiej Armia Czerwona zmusiła jednostki niemieckie do wycofania się za linię Odry. Opuszczona przez Niemców, silnie zurbanizowana aglomeracja katowicka dawała nadzieję na polepszenie egzystencji i przeczekaanie w znośniejszych warunkach do momentu, kiedy będzie można bezpiecznie wrócić do domów pozostawionych na wschodzie, w co większość wierzyła jeszcze długo po tym, kiedy oficjalnie ogłoszono nowy kształt terytorialny powojennej Polski.

Akcja wysiedleńcza nabrała tempa wiosną 1945 r. W związku z koncepcją tzw. równoleżnikowego przeniesienia ludności i korespondujących stref regionalnych, na Górny Śląsk kierowano przede wszystkim transporty z terenu dzisiejszej Ukrainy. Największy odsetek przesiedlanych Polaków pochodził z obszarów przedwojennych województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego.

W punktach etapowych

Kiedy w drugiej połowie marca 1945 r. rozpoczęto przejmowanie z rąk komendantur wojennych Armii Czerwonej miast i powiatów tzw. Śląska Opolskiego, jak nazywano przedwojenną, niemiecką część regionu, niemal jednocześnie ruszyły przygotowania do skierowania na te obszary Polaków z Kresów. Przy nowo utworzonych zarządach miejskich, m.in. w Bytomiu, Gliwicach i Opolu, powołano odpowiednie struktury oraz zainstalowano w tych miastach oddziały PUR i wytypowano miejsca na tzw. punkty etapowe. Na terenie województwa śląskiego dzieliły się one na: wlotowe (w Bielsku, Koźlu i Dziedzicach), przelotowe (m.in. w Zebrzydowicach) i przeładunkowe (w Katowicach-Ligocie, Bytomiu, Pyskowicach, Karbiu, Łąbędach i Mikulczycach). W tych ostatnich dokonywano przeładunku ludzi i mienia z wagonów szerokotorowych na normalnotorowe oraz prowadzono wstępną selekcję „repatriowanych” na osadników miejskich i wiejskich. Największy był punkt w Łąbędach, który mógł przyjąć jednorazowo 3 tys. ludzi.

Punkty te powstawały najczęściej w miejscach, które jeszcze niedawno zajmowali jeńcy wojenni, więźniowie lub robotnicy przymusowi, a które po przejściu frontu znalazły się w rękach Armii Czerwonej. Przekazywane urzędnikom PUR, znajdowały się najczęściej w stanie daleko posuniętej dewastacji: powybijane szyby, uszkodzona lub zdemontowana sieć elektryczna i kanalizacyjna, poniszczone sprzęty, brak łóżek i sienników. Brudne i zniszczone pomieszczenia wymagały kompletnego remontu, na co najczęściej nie było środków ani czasu. Tylko dzięki zaangażowaniu pracowników PUR, staraniom urzędników miejskich i ofiarności polskich mieszkańców udawało się w krótkim czasie doprowadzić te miejsca do takiego stanu, by przynajmniej częściowo mogły spełniać wyznaczoną im funkcję, choć i tak warunki w nich panujące były dalekie od wymagań stawianych im w zarządzeniach i zaleceniach przesyłanych z centrali PUR w Łodzi.

W urągających warunkach

Latem 1945 r. na Górny Śląsk coraz częściej docierały transporty, którym pokonanie niecałych pięciuset kilometrów – dzielących przedwojenne województwo lwowskie od terenów poniemieckiego Śląska Opolskiego – zajmowało dwa, trzy, a nawet więcej tygodni. Do punktów etapowych trafiały pociągi pełne ludzi udręczonych wielodniową podróżą, wśród których nie brakowało chorych, starców, kobiet ciężarnych

i bardzo małych dzieci. Należało ich otoczyć opieką, zapewnić przynajmniej podstawową pomoc medyczną, a przede wszystkim jedzenie. Szkopuł w tym, że zarządy miejskie same borykały się z poważnymi problemami aprowizacyjnymi. Brakowało również niezbędnych lekarstw i środków opatrunkowych, a zwłaszcza personelu. Tymczasem większość przybyłych nie tylko była wyczerpana długotrwałym transportem, lecz również narzekała na liczne dolegliwości. Były one spowodowane brakiem właściwych warunków higienicznych w trakcie podróży.

Do 10 maja 1945 r. na opolską część Górnego Śląska dotarło aż czterdzieści transportów. Dowieziono nimi ponad 27 tys. ludzi. Przesiedleńczy strumień trwał w zasadzie nieprzerwanie przez cały rok 1945 i kierował się głównie przez Górny Śląsk w stronę Wrocławia i Dolnego Śląska. W drugiej połowie 1945 r. nastąpiła koncentracja transportów na południu Polski, przy jednoczesnym wyczerpaniu się możliwości osadniczych na Górnym Śląsku i problemach z przyjęciem przesiedleńców przez PUR we Wrocławiu. Zdarzało się, że między Katowicami a Wrocławiem transporty stały przez kilka dni na stacjach, górkach rozrządowych lub, co gorsza, w szczerym polu, bez dostępu do wody i możliwości skorzystania z urządzeń sanitarnych.

Latem 1945 r. przesiedleńcy często opuszczali wagony stojące w polu i koczując wzdłuż torów, czekali na sygnał do odjazdu. Pracownik Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Katowicach, który udał się wówczas na wizytację opolskiej części Górnego Śląska, pisał, że na trasie kolejowej Opole – Wrocław spotkał całe skupiska przesiedlonych rozłożone po obu stronach torowisk: „rodziny te od trzech tygodni i więcej pozbawione środków żywnościowych, opieki sanitarnej, łudzone obietnicami wyjazdu już »jutro lub za parę dni«, pozostają w warunkach urągających najprymitywniejszym pojęciom bytowania ludzkiego”. Pod koniec 1945 r. sytuację na terenie katowickiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych określano jako katastrofalną. Brak wagonów krytych próbowano uzupełniać, organizując transporty w wagonach otwartych, tzw. węglarkach. Tymczasem jeszcze w sierpniu 1945 r. kierownik punktu etapowego PUR w Katowicach-Ligocie pisał do swoich przełożonych, że na stacji stoi, od przeszło dwóch miesięcy, 120 wagonów załadowanych sowieckimi zdobyczami wojennymi. Sytuację pogarszało obciążenie głównych linii kolejowych przez wojsko sowieckie, którego przewóz traktowano jako priorytetowy.

Co grosza, przesiedleńcy przebywający w punktach etapowych byli narażeni na ataki sowieckich maruderów. Na porządku dziennym były informacje o kra-



dzieżach dokonywanych przez czerwonoarmistów. Dochodziło również do groźniejszych wypadków. Na przykład w nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 r. do baraku w punkcie etapowym w Gliwicach wdarło się trzech żołnierzy sowieckich, którzy grożąc bronią palną, usiłowali zgwałcić siedemnastoletnią dziewczynę. Dokumenty nie podają, czy doszło do gwałtu. Następnie maruderzy udali się do sąsiednich baraków, gdzie wyłamali drzwi i wybili okna. Celem również były kobiety. Dopiero kiedy ich krzyki zbudziły pozostałych mieszkańców, napastnicy się oddalili. O gwałceniu kobiet i dziewcząt przez sowieckich żołnierzy informowano także w sprawozdaniu z kontroli punktów etapowych w okolicach Katowic przeprowadzonej latem 1945 r. Zachowane źródła obfitują w informacje o napadach czerwonoarmistów na przesiedleńców, a o skali zjawiska może świadczyć to, że w kilku przypadkach trzeba było wzywać do pomocy milicję i wojsko.

Nie chcieli jechać dalej

Zamiarem władz było skierowanie w drugiej połowie 1945 r. jak największej części transportów ze wschodu w stronę Wrocławia i dalej, tak by w miarę szybko i sprawnie zapęłnić osadnikami miasta i wsie Dolnego Śląska. Jednak większość przybyszów, po dotarciu do punktów etapowych PUR na Górnym Śląsku, bynajmniej nie zamierzała jechać dalej. Bytom czy Gliwice, a w najgorszym razie położone nieco dalej na zachód Opole były postrzegane jako kres podróży, nawet jeśli urzędnicy przekonywali, by jechać dalej, i twierdzili, że w miastach tych nie ma już miejsca, na zachodzie zaś czekają puste i lepsze domy czy mieszkania. Powodów niechęci do kontynu-

acji podróży było wiele, jednak nadrzędnymi okazywały się odległość i strach. Po pierwsze, nie chciano jeszcze bardziej oddalać się od miejsc pozostawionych na wschodzie. Liczono, że lada chwila los się odmieni i będzie można, a nawet trzeba wracać. Po drugie, obawiano się dalszej podróży w nieznaną, na ziemię postrzegane nie tyle jako „odzyskane”, ile po prostu niemieckie, a zatem cudze i obce. Do kontynuacji podróży nie zachęcały również informacje o działalności sowieckich maruderów i polskich szabrowników, a także plotki o grasujących oddziałach niemieckiej partyzantki i mającej niebawem wybuchnąć III wojnie światowej.

Ci, którzy nie chcieli jechać dalej, nalegali, by pozwolono im pozostać w górnośląskich miastach. Tymczasem już w połowie 1945 r. chłonność osadnicza Bytomia, Gliwic czy Zabrze się wyczerpała. Żeby przyjąć nowych mieszkańców, trzeba było przyspieszyć akcję wysiedlania Niemców, czego nie chciano przeprowadzić bez czasochłonnej weryfikacji narodowościowej. Miasta dosłownie pękały w szwach. Tym bardziej że oprócz akcji osadniczej prowadzonej przez PUR nagminne były przypadki osiedlania się „na własną rękę”. Opuszczano transporty, wiedząc, że wcześniej znaleźli w tych miastach mieszkania krewni czy znajomi. Wprowadzano się do nich albo samowolnie zajmowano puste lokale i dopiero wtedy podejmowano w Oddziale PUR lub w urzędzie mieszkaniowym działania na rzecz zalegalizowania pobytu.

Jesienią 1945 r. oficjalnie ogłoszono zakończenie akcji osadniczej w trzech wspomnianych wcześniej miastach, mimo że w dalszym ciągu trwał napływ nowych mieszkańców, których jednak w miarę możliwości starano się kierować do innych, mniejszych miejscowości na terenach powiatów gliwickiego i opolskiego.

W cudzych mieszkaniach

Ci, którzy utracili mieszkania i inne mienie za Bugiem, mieli, po przedstawieniu stosownych dokumentów, otrzymać jako ekwiwalent odpowiednie mieszkania wraz z wyposażeniem. To, co teoretycznie wydawało się proste, w wielu przypadkach okazywało się niewykonalne. Spory kompetencyjne między oddziałami PUR, Tymczasowym Zarządem Państwowym i urzędami mieszkaniowymi przy zarządach miejskich powodowały, że nie chciano przekazać mieszkań na potrzeby przybyszów; zdarzało się nawet, że odbierano przyznane im wcześniej lokale. Miały miejsce przypadki zakwaterowania w mieszkaniach, w których ktoś już został osiedlony lub w których wciąż jeszcze przebywali dotychczasowi mieszkańcy. Problemem było

również wyposażenie. Armia Czerwona, jak i polscy szabrownicy potrafili dokonać niebywałych spustoszeń, tak że wiele mieszkań, do których wprowadzali się nowi domownicy, było dosłownie pustych. Brakowało nie tylko mebli, infrastruktury grzewczej czy wyposażania łazienek, lecz często również szyb w oknach, parkietów czy drewnianych podłóg, a nawet mosiężnych klamek w drzwiach. Teoretycznie, za niewielką opłatą, istniała szansa otrzymania wyposażenia za pośrednictwem urzędów miejskich, w których gestii leżało tzw. mienie opuszczone i ponemieckie, jednak i tam nie wszystko, co niezbędne do urządzenia sobie życia, było dostępne.

Mimo wstrzymania od jesieni 1945 r. akcji osadniczej, do oddziałów PUR i urzędów mieszkaniowych w górnośląskich miastach wciąż pukali Polacy z Kresów z nadzieją otrzymania mieszkania. Oczekiwano na zakończenie akcji weryfikacyjnej i wysiedlenie ludności niemieckiej, choć zdawano sobie sprawę z tego, że nie rozwiąże to problemu mieszkaniowego. Większość Niemców oczekujących na wyjazd na zachód przebywała już w obozach przesiedleńczych, a ich mieszkania zostały zajęte przez nowych lokatorów. Ci, którzy pozostali jeszcze w swoich domach, w wielu przypadkach musieli dzielić je z nowymi lokatorami. Tylko nieliczni rdzenni mieszkańcy oczekiwali na weryfikację i wysiedlenie we własnych lokalach bez sublokatorów, ale i te mieszkania były już najczęściej rozdzielone.

Na pobyt czasowy

Ostra zima na początku 1946 r. wstrzymała napływ transportów ze wschodu, które ruszyły znów, jak tylko zelżał mróz. Wiosną 1946 r. praca przy transportach szła sprawniej niż rok wcześniej. Wyciągnięto wnioski z niepowodzeń poprzedniego roku, dysponowano już znacznie lepszym zapleczem, poprawiła się aprowizacja, a co najważniejsze – większość linii kolejowych i przydworcowej infrastruktury nie była już w rękach sowieckiej armii.

Choć teoretycznie takie miasta, jak Bytom czy Gliwice, były już zamknięte dla osadników, w praktyce wciąż przyjeżdżali do nich przybysze ze wschodu. Zwłaszcza że spora część przybywających transportami organizowanymi od wiosny 1946 r., odnajdywała w tych miastach krewnych i znajomych, którzy składali deklaracje, że zobowiązują się zapewnić nowo przybyłym dach nad głową i utrzymanie. Dopiero wówczas PUR zgadzał się na zarejestrowanie takiej osoby lub całej rodziny, ale tylko na pobyt czasowy, bez prawa do ubiegania się o mieszkanie. Potem, kiedy mieszka-

jący kątem znaleźli pracę, mogli się starać o zmianę swojego statusu, otrzymać stałe zameldowanie i rozpocząć zabiegi o przydział mieszkania.

O ile ci, którzy znaleźli się na Górnym Śląsku wiosną i latem 1945 r., w ciągu kilkunastu miesięcy zdążyli się zagospodarować, o tyle w znacznie gorszej sytuacji byli przybywający w 1946 r. Trafiali do miast już zasiedlonych, w których brakowało mieszkań, a wszystkie lepsze miejsca pracy były zajęte. Nie pomagały przy tym prośby i namowy urzędników, którzy przekonywali, że do nowej, powojennej granicy państwa jest jeszcze ponad trzysta kilometrów na zachód, a po drodze znajdują się miejscowości wciąż czekające na zasiedlenie. Przesiedleńcy nie chcieli jechać dalej.

W nowym otoczeniu

Po „repatriacji” powoli rekonstruowano struktury społeczne i instytucje. Powstały liczne zakłady rzemieślnicze, prywatne restauracje i kawiarnie nazwą, a często i wystrojem nawiązujące do miejsc bezpowrotnie utraconych. Ostoją tradycji kresowych było w pierwszych latach harcerstwo, w którym odnalazło się sporo instruktorów i harcerzy Chorągwi Lwowskiej, jak również z innych zabużańskich miejscowości. Ważną część przybyszów stanowiła inteligencja – nauczyciele, urzędnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, naukowcy. Najwięcej z nich trafiło ze Lwowa, przez Górny Śląsk, do Wrocławia, ale nie tylko. Spośród innych miast należy wymienić m.in. Opole, Bytom i przede wszystkim Gliwice, gdzie utworzono Politechnikę Śląską, w dużej mierze bazującą na pracownikach Politechniki Lwowskiej.

Liczni Kresowianie po przybyciu na Górny Śląsk zaangażowali się w życie polityczne, zarówno w partiach i organizacjach działających legalnie (przede wszystkim w Polskim Stronnictwie Ludowym, opozycyjnie nastawionym do dążeń komunistów), jak i w strukturach nielegalnych oraz oddziałach antykomunistycznego podziemia zbrojnego. Istotną rolę w niezależnych organizacjach politycznych i formacjach zbrojnych odgrywała młodzież.

Adaptacja przesiedleńców w nowym miejscu w większości przypadków napotykała niezliczone trudności. Problem ten dotyczył całości tzw. ziem przyłączonych, ale Górny Śląsk miał swoją specyfikę. W odróżnieniu od Dolnego Śląska czy Pomorza Zachodniego pozostała tu spora grupa ludności rodzimej, mającej odmienne doświadczenia historyczne i własne wzorce kulturowe. Wielu, nawet jeśli na co dzień posługiwało się śląskim etnolektem i otwarcie deklarowało swą polskość, było, chcąc

nie chcąc, mocno osadzonych w kulturze niemieckiej, czego zazwyczaj nie rozumieli Polacy ze wschodu, nierzadko boleśnie doświadczeni w okresie niemieckiej okupacji. Przybysze, inaczej niż rodowici Górnoślązacy, nie mieli braci, mężów czy ojców w Wehrmachcie, nie kończyli niemieckich szkół i nie byli nigdy pełnoprawnymi obywatelami państwa niemieckiego. Jednak różnic, a tym samym punktów generujących konflikty było znacznie więcej. Pierwszym, bez wątpienia najistotniejszym elementem różnicującym te dwie społeczności był język: używane słowa, wyrażania, akcent, melodyjność. Dla wielu mieszkańców Kresów Południowo-Wschodnich, którzy nigdy wcześniej nie mieli styczności z Górnym Śląskiem, tutejsza mowa była zupełnie obca – zbyt twarda i za bardzo nasycona germanizmami, by mogła się spotkać ze zrozumieniem i aprobatą. Różnice nie kończyły się na dialektach. Inne były sfery obrzędowości rodzinnej, zwyczaje, nawyki. Odmienność dotyczyła nawet praktyk religijnych, choć miejscowi i przybysze w większości byli katolikami.

Kościół odegrał jednak ważną rolę integracyjną. Księża zachęcali do udziału w tradycyjnych świątach i uroczystościach religijnych. Kiedy w maju 1946 r. zbliżały się doroczne uroczystości na Górze św. Anny, w parafiach deklaracje uczestnictwa zgłosiła również spora część dawnych mieszkańców Kresów. Komentarz sprawozdawcy Zachodniej Agencji Prasowej, który uznał to za dowód „stopniowego zanikania antagonizmu między obu tymi warstwami społeczeństwa, a wytwarzania się ścisłej wspólnoty narodowej”, należy potraktować raczej jako postulat niż stwierdzenie faktu. Kiedy 3 maja 1946 r. doszło w Gliwicach do manifestacji z okazji obchodów Święta Trzeciego Maja, masowo wzięli w niej udział studenci Politechniki Śląskiej i nowi gliwiczanie z Kresów i Polski centralnej, a w zasadzie nie spotkała się ona z większym zainteresowaniem wśród ludności rodzimej.

Jedną z przyczyn antagonizmu były spory o mienie. Wzajemną nieufność i obawy pogłębiały napady rabunkowe i kradzieże, przy czym ludność miejscowa przyczynę takiego stanu rzeczy widziała najczęściej w przybyszach z Polski centralnej i ze wschodu. Ci zaś często traktowali mienie miejscowych jako należy ekwiwalent za dobra utracone za Bugiem.

Trudne wrastanie w Górny Śląsk

Adaptacja wysiedlonych z Kresów w nowym miejscu zamieszkania przebiegała z trudem. Różnice językowe, odrębność kulturowa, przekonanie o niesprawiedli-

wości przesiedlenia, poczucie tymczasowości – wszystko to z pewnością nie ułatwiało życia w nowym otoczeniu. Brak zrozumienia, wzajemne niechęci i urazy generowały konflikty między ludnością miejscową a nowymi mieszkańcami. Odmienność kulturowa regionu zdecydowanie niekorzystanie oddziaływała na przyszłość. Oczywiście nie należy uogólniać, zdarzały się bowiem wyjątki. Wbrew oficjalnej, antyniemieckiej propagandzie, różnice narodowościowe, kulturowe i językowe nie zawsze uniemożliwiały dobrosąsiedzkie współżycie, które w wielu przypadkach kończyło się przyjaźniami, a nawet mieszanymi małżeństwami.

Często można się spotkać z opinią, że na wzajemne stosunki między starymi i nowymi mieszkańcami, jak również na zachowanie się tych ostatnich wpływ miały różnice w poziomie życia – wyższym na zindustrializowanym i zurbanizowanym Górnym Śląsku niż na terenach kresowych województw, w dużej mierze wiejskich i rolniczych. Tezę o „wyższości cywilizacyjnej” ziem przyłączonych do państwa polskiego po 1945 r. głosiła również komunistyczna propaganda, by w ten sposób przekonać społeczeństwo do powojennej zmiany granic jako w gruncie rzeczy opłacalnego „aktu sprawiedliwości dziejowej”. Zakorzenione po dziś dzień stereotypy, popularne zwłaszcza w lokalnej publicystyce, każą przeciwstawiać „nędzarzy ze Wschodu” ucywilizowanym mieszkańcom Górnego Śląska. Bez wątpienia poziom życia na Górnym Śląsku szokował mieszkańców wsi, przysiółków i małych miasteczek leżących na dawnej polskiej ścianie wschodniej. Przejęcie poniemieckich mieszkań i gospodarstw mogło być, i pewnie było, korzystną zmianą standardu. Jednak nie wszystkim ukazała się „ziemia obiecana” i wbrew pozorom nie każdy zachwycał się „familokami” i bieżącą wodą w kranach. Wśród Kresowian przybywających do swej nowej ojczyzny nie brakowało i takich, dla których poziom życia w miastach i osiedlach Górnego Śląska był czymś normalnym. Dotyczy to przede wszystkim wysiedlonych ze Lwowa, będącego przez stulecia politycznym i kulturowym centrum Małopolski Wschodniej i miastem uważanym za główny, obok Krakowa, ośrodek nauki i kultury polskiej na południu kraju. Przez lwowiaków osiedlenie w przemysłowym Zabrze czy nawet mniej uprzemysłowionych Gliwicach było często odbierane jako osobista tragedia. Również ci, którzy zamieszkali w Opolu czy we Wrocławiu, długo jeszcze adaptowali się w nowym miejscu, a wielu nigdy nie pogodziło się z utratą „małej ojczyzny” na wschodzie i nie zaakceptowało zmian, do których zostali zmuszeni. Adam Zagajewski w jednym ze swych wspomnień-opowiadań napisał: „w roku 1945 prawie cała rodzina pakowała



Afisz reklamowy składu papierów i artykułów biurowych oraz szkolnych w Gliwicach należącego do Polaków ze Lwowa, 1946 r.
Fot. Archiwum Państwowe w Katowicach – Oddział w Gliwicach

walizki i skrzynie i przygotowywała się do opuszczenia Lwowa i okolic. W tym samym czasie pakowały się też niezliczone niemieckie rodziny, którym kazano porzucić ich domy i mieszkania na Śląsku, w Gdańsku, w Szczecinie, Olsztynie i Królewcu. [...] W październiku tego roku znaleźliśmy się w gorszym mieście, Gliwicach. [...] Jakże to było miasto? Gorsze. Mniejsze. Niepozorne. Przemysłowe. Obce. Moja mama płakała, chodząc jego ulicami”.

Wielu Zabużan do końca życia nie pogodziło się z utratą Lwowa, Stanisławowa czy Drohobycza. Przez pierwsze powojenne lata wciąż liczono na to, że los się jeszcze odmieni i powrót na wschód, „do siebie”, okaże się możliwy. Krążące plotki o mającej nadejść III wojnie światowej niosły nadzieję nie tyle na kolejny krwawy konflikt, ile na zmianę pojałtańskiego układu sił w Europie i powrót do przedwojennych granic. Nic takiego się nie stało. Mimo to niektórzy wciąż trzymali w domach nierozpakowane drewniane skrzynie albo chociaż walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami, na wypadek gdyby nagle okazało się, że mogą wracać tam, skąd ich wypędzono – do domu. W szufladach i szkatułkach przechowywano, niczym najcenniejsze relikwie, klucze do pozostawionych mieszkań. Wciąż z nadzieją, że kiedyś znów zostaną użyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem.



Bogusław Tracz (ur. 1972) – historyk, dr nauk humanistycznych, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach. Jest członkiem redakcji pisma „CzasyPismo” oraz zasiada w Radzie Muzeum w Gliwicach. Autor m.in.: *Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975* (2014), *Gliwice. Biografia miasta* (2019). Pod jego redakcją ukazały się: *Kresowianie na Górnym Śląsku* (2012); *Pamięć Kresów – Kresy w pamięci* (2019) i in.



Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski

Operacja „Zachód”

Wielka konspiracyjna ewakuacja AK-owców z Kresów Północno-Wschodnich przeprowadzona między majem 1945 a marcem 1946 r. to epopeja tragiczna. Uratowała życie ponad czterem tysiącom żołnierzy, którzy uchodzić musieli na zawsze z rodzinnych stron, a zarazem położyła kres zbrojnej walce o zachowanie polskości na Wschodzie.

Niepowodzenie operacji wileńskiej AK i akcji „Burza” uzmysłowiły definitywnie żołnierzom polskiego podziemia na Kresach Północno-Wschodnich, że „sojuznik naszych sojuszników”, Związek Sowiecki, będzie realizował swe cele polityczne i wojskowe na ziemiach polskich przy pomocy brutalnej siły, niszcząc polski ruch niepodległościowy. Dalej trwali jednak zbrojnie na tych terenach, gdyż w dowództwie AK, nieznanym ustaleń teherańskich, zgodnie z którymi nasi zachodni sojusznicy zgodzili się na oddanie Rosji sowieckiej połowy terytorium państwa polskiego i włączenie naszego kraju

Ppor. Kazimierz Murawicki „Narcyz” (drugi od lewej) z podkomendantnymi.
Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

do strefy wpływów sowieckich, panowało przekonanie, że przyszłość Kresów II RP zostanie rozstrzygnięta na konferencji pokojowej po zakończeniu wojny.

Sądzone, że o przynależności wschodnich województw II RP zdecyduje referendum, w którym mieszkańcy będą mieli możliwość wypowiedzenia się, czy chcą stać się obywatelami totalitarnego „państwa bez Boga”, czy pozostać w granicach Polski. Okazało się jednak, że przywódcy USA i Wielkiej Brytanii, głoszący poszanowanie praw człowieka i zasady demokracji, nie zamierzają pytać ludności Kresów o zdanie. Za udział Stalina w wojnie z niedawnym jeszcze jego sojusznikiem, wraz z którym rozpętał on wojnę światową, zapłacili niepodległością nie tylko Polski, ale też innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. W rozgromieniu wojsk Hitlera w Europie miał ginąć przede wszystkim „iwan”, a nie „amerykańscy chłopcy”. Za ten błędny sposób rozumowania przyszło przywódcom USA zapłacić dziesiątkami tysięcy poległych w wojnach koreańskiej i wietnamskiej, z których zresztą wyszli bez chwały.

Pierwsze rozpoznanie

Lokalne dowództwa polskiego podziemia niepodległościowego na Kresach wzywały swych podkomendnych do wytrwałości, a ludność polską do pozostania na ojcowiznie. Zgodę na wyjazd „do Polski” dawano wyjątkowo, tylko zdekonspirowanym i najbardziej zagrożonym, a samowolne porzucenie miejsc zamieszkania traktowano jako ucieczkę i wręcz zdradę narodowych interesów. Wynikało to z niewiedzy i błędnej oceny zamiarów naszych amerykańskich oraz brytyjskich sojuszników.

Przykładem pierwszych – prowadzonych z umiarem – działań ewakuacyjnych z terenu Kresów Północno-Wschodnich były decyzje podjęte przez dowódcę Zgrupowania „Południe” w Okręgu Nowogródek, ppor. Czesława Zajązkowskiego „Ragnera”. Miały one zapewnić przerzut na teren Polski „lubelskiej” ludziom zagrożonym aresztowaniami przez NKWD. Pod koniec października 1944 r. „Ragner” wydał rozkaz ppor. Włodzimierzowi Citowickiemu „Mewie”, by na czele wydzielonego patrolu rozpoznał możliwość przemarszu na zachód, w kierunku Puszczy Nackiej i Grodzieńskiej. Niestety w grupie tej znajdował się wprowadzony wcześniej agent NKWD, *wnutriennik* pod pseudonimem „Bystry”. W wyniku jego meldunków oddziałek „Mewy” został zlokalizowany i 27 października 1944 r. rozbitý przez grupę operacyjną NKWD koło chutoru Szejbaki w rejonie Żołudka.

Mimo tej porażki Polacy wciąż prowadzili w listopadzie rozpoznanie możliwości przejścia na zachód. Komendant „Ragner” nie zamierzał opuszczać swojej placówki – chciał jedynie skorzystać z możliwości stwarzanej przez rozkazy KG AK oraz Komendy Okręgu Nowogródek i dać szansę na przetrwanie ludziom najbardziej zagrożonym, wysyłając ich za linię Curzona, gdzie nie byli znani ani poszukiwani. W rozkazie nr 54 z 11 listopada 1944 r. pisał m.in.: „Sierżant »Chmiel« ma się przerwać ze swoim oddziałem na tereny zajęte przez armię Berlinga i tam rozwiązać oddział. Marszrutę i sposób przebicia się pozostawiam do decyzji sierż. »Chmiela«. [...] Porucznik »Rokita« i skompromitowani [spaleni] podoficerowie i żołnierze mają się przebić do centrum kraju. [...] Do centrum kraju mają także prawo wyjechać te osoby, którym w ocenie dowódcy zagraża niebezpieczeństwo. W żadnym wypadku nie jest dozwolony wyjazd samowolny”.

Podobne rozpoznanie przeprowadził na rozkaz Komendy Wileńskiej pluton Olgierda Wirgiasa „Wrzosa”, docierając spod Puszczy Nalibockiej do Puszczy Grodzieńskiej, by tam przygotować przejście dla dwóch oddziałów Samoobrony Czynnej Ziemi Wileńskiej (SCZW). Niestety zbadana przez niego trasa nie została wykorzystana. Dwa duże oddziały partyzanckie, 1. i 2. OSCZW, dowodzone przez rtm. Władysława Kitowskiego „Groma” i por. Witolda Turonka „Tura”, już kilka dni po rozpoczęciu marszu „do Polski” zostały zlokalizowane i rozbite 29 stycznia 1945 r. pod Rowinami przez przeważające siły NKWD. Poległo 89 AK-owców, 25 wzięto do niewoli – trzech żołnierzy skazano na rozstrzelanie, a pozostałych na wieloletnie uwięzienie w łagrach.

Legalna ewakuacja potajemna

Dopiero upowszechnienie w lutym 1945 r. postanowień konferencji w Jałcie spowodowało diametralną zmianę sytuacji. Połowa terytorium państwa polskiego miała zostać oddana Związkowi Sowieckiemu, a okrojona i kaleką „ludową” Polskę skazano na pozostanie w strefie sowieckich wpływów. Jediną nadzieję na zmianę tej sytuacji mógł przynieść spodziewany konflikt między wolnym światem a ZSRS – ale nic nie wskazywało, by miał on wkrótce wybuchnąć. Centralny poakowski ośrodek dowódczy, Delegatura Sił Zbrojnych, uznał, że pozostałe po Armii Krajowej struktury konspiracyjne powinny ulec likwidacji. Nie było jednak możliwości,

by na obszarach wcielonych już oficjalnie do Związku Sowieckiego przeprowadzić to zadanie w sposób bezpieczny dla żołnierzy AK.

Jednocześnie oczywiste stało się, że pozostanie na tych terenach ludności polskiej groziło jej fizycznym wyniszczeniem. Dowództwo poakowskiego podziemia dało wówczas zgodę na ewakuację zarówno żołnierzy AK, jak i ludności cywilnej do Polski centralnej – z wykorzystaniem istniejących struktur przesiedleńczych kontrolowanych przez komunistów (w ramach tzw. repatriacji polskiej ludności). W ciągu dwóch lat z ziem wcielonych do Białoruskiej SRS wyjechało w transportach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego 226 315 Polaków, a z obszarów włączonych do Litewskiej SRS – blisko 150 tys. Kresowi obywatele RP zostali jednak w większości na miejscu z nadzieją, że zdołają tam przetrwać do lepszych czasów.

Zaplanowano, że niezdekonspirowani AK-owcy będą ewakuować się drogą oficjalną, w tzw. transportach repatriacyjnych. Żołnierzom rozwiązanych oddziałów leśnych starano się zapewnić fikcyjne dokumenty wyprodukowane przez wileńską Komórkę Legalizacyjną. Część partyzantów, zwłaszcza ludzi całkowicie spalonych, miała przebić się z bronią w rękę przez nowo utworzoną granicę na teren Białostoczczyzny i skontaktować z komórkami organizacyjnymi, utworzonymi do pomocy w zalegalizowaniu pobytu na terenie Polski „ludowej”. Transportami PUR-owskimi przerzucono też część wyposażenia oraz Komórki Legalizacyjne i kasę Okręgu Wilno. Do lata 1945 r. ewakuacja została zasadniczo zakończona.

Ppor. Czesław Zajączkowski „Ragner” z żoną i córką.
Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego



Rtm. Jan Skorb „Puszczyk”, komendant Okręgu Nowogródzkiego AK. Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

Demontaż struktur pod terrorem

Większość oddziałów partyzanckich na Wileńszczyźnie – tych, z którymi Komenda Okręgu Wilno miała kontakt – została rozformowana. Kilka grup, m.in. Aleksandra Alesionka „Pioruna”, Zygmunta Kuleszy „Marocznego” i Franciszka Jeglińskiego „Jurka”, przeszło przez granicę z bronią w rękę wraz z lidzkim oddziałem sierż. Władysława Janczewskiego „Lalusia” w lipcu 1945 r. Nie wszystkim udało się „odskok” na zachód. Wileński oddział Edwarda Czeszumskiego „Edka”, przygotowywany do przejścia za jałtańską granicę, został zniszczony w wyniku operacji NKWD w czerwcu 1945 r. w Nowosadach. Blisko 30 wziętych do niewoli AK-owców wymordowano na miejscu.



Demontaż polskich struktur konspiracyjnych na Kresach Północno-Wschodnich odbywał się w warunkach ostrej walki z NKWD. Sowieckie organy służb specjalnych przez cały czas prowadziły operacje „czekistowsko-wojskowe”, poprzedzone rozpracowaniem agenturalnym. Jednocześnie ludność cywilna stale narażona była na masowy terror, który miał złamać jej patriotyczną postawę, np. tylko od 15 marca do 12 kwietnia 1945 r., podczas wielkiej operacji w obwodach grodzieńskim i mołodeczańskim BSRS i w gminach Ejszyszki oraz Dziewiniszki LSRS jednostki 6. i 10. Dywizji Strzeleckich Wojsk Wewnętrznych NKWD zastrzeliły 109 i aresztowały 5245 osób (w obwodzie Mołodeczno – 4462, w obwodzie Grodno, głównie w rejonie lidzkim – 2783 osoby). Z sowieckiego raportu wynika, że podczas tej operacji nie pojawiły się poważniejsze próby zbrojnego oporu, jest więc oczywiste, że skierowana była ona głównie przeciw ludności cywilnej okupowanych terenów. Straty NKWD wyniosły zaledwie 6 zabitych i 9 rannych.

Demobilizacja oddziałów partyzanckich Okręgu Nowogródek, zarządzana jeszcze przez rtm. Jana Skorba „Borynę”, kontynuowana przez ppor. Ludwika Nienartowicza „Mazepę”, trwała od maja do października 1945 r. Rozformowana została większość jednostek operujących na terenach przedwojennych powiatów szczuczynskiego i lidzkiego oraz w ośrodku Iwie–Juraciszki (m.in. oddziały

„Piętki”, „Puchacza” – „Wrzosa”, „Poręby”, „Filara”, „Myśliwego”, „Lwa”, „Oczka” i „Śmigła”). Trasa przerzutu wiodła zazwyczaj przez Wilno i Białystok – dla żołnierzy z sowieckiej Litwy oraz przez Lidę i Białystok – dla żołnierzy z sowieckiej Białorusi. Punkty kontaktowe dla żołnierzy Okręgu Nowogródek zlokalizowane były w Białymstoku, Sokółce, Zabłudowie, Wasilkowie, a według niektórych źródeł nawet w Przemyślu. Ewakuacja miała objąć też oddział „Iskry”, jednak został on wcześniej, 24 maja, rozbity przez NKWD w walce pod Dajnowem.

Żołnierze „Śmiałego” przeszli

Oddziały Władysława Janczewskiego „Lalusia” i Czesława Stecewicza „Śmiałego”, część grupy Bolesława Mickiewicza „Niedźwiedzia” z powiatu lidzkiego oraz grupa Wojnicza „Żuka” z powiatu szczuczynskiego przeszły za linię Curzona z bronią w rękę i zostały zdemobilizowane na terenie Białostockiego Okręgu Armii Krajowej Obywateli-Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Zarówno oddziały wileńskie, jak i nowogródzkie, przechodząc za linię Curzona, korzystały z pomocy organizacji terenowej Armii Krajowej-Armii Krajowej Obywateli (AK-AKO) Obwodu Grodno–Prawy Niemen (nr 10).

Pierwsza wzmianka o przesuwaniu się na zachód oddziałów nowogródzkich pojawia się w meldunkach tego obwodu już w kwietniu 1945 r. Należy sądzić, że jakieś grupy żołnierzy nowogródzkiej AK przechodziły tamtędy jeszcze przed oddziałem „Śmiałego”. Jeden z meldunków Obwodu nr 10 z kwietnia 1945 r. zawiera informację o dwóch takich grupach, z których pierwsza składała się z 4 podoficerów i 16 szeregowych, druga zaś z jednego podoficera i 6 szeregowych.

Oddziałem „Śmiałego” zaopiekowała się na rozkaz komendanta Obwodu Grodno–Prawy Niemen, ppor. Franciszka Ziemkowskiego „Zmiany”, organizacja terenowa AK w rejonie Druskiennik, dowodzona przez ppor. Mieczysława Niedzińskiego „Mena”, „Rena”. Grupa „Śmiałego” liczyła – po dołączeniu do niej ludzi z sieci terenowej – około 30 żołnierzy. Przebywała na terenie Obwodu Grodno–Prawy Niemen ponad miesiąc, korzystając z pomocy siatki na terenie gmin, przez które przechodziła. Pojawiła się na Grodzieńszczyźnie w trzeciej dekadzie maja, a odeszła stamtąd w końcu czerwca. Gdy 29 czerwca przekraczała linię Curzona na wysokości Rygola, doszło do wymiany ognia z pogranicznikami NKWD. Dołączyła następnie do oddziałów partyzanckich AK-AKO w Puszczy

Augustowskiej. Na dzień przed lipcową obławą NKWD na puszcę odłączyła się od nich i na własną rękę przetrwała najtrudniejszy okres. Żołnierze „Śmiałego” ukrywali się na obrzeżach Puszczy Augustowskiej do września 1945 r., stopniowo wyjeżdżając na Ziemię Zachodnie.

Przeprawa ludzi „Lalusia”

Oddział sierż. Władysława Janczewskiego „Lalusia” przechodził linię Curzona miesiąc później wraz z dwoma oddziałami Okręgu Wilno. W połowie czerwca 1945 r. w bazie partyzanckiej w Puszczy Rudnickiej zebrały się: lidzki oddział „Lalusia”, tzw. Siódemka Wilhelma, dowodzona przez Aleksandra Alesionka „Pioruna” (oddział kadrowy 7. Brygady Wileńskiej), oraz oddział dowodzony przez sierż. Zygmunta Kuleszę „Maroczezo”. Ten ostatni powstał w kwietniu 1945 r. z połączenia tzw. grupy kowieńskiej, zorganizowanej przez Franciszka Jeglińskiego z żołnierzy AK z terenu Litwy, oraz grupy sierż. „Maroczezo” wywodzącej się z 3. Brygady Wileńskiej. Przybyło też dwóch przewodników – podchorążych z Obwodu Grodno–Prawy Niemen, którzy mieli przeprowadzić oddziały na zachód (plut. pchor. Roman Chirkowski „Lech II” i kpr. pchor. Mieczysław Górewicz „Czeński”). Cała operacja została przygotowana przez ówczesnego komendanta Okręgu Wilno mjr. Wincentego Chrzęszczewskiego „Kruka” oraz inspektora kpt. Jerzego Bronikowskiego „Czarnego Jana”.

Skoncentrowane w Puszczy Rudnickiej grupy zreorganizowano, formując z nich jeden oddział, nad którym dowództwo objął sierż. Janczewski „Lalus”, a Aleksander Alesionek „Piorun” został jego adiutantem. Żołnierzy podzielono na cztery drużyny dowodzone przez Franciszka Jeglińskiego „Jurka”, Poźniaka „Huragana”, N.N. „Cygana” i N.N. „Junaka”. Liczebność oddziału sięgała 60 żołnierzy, wśród których było kilka łączniczek. Grupa była bardzo dobrze uzbrojona – tylko oddział „Lalusia” posiadał 4 erkaemy, znaczna część żołnierzy dysponowała bronią maszynową.

Około 20 czerwca 1945 r. do bazy w Puszczy Rudnickiej przybył kpt. „Czarny Jan” z przedstawicielami Komendy Okręgu Wilno, przywożąc wiadomość, że wkrótce na puszcę ruszy sowiecka obława. Prawdopodobnie 23 czerwca oddział wyruszył w drogę „do Polski”. Mijając Orany, osiągnął teren Obwodu Grodno–Prawy Niemen, gdzie nawiązał kontakt z miejscową siecią AK-AKO. Trasa przemarszu została bardzo starannie przygotowana przez obu przewodników, którzy

Ppor. Ludwik Nienartowicz.

Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

kilka tygodni wcześniej przemierzali ją dwukrotnie, ustalając kolejne punkty kontaktowe i meliny.

Wyrwać się z okrążenia

Oddział „Lalusia” odpoczywał między innymi w ziemiankach grupy samoobrony kompanii terenowej AK-AKO Druskienniki. Franciszek Jegliński tak wspomina przemarsz: „Koło Porzecza spotkaliśmy partyzantów litewskich, którzy naświetlili [nam] sytuację w terenie. Gdy mijaliśmy stację kolejową w Porzeczu, słyszeliśmy wyładunek wojska sowieckiego, które później pro-

wadziło obławę na nas w tej okolicy. Na nas natknęli się, gdy nocowaliśmy w pewnej wsi. Po krótkiej strzelaninie usłyszeliśmy głos: *»Towariszcz bandit – chadzi na dogawor«* [Towarzyszu bandyto – chodźcie na pertraktację]. Wówczas sierżant *»Maroczy«* zawołał: *»To ty bandit, zachwaczyk, ty chadzi k nam!«*.

Oderwaliśmy się od nich i po długim marszu i postojach przybyliśmy w okolicy Druskiennik, gdzie założyliśmy obóz i staliśmy prawie przez dwa tygodnie. Tam wizytował nas przedstawiciel Komendy AK *»Mieczysław«* – nazwisko Wnuk – znany mi osobiście z kontaktów w Kownie. Przesunęliśmy się do granicy, jeszcze były lasy, ale stary las już się kończył. Wyruszyliśmy w kierunku granicy. Było to z piątku na sobotę, w ostatnich dniach lipca 1945 r.”

Linie Curzona oddział „Lalusia” przekroczył nocą 28 lipca 1945 r. na wysokości wsi Klimówka i Nomiki. Po przejściu paru kilometrów zatrzymał się w kolonii wioski Puciłki – stamtąd odeszła grupa ludzi z siatki konspiracyjnej, która dołączyła podczas marszu. Po krótkim postoju oddział został zaatakowany przez konną grupę pograniczników, którą odparł ogniem broni maszynowej. Cofając się



dalej w kierunku zachodnim, uwikłał się w walkę ogniową z grupą operacyjną NKWD znajdującą się we wsi Malawicze (Sowieci przyjechali tam na aresztowania). Oderwawszy się od przeciwnika, przekroczył szosę Sokółka–Grodno, po czym zatrzymał się na odpoczynek w niewielkim lesie koło wsi Kraśniany na północ od Sokółki. Tam żołnierze zostali okrążeni przez grupę operacyjną złożoną z jednostek WW NKWD, KBW i UBP z Sokółki, wspartą dwiema tankietkami. Pierwszy atak sowiecki został odparty, po czym oddział „Lalusia” przebił się z okrążenia trzema grupami.

Według meldunku WUBP w Białymstoku do MBP w Warszawie w walce pod Kraśnianami miało poleć 12 partyzantów, 4 zaś wzięto do niewoli (dwóch zostało rannych; partyzanci stracili też 3 rkm, 4 pm, 5 sztuk broni krótkiej, amunicję itp.). Największe straty poniosła „grupa kowieńska”. Oddział w mocno uszczuplonym składzie dotarł do Puszczy Knyszyńskiej, gdzie zaopiekowały się nim placówki AK-AKO. Został rozformowany i żołnierze, zaopatrzeni w fałszywe dokumenty, rozjechali się w różne strony, głównie na Ziemię Zachodnie.

Wpadka „Niedźwiedzia”

O niektórych zdarzeniach wiążących się z operacją „Zachód” wiemy bardzo niewiele. Na przykład 3 lipca 1945 r. grupa operacyjna 135. pułku WW NKWD rozgromiła akowską grupę „Komara”, zabijając 18 leśnych. 13 sierpnia w rejonie wsi Durycze jednostki tego samego pułku rozbiły niezidentyfikowany oddział złożony z żołnierzy AK, idący w kierunku granicy z zamiarem jej przekroczenia. Poległo 33 AK-owców, a 15 wzięto żywcem. We wrześniu przeszedł przez granicę kilkudziesięcioosobowy oddział sierż. „Żuka” z terenu powiatu szczuczyńskiego, a w listopadzie zbrojna grupa żołnierzy z placówek terenowych pod Lidą.

Porażką zakończyła się próba ewakuacji oddziału Mickiewicza „Niedźwiedzia”, podlegającego ppor. Anatolowi Radziwonikowi „Olechowi”. W początkach listopada 1945 r. organizacja dostarczyła fałszywe dokumenty. Sam „Olech” zdecydował się pozostać na Nowogródczyźnie i – jak określały to materiały sowieckie – „koordynować dalszą pracę podziemną”. Niestety od pewnego momentu operacja przerzutu partyzantów „Niedźwiedzia” znalazła się pod kontrolą NKWD: „W początkach listopada 1945 r. od agentki »Bystrej« lidzki RO MWD [Rajonnoje Otdielienije Ministierstwa Wnutriennich Dieł – Rejonowy Oddział Ministerstwa

Spraw Wewnętrznych] otrzymał informację, że członkowie bandy »Niedźwiedzia«, na rozkaz komendanta obwodu »Olecha« wyjeżdżają z fikcyjnymi dokumentami do Polski ze stacji Lida, przy czym »Bystra« wymieniła szereg bandytów z ich nowymi nazwiskami w sfalszowanych dokumentach”.

Pociąg z transportem repatriacyjnym, do którego 5 listopada 1945 r. wsiadli w Lidzie żołnierze »Niedźwiedzia”, został obstawiony przez NKWD. Zatrzymano go, a AK-owcy zadenuncjowani przez agentkę zostali wyłowieni z tłumu i aresztowani. Ujęto 10 znanych partyzantów, m.in. Leonarda Mickiewicza vel Leona Raubo „Kmicica” (brata „Niedźwiedzia”) i dowódcę patrolu Wacława Woronowicza „Lejtnanta”. Z niektórych relacji polskich wynika, że jednym z elementów tej „repatriacyjnej” operacji NKWD było także zlikwidowanie grupy AK-owców przygotowanych do przerzutu na melinie w kolonii Szantry pod Lidą. Podczas próby oporu zastrzelono wówczas 6 osób, a 11 aresztowano. Ważnym celem NKWD było ujęcie przy tej okazji ppor. „Olecha”. Otrzymałszy wyczekiwany donos od swojej agentury, 11 listopada 1945 r. grupa operacyjna NKWD z Lidy okrążyła chutor Dajnowszczyzna, gdzie przebywał „Olech” wraz ze swym patroliem dyspozycyjnym. W walce poległo dwóch partyzantów, w tym adiutant „Olecha” Leon Doroch „Twardowski”, a dwóch zostało ujętych. Sam „Olech” zdołał jednak przebić się przez obławę.

Grupa żołnierzy AK uniknęła aresztowania, uciekając z okrążonego pociągu. Wśród nich znaleźli się „Niedźwiedź”, a także komendant placówki Jewsiewicze Czesław Tyrkin „Pałajew”. Ten ostatni zdecydował się na pokonanie granicy wraz z grupą swych podkomendnych z bronią w ręku. Około 10 listopada, gdy przekraczali ją na wysokości Świsłoczy, doszło do wymiany ognia z NKWD. Po dotarciu do Białegostoku zostali skierowani na placówkę WiN w Wasilkowie, skąd po pewnym czasie rozjechali się po całej Polsce. „Niedźwiedź” natomiast zorganizował ponownie oddział lotny w sile około 20 żołnierzy, podlegający bezpośrednio ppor. „Olechowi”. Wiosną 1946 r. Mickiewicz „Niedźwiedź” wpadł jednak w ręce NKWD i został skazany na karę śmierci.

Akcja likwidacji aktywów organizacyjnych Okręgu Nowogródek prowadzona przez komendanta Ludwika Nienartowicza „Mazepę” objęła też tereny powiatów południowych. Wiadomo, że w zorganizowany sposób prowadzono ją w Ośrodkach Nieśwież, Baranowicze i Hancewicze-Niedźwiedzica („Hart”). W połowie



Pierwszy z lewej: Czesław Rymaszewski „Nagan”.

Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

1945 r. rozwiązano tam oddziały partyzanckie „Nagana”, „Skiby”, „Żbika”, „Waldemara” i „Brzeziny”. Tylko z terenów Ośrodka „Hart” i Ośrodka „Strażnica” (Nieśwież) ewakuowano nie mniej niż 300 żołnierzy AK. Nie da się dokładnie określić, ilu AK-owców z Nowogródziny skorzystało z możliwości przerzutu do Polski pojałtańskiej. Z pewnością były ich setki, a prawdopodobne jest, że nawet grubo ponad tysiąc.

Sam komendant „Mazepa” opuścił teren Okręgu Nowogródek w początkach sierpnia 1945 r. Akcja ewakuacyjna prowadzona była jeszcze przez kilka miesięcy po jego wyjeździe. Ostatnie wiadomości o organizowaniu przerzutów żołnierzy Okręgu Nowogródek do Polski centralnej pochodzą z listopada 1945 r. Rozwiązany został wówczas i ewakuowany w trzech grupach oddział Bolesława Zabłockiego „Oczki” z Puszczy Nalibockiej (dwie grupy dotarły do Białegostoku, członkowie trzeciej zostali aresztowani przez NKWD).

Exodus z Grodzieńszczyzny

Inspektoratowi Grodzieńskiemu z Okręgu Białystok przypadła – ze względu na usytuowanie przy granicy – szczególna rola w owej olbrzymiej akcji ewakuacyjnej. Dla jego konspiratorów istotną datą był czerwiec 1945 r. Podporządkowanie samodzielnego dotąd Białostockiego Okręgu AK-AKO Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj spowodowało, że lansowana do tej pory przez jej dowództwo koncepcja utrzymywania masowej wojskowej konspiracji za kordonem uległa zdecydowanej weryfikacji.

Podpułkownik Jan Rzepecki nie tylko bowiem nie miał złudzeń co do możliwości jakiegokolwiek korekty wytyczonej przez Sowietów wschodniej granicy Polski,

ale był też zwolennikiem zaprzestania działalności zbrojnej i przekształcenia owej konspiracji w kadrową organizację społeczno-obywatelską. Próby narzucenia takiego modelu całej organizacji białostockiej spełzły wprawdzie na niczym, ale ofiarą owej koncepcji stał się Inspektorat Grodzieński. Zachował on co prawda swoje miejsce w strukturze Okręgu Białostockiego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie WiN, pozostając aż do 1947 r. jedyną strukturą Zrzeszenia obejmującą tereny na wschód od linii Curzona, zmienił się jednak w jednostkę w znacznym stopniu fasadową.

Na mocy rozkazu inspektora grodzieńskiego mjr. Władysława Szymborskiego „Bąka”, „Okrazy”, „Rocha” z 30 czerwca 1945 r. komendanci wchodzących w skład trzech obwodów (ppor. Franciszek Ziemkowski „Zmiana”, ppor. Józef Pyszko „Sokół” oraz por. Władysław Piekarski „Pik”, „Ordon”) zobowiązani zostali do zorganizowania przerzutu na zachód zagrożonych aresztowaniami członków organizacji – co w konsekwencji oznaczało masowy exodus wszystkich kategorii konspiratorów zgłaszających chęć opuszczenia swoich macierzystych terenów. Skala tej operacji, polegającej najczęściej – co trzeba podkreślić – na przebijaniu się uzbrojonych grup i oddziałów przez coraz lepiej strzeżoną przez Sowieców linię graniczną, przerosła wszelkie wyjściowe założenia dowództwa białostockiego DSZ-WiN. Jak pokazały najbliższe miesiące, nie było ono do akcji przygotowane ani od strony logistycznej, ani finansowej (pieniądze na odprawy – ok. 1 tys. dolarów – skończyły się już po kilku tygodniach, rozdysponowane między członków kadry kierowniczej).

...„i ruszymy biegiem do granicy”

Skutki akcji ewakuacyjnej przeprowadzonej w Inspektoracie AK-AKO Grodno tylko w ciągu dwóch miesięcy, we wrześniu i październiku 1945 r., opisuje w swym raporcie inspektor mjr Władysław Szymborski „Bąk”: „Obw[ód] nr 9. W miesiącu wrześniu z bronią przekroczyło l[inie] Curzona 34 ludzi – broń ukryta w pobliżu l[inii] Curzona. Dla ludzi tych wypłacono zapomogę 100 d[olarów] p[apierowych]. W początkach października br. przeszło 27 ludzi z bronią i 16 ludzi przyjechało legalnie – zapomogi nie wypłacono, jednak część tych ludzi oczekuje na zapomogę.

Obw[ód] nr 10. W miesiącu wrześniu br. przeszło z bronią w ręku 17 ludzi, broń ukryta, legalnie przyjechało 21 osób, którym wypłacono zapomogę w kwocie 150 d[olarów] p[apierowych].



Kpt. Jan Borysewicz „Kryśia”. Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

W miesiącu październiku br. przeszło z bronią w rękę 27 ludzi – broń ukryto, wymienionym wypłacono jednorazową zapomogę 100 d[olarów] p[apierowych].

Obw[ód] nr 11. W miesiącu wrześniu br. przekroczyło granicę 300 ludzi z bronią w rękę – broń ukryta. Dla wymienionych wypłacono zapomogę 100 d[olarów] p[apierowych]. W miesiącu październiku przekroczyło granicę 60 ludzi z bronią – broń ukryto. Zapomogi wymienionym nie wypłacono z powodu braku funduszu, ludzie ci oczekują na wypłacenie zapomogi, dla których proszę o przydział”.

Operację ewakuacyjną za linię Curzona opisał Aleksander Głogocki vel Alfons Haponik „Głóg” w relacji złożonej Tomaszowi Łabuszewskiemu w marcu 1998 r.: „73-osobowa grupa przekroczyła granicę 17 września 1945 r. około godziny 23. Do granicy prowadził grupę brat „Wichra”, który szedł obok mnie z prawej strony. Jakies 500 metrów przed granicą pożegnał mnie, prosząc, abyśmy utrzymali spokój, aby on mógł już być w mieszkaniu. I tak się stało. Była między nami umowa, że przed granicą oddamy po kilka strzałów z broni[,] jaką mieliśmy (7 automatów) i ruszymy biegiem do granicy. Tuż przy granicy, po polskiej stronie czekało na nas trzech chłopców z Gruszek, którzy zgłosili się do mnie i powiedzieli, że nas zaprowadzą na wysepkę wśród bagien. 18 września około godziny 10

przyszli ci chłopcy z Gruszek i wyprowadzili nas z bagna na skrzyżowanie dróg i ja tam rozdałem dokumenty repatriacyjne i ludzie rozeszli się w różne strony”.

„Pod krzyżowym ogniem”

W pierwszej połowie października 1945 r. za linię Curzona przeszły sztaby obu obwodów grodzieńskich i Obwodu Wołkowysk. 10 października mjr „Bąk” informował komendanta Okręgu Białystok: „Melduję, że komendy obwodów 9, 10, 11 opuściły swoje tereny i znajdują się w kraju. Przewodnicy obwodów zameldowali mi, że oddziały ich zdemobilizowane, broń i sprzęt zabezpieczona, ludzie zagrożeni zostali przerzuceni na pld. L[inii] Curzona. Na miejscu w obwodach pozostały komórki propagandowo-wywiadowcze”.

W pierwszej dekadzie stycznia 1946 r. patrole wysłane z Białostoczczyzny przyprowadziły 20 ludzi z powiatu grodzieńskiego i 30 z powiatu wołkowyskiego. Drugą z tych grup – prowadzoną przez ppor. „Stefana” – dopadł pościg NKWD już po polskiej stronie granicy, na stacji Waliły; sam „Stefan” zdołał – mimo rany – wyrwać się z okrążenia. Ostatnie zwarte grupy zbrojne, o których wiemy, przechodziły przez peerelowsko-sowiecką granicę w zorganizowany sposób jeszcze w końcu marca 1946 r.

„Dopiero 21 marca [1946 r.] coś drgnęło w powietrzu: temperatura skoczyła w górę, nadciągnęły chmury – relacjonował Wiesław Hrynaszkiewicz „Węgorz”. – Następnego dnia zaczął padać rzęsyty deszcz, noc była ciemna, wymarzony czas na skok przez granicę. Trudność sprawiało jedynie błoto, bo chlupało pod nogami i ciężko było iść przez pola. Kierując się kompasem, dotarliśmy bez przeszkód do granicy. Było już około stu pięćdziesięciu metrów do granicy, w oddali widzieliśmy światła wsi Ponarlica, już po polskiej stronie. Naraz usłyszeliśmy strzał, ciemności rozświetliła rakietą i w jednej chwili znaleźliśmy się pod krzyżowym ogniem. Zalegliśmy. Zorientowałem się, że strzela do nas około pięciu pograniczników, trzech z lewa skos i dwóch od strony granicy, blokując tym samym drogę do Polski. Co chwila rakiety oświetlały teren, uniemożliwiając poruszanie się. Byliśmy w szczerym polu. Otworzyliśmy ogień w obydwie strony. Zmusiliśmy tych z naprzeciwka do odstąpienia – droga do Polski była wolna. Obok mnie leżał chłopak. Nie ruszał się, gdy podnieśliśmy się podbiegłem do niego, odwróciłem go na plecy – nie żył. Nie znałem jego nazwiska, pseudonimu nie pamiętam. Czas

naglił, ruszyliśmy do przodu. Po osiągnięciu pierwszych domostw wsi Ponarlica okazało się, że mamy jeszcze dwóch rannych. Staszek Synbuła dostał w bok, rana niegroźna. Gorzej sprawa miała się z drugim, dostał w pośladek. Wprawdzie dobiegł z nami do wsi, ale o dalszym marszu nie mogło być mowy, mocno krwawił, musieli go postrzelić pociskiem rozrywającym. [...] Okazało się także, że brak w grupie chłopaka i dziewczynki. Wróciłem nad granicę z »Kulą«, szperaliśmy około 15 minut, nawołując zagubionych, niestety bez skutku. Musieliśmy wracać i związać się czym prędzej, bo cała granica już wrzała. Sowietci raketami zwoływali się do pościgu”.

Trwać do ostatniej chwili

Była to już jedna z ostatnich operacji przerzutowych. Za kordonem pozostały wprawdzie kadłubowe ośrodki dowodzenia, zakres ich zadań uległ jednak znacznemu ograniczeniu – głównie do sfery propagandowo-informacyjnej. Odgrywały w istocie rolę ekspozytur komend obwodowych grodzieńskiej i wołkowyskiej (równie kadłubowych), które już jesienią 1945 r. znalazły się w całości na Białostocczyźnie. Powstały w ten sposób dualistyczny układ – z jednej strony, realnie działających na Grodzieńszczyźnie i w Wołkowyskiem resztek konspiracji poakowskiej, z drugiej zaś, funkcjonujących „bez ziemi” komend inspektoratu oraz obwodów, uległ w ciągu kilku kolejnych miesięcy dramatycznemu i nieodwracalnemu ugruntowaniu zarówno z powodu uszczelnienia przez Sowieców linii Curzona, jak i masowych aresztowań dokonywanych przez NKWD w pasie przygranicznym. Na skutek utraty komunikacji wyrastające z tego samego pnia dwa wspomniane byty konspiracyjne zaczęły od tamtego momentu żyć każdy własnym – całkowicie odmiennym – życiem.

Inspektor grodzieński, ulokowany na konspiracyjnej kwaterze za jałtańską granicą w powiecie sokólskim meldował w raporcie z 10 lutego 1946 r. o sytuacji za kordonem: „Warunki pracy konspiracyjnej są bardzo ciężkie. Zbyt dużo NKGB, NKWD wie o pracy konspiracyjnej w terenie. Wielu ludzi podejrzanych o pracę konsp[iracyjną] jest pod silną obserwacją NKWD i miejscowych konfidentów. Każdy ich ruch jest śledzony. [...] W terenie NKWD posiada dużo konfidentów. Tak samo sprawa przedstawia się w mieście. Wyjazd Polaków do kraju z miasta i prowincji odbywa się w m[iesią]cu sprawozdawczym w rozmiarach większych niż w miesiącu grudniu ub.r. Ogółem wyjechało do kraju ok. 2000 osób. 15 stycznia br. zakończyły się zapisy na wyjazd do kraju. Przepuszczalnie zapisało się 50% Po-

Ppor. Jerzy Bokłażec „Pazurkiewicz”. Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego

laków. W niektórych wsiach polskich zapisali się wszyscy Polacy (np. wieś Pieśla gm. Indura). Są też wsie, gdzie znikomy procent zapisało się na wyjazd (zagrożeni), jak np. w Zaniewiczach, Łaniewiczach gm. Indura, Staniewiczach gm. Ejsmonty Wielkie i innych. Większość zapisanych Polaków nie ma zamiaru jechać lub wyjazd swój odkłada (ewent[ualnie]) na ostatni termin, gdyby zaistniała taka konieczność. Wielu zapisało się, aby się nie stać obywatelami Związku Sowieckiego, aby uniknąć możli-



wego wywozu na Syberię. W niektórych wsiach, zwłaszcza szlacheckich, na terenie gm. Indura, Łunna, Ejsmonty Wielkie i innych zapisało się stosunkowo mało (kilka – kilkanaście osób). Między tamtejszą szlachtą krążą następujące powiedzenia: »Nie zapiszemy się, nie będziemy opuszczali ziemi polskiej, ziemi naszych ojców. Tak jak w czasach przeszło 100-letniej niewoli nie straciliśmy ducha, utrzymaliśmy polskość, tak dziś na tych ziemiach będziemy ostoją polskości i Polski (Zaniewicze, Łuniewicze, Maciejewicze i inne)«. Może by się więcej Polaków zapisało, po prostu, aby uniknąć ewentualnego wywiezienia na Syberię. [...] Łączność z obwodami za linią Curzona istnieje przy pomocy patroli bojowych. Patrol wysłany na teren Grodna w dn. 3. I. wrócił powiększony (wyszło 1 + 6, wróciło 1 + 18). Patrol wysłany 5. I. na teren Wołkowyska, w składzie 1 + 4, wrócił w składzie 1 + 32. Po przejściu powrotnym linii Curzona, sowieci i „polacy” urządzili za nim pościg samochodami, kawalerią i psami”.

Zostali na straconym posterunku

Operację ewakuacji żołnierzy AK z terenów północno-wschodnich, zapoczątkowaną zimą 1945 r., prowadzono w planowy sposób od maja 1945 do marca 1946 r. Było to największe tego rodzaju przedsięwzięcie w historii całej powojennej konspiracji – zwieńczone sporym sukcesem. Z bronią w ręku przeszło granicę około tysiąc AK-owców. Znacznie większa liczba, ponad 3 tys. z okręgów Wilno i Nowogródek (tyle bowiem wydano dokumentów przygotowanych przez wileńską Komórkę Legalizacyjną), została ewakuowana w transportach PUR. I to ta forma okazała się

najskuteczniejszą metodą wycofywania ludzi z terenów anektowanych przez ZSRS, w tym czasie bowiem wiele oddziałów idących z bronią w rękę zostało zniszczonych przez NKWD – m.in. wileńskie oddziały „Tura”, „Orlicza” i „Edka” oraz ludzki oddział „Iskry”. W sumie zginęło co najmniej stu kilkudziesięciu żołnierzy.

Sprawną ewakuacja żołnierzy AK możliwa była dzięki świetnej pracy wileńskiej Komórki Legalizacyjnej, która przygotowała stosowną dokumentację dla wyjeżdżających. Wielką ofiarnością wykazali się też żołnierze Inspektoratu Grodzieńskiego AK pracujący przy organizowaniu przerzutów dla grup przechodzących z bronią w rękę. Był to jednak smutny powód do satysfakcji, jeśli wziąć pod uwagę konsekwencje owej operacji dla masowej, planowo kierowanej walki o polskość Kresów, w której to walce stanowiła ona bezsprzecznie przedostatni akord.

Wkrótce okazało się, że nie wszyscy żołnierze AK z terenu Inspektoratu Grodzieńskiego opuścili swój teren. Wielu zdecydowało się bowiem pozostać na ojcowiznie i kontynuowało opór w zorganizowany sposób, w szeregach poakowskiej Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej pod komendą ppor. Mieczysława Miedzińskiego „Mena”, „Rena”, „Niemna”. W sąsiednim powiecie wołkowskim ks. Antoni Bańkowski „Eljasz” sformował Samoobronę Wołkowyską. Obie struktury przeciwstawiły się z bronią w rękę sowieckiemu bezprawiu do 1948 r. Później pozostały na tym terenie już tylko niewielkie grupki i pojedynczy partyzanci – jeszcze w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych XX w.



Kazimierz Krajewski (ur. 1955) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie. Prezes Nowogrodzkiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK. Autor książek: *Na ziemi nowogrodzkiej „NOW” – Nowogrodzki Okręg Armii Krajowej* (1997); (z T. Łabuszewskim) *„Łupasza”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)* (2002); *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1945* (2015); *Nowogrodzcy nasi ojcowie. Województwo nowogrodzkie II RP* (2018); *Życie i śmierć dla Polski. Partyzancka epopeja Uderzeniowych Batalionów Kadrowych* (2018) i in.



Tomasz Łabuszewski (ur. 1966) – historyk, dr, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie. Autor książek: (z K. Krajewskim) *„Łupasza”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)* (2002); (z K. Krajewskim i P. Nivińskim) *Brygady „Łupaszi”. 5 i 6 Wileńska Brygada AK w fotografii 1943–1952* (2010); *Rzeczpospolita utracona / A Republic Lost* (2011); (red. nauk.) *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956* (2012); *5 Brygada Wileńska AK na Pomorzu, Warmii i Mazurach 1945–1947* (2017); (z A. Obrębską i M. Prasińską) *Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na uchodźstwie 1945–1990* (2019) i in.



Szwadron por. Leona Smoleńskiego „Zeusa”
na Pomorzu Gdańskim, lipiec 1946 r. Fot. AIPN

Piotr Niwiński

Eksterytorialny Okręg Wileński

W obliczu wysiedleń ludności i sukcesów sowieckiego aparatu bezpieczeństwa Komenda Okręgu Wileńskiego AK postanowiła przerzucić partyzantów na bezpieczniejsze tereny i odbudować swe struktury w Polsce centralnej.

Wileńszczyzna była jedynym regionem Polski, który podczas II wojny światowej pięciokrotnie zmieniał przynależność i przechodził pod kolejne okupacje. Najpierw – zgodnie z układem Ribbentrop-Mołotow – nastąpiła okupacja sowiecka. Następnie, po przekazaniu w październiku 1939 r. przez ZSRS sporej części dawnego województwa wileńskiego Republice Litewskiej – okupacja litewska. Po agresji Związku Sowieckiego na kraje nadbałtyckie w połowie 1940 r. wrócili bolszewicy. 23 czerwca 1941 r. na Wileńszczyznę wkroczyli Niemcy. Na początku lipca 1944 r. rozpoczęła się – trzecia już – okupacja sowiecka. Przy czym ta ostatnia, nazywana często „trzecimi Sowietami”, miała być stanem ostatecznym, usankcjonowanym zgodą międzynarodową. Niewielu jednak Polaków wierzyło wtedy, że będzie to stan trwały. Dopiero ujawnienie wyników konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. zmiotło nadzieję na powrót tych ziem do Polski i – przy niesamowicie nasilającym się terrorze okupanta – zmusiło ludność do wyjazdu. Zarazem okres od lipca 1944 do sierpnia 1945 r. (wtedy w zasadzie zakończono ewakuację Okręgu Wileńskiego AK) był czasem wzmożonego oporu przeciwko Sowietom.

Trzecia okupacja sowiecka

Kres okupacji niemieckiej to wielki zryw polskiego podziemia. Zgrupowane oddziały wileńskiej i nowogródzkiej partyzantki liczyły w szczytowym okresie blisko 16 tys. żołnierzy i, jak na warunki konspiracyjne, były dość dobrze uzbrojone w zdobyczną broń, dbały w miarę możliwości o jednolite umundurowanie i zachowywały dyscyplinę wojskową. W ramach operacji „Ostra Brama” zaatakowały one Wilno i po blisko tygodniu walk, wspierając od pewnego momentu Armię Czerwoną, 13 lipca 1944 r. zajęły miasto. Już cztery dni później jednostki AK skoncentrowane w rejonie Turgiel zostały otoczone przez oddziały NKWD i Armii Czerwonej. Na odprawie w Boguszach aresztowano podstępnie część polskich oficerów, a także (nieco wcześniej) komendanta połączonych okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego, płk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”. Rozpoczęto rozbrajanie otoczonych polskich jednostek. Dzięki szybkiej reakcji oficerów, którzy pozostali na wolności, kilku tysiącom partyzantów udało się wydostać z kotła.

Zgrupowane następnie w najbliższym masywie leśnym – Puszczy Rudnickiej – oddziały te zostały ponownie otoczone przez Sowietów. 20 lipca dowódcy, którzy uniknęli aresztowania, podjęli decyzję o rozwiązaniu podległych im brygad i batalionów partyzanckich. Pozostać mieli tylko ochotnicy. Z nich to utworzono partyzanckie zgrupowanie wileńskie pod dowództwem mjr. Czesława Dębickiego „Jaremy”. W jego skład wchodziły dwa oddziały po około stu żołnierzy: „Wisieńca”, którego dowódcą był kpt. Edmund Banasikowski „Jeź”, a także „Solcza” – kierowany przez por. Adama Boryczkę „Tońkę”. Podobne zgrupowanie, dowodzone przez ppłk. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza”, powstało z oddziałów nowogródzkich.

Tymczasem w Wilnie odbudowywała się Komenda Okręgu. Dowództwo objął ppłk Julian Kulikowski „Ryngraf”. Nawiązywano kontakty organizacyjne pozrywane przez przejście frontu i aresztowania, budowano tak ważną w nowej sytuacji sieć łączności. Palącym problemem stało się opracowanie wytycznych dla podziemia na Wileńszczyźnie. Wobec przygniatającej przewagi nieprzyjaciela sztab Komendy uznał, że bezpośrednia walka nie ma szans powodzenia. Postanowiono skupić się na ochronie polskiej ludności.

Już 20 lipca odbyła się narada ocalałych przywódców wileńskiej części Polskiego Państwa Podziemnego. Uzgodniono następujące punkty planu działania: kontynuować opór w granicach możliwości, otoczyć szczególną opieką działalność Komórki

Legalizacyjnej i prowadzenie nasłuchu, wydawać – oprócz organu Komendy Okręgu pt. „Niepodległość” – biuletyn informacyjny oraz traktować podporządkowanie się Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego w Lublinie (sterowanemu przez Sowieców) jako zdradę sprawy Wilna. Te wytyczne stały się podstawą późniejszej działalności. Jednak najważniejsze zadanie stanowiło ratowanie ludzi przed aresztowaniem. Czyniono to głównie poprzez działalność Legalizacji, komórki zajmującej się wyrabianiem fałszywych dokumentów. Podczas trzeciej okupacji sowieckiej wystawiono ich ponad 30 tys. – od „ausweisu” do „bronirowki”. Umożliwiało to zarówno unikanie poboru do Armii Czerwonej (ogłoszonego na Wileńszczyźnie), jak i chroniło (poprzez zmianę tożsamości) przed aresztowaniem. Komórka ta działała z powodzeniem do sierpnia 1945 r., co umożliwiło między innymi późniejszą ewakuację Okręgu. Jej pozostałości funkcjonowały na Wileńszczyźnie jeszcze w 1946 r.

Komenda Okręgu ustaliła także zasady działania partyzantki. Oddział „Wisnińcza” pod komendą kpt. Banasikowskiego miał się zająć ochroną ludności na Oszmiańszczyźnie, w południowej części województwa wileńskiego. Jego zadaniami były ochrona wsi przed prześladowaniem ze strony aparatu administracyjnego okupanta i opieka nad uciekinierami szukającymi w lesie schronienia przed poborem do Armii Czerwonej czy terrorem NKWD. Oddział „Solcza” pod dowództwem por. Boryczki miał operować na południu Wileńszczyzny, w okolicy samego Wilna. Do czasu spenetrowania trasy przyszłego przemarszu we wskazane rejony oddziały „Solcza” i „Wisnińcza” walczyły wspólnie na terenie Puszczy Ruskiej. Jednak już 19 sierpnia 1944 r. oblawa NKWD przeprowadzona w tej okolicy doprowadziła do niemal całkowitego rozbitcia oddziału „Wisnińcza” w majątku Borowe, 3 kilometry

Żołnierze 5. Wileńskiej Brygady AK
na Białostocczyźnie w 1945 r.; czwarta
od lewej stoi Danuta Siedzikówna „Inka”
Fot. AIPN



od Dubicz. 25 sierpnia mjr „Jarema” (wycofując się do Wilna, w celu nawiązania bezpośredniej łączności z Komendą Okręgu) został aresztowany przez patrol NKWD. Ocalały oddział por. Boryczki przeniósł się do Puszczy Rudnickiej i tam oczekiwał na dalsze rozkazy. Wieść o tych wydarzeniach szybko dotarła do Wilna, co przyspieszyło wydanie nowych poleceń. Komendant uznał, że utrzymywanie oddziałów w terenie nasyconym siłami wroga nie rokuje szans powodzenia. W pierwszej połowie września do „Solczy” dotarła łączniczka z opracowanymi wytycznymi. Nakazywały one rozwiązać oddział, zamelinować broń i zapewnić partyzantom bezpieczne zakonspirowanie w terenie. Po blisko dwóch tygodniach przygotowani oddział został rozwiązany.

Nie był to jednak koniec partyzantki. Oprócz najbardziej rozbudowanego wileńskiego zgrupowania mjr. „Jaremy”, w terenie działały jeszcze inne oddziały zbrojne. Były to często pozostałości rozbitych brygad – jak choćby grupa pod dowództwem por. Sergiusza Zyndrama-Kościalkowskiego „Fakira” – bądź samoistnie powstałe oddziały, składające się z młodzieży chroniącej się przed poborem (m.in. oddział Mariana Brancewicza „Branta”). Inny oddział pod komendą ppor. Mariana Plucińskiego „Mścislawa”, złożony głównie z byłych żołnierzy 5. Brygady, operował w obwodzie święciańskim. Na terenie Puszczy Nalibockiej działała z kolei grupa dowodzona przez ppor. Hieronima Piotrowskiego „Jura”, wywodząca się z Oddziału Rozpoznawczego Komendy Okręgu. W tym okresie na Wileńszczyźnie operowało przynajmniej dwadzieścia oddziałów partyzanckich. Ich stan wahał się od kilkunastu do nawet dwustu ludzi. Przyjąć należy, że „w lesie” pozostawało wówczas co najmniej 3 tys. osób.

Trzej dowódcy szwadronów 5. Wileńskiej Brygady na Białostocczyźnie, 1945 r.; od lewej: Henryk Wieliczko „Lufa”, Marian Pluciński „Mścislaw”, Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”.
Fot. AIPN



Partyzantka w większości miała kontakt z terenową siecią AK, ale z Komendą Okręgu komunikowała się sporadycznie. Ciągle dawała o sobie znać zniszczona sieć łączności. Dlatego też, wobec coraz silniejszego naporu nieprzyjaciela, dla ratowania życia żołnierzy Komenda Okręgu wydała we wrześniu 1944 r. ogólny „Rozkaz nr 1” do wszystkich oddziałów działających w terenie z poleceniem przejścia do pracy konspiracyjnej. Dowódcy mieli zamelinować broń, a ludzi zakonspirować w terenie, utrzymując z nimi łączność. Siatka terenowa miała za wszelką cenę podporządkować sobie istniejące w polu „dzikie” oddziały w celu wykonania powyższych poleceń. Rozkaz, szeroko kolportowany, miał szansę dotrzeć do większości partyzantów.

Jednak tylko część z nich podporządkowała się jego zaleceniom, rzeczywistość okazała się bowiem zbyt brutalna. Łatwiej było przeżyć w lesie, broniąc się przed ścigającymi jednostkami NKWD, niż zdawać się na łaskę coraz większej sieci donosicieli, jaką NKWD i NKGB opłatały Wileńszczyznę. Ogłoszony na Kresach pobór do Armii Czerwonej zmuszał zarazem wielu młodych ludzi do ukrywania się. We wrześniu do wojska zgłosiło się nie więcej niż 20 proc. objętych poborem. Tak rodziły się nowe oddziały, a ich liczbę zwiększał nasilający się terror okupanta. Młodych ludzi uchylających się od służby wojskowej czy podejrzanych o przynależność do konspiracji aresztowano, a nawet rozstrzeliwano na miejscu (np. w ciągu jednego tygodnia na Oszmiańszczyźnie rozstrzelano 157 osób).

Oddziały partyzanckie prowadziły początkowo działalność mającą na celu przetrwanie w terenie, ale terror okupanta zmienił priorytety. Zaczęto prowadzić liczne akcje ofensywne mające chronić polską ludność. Do końca 1944 r. wykonano ich ponad 160. I były one często realizowane na wielką skalę. Warto przypomnieć chociażby, że 15 września 1944 r. oddział pchor. Jana Lisowskiego „Korsarza” zniszczył sielsowiet w Małych Solecznikach; 17 września na terenie gminy Ejszyszki oddziały AK spaliły dziewięć mostów, w tym jeden „znaczenia ogólnopaństwowego” (była to tzw. akcja „Rocznica”, związana z rocznicą agresji Związku Sowieckiego na Polskę); 20 października oddział AK zmobilizowany z lokalnej sieci terenowej opanował miasteczko Ejszyszki i m.in. zniszczył dokumentację w urzędach sowieckich; w grudniu 1944 r. oddział Czesława Czeszumskiego „Edka” uwolnił w Popiszkach k. Wilna około dwustu osób zatrzymanych przez milicję, które miano wywieźć w głąb ZSRS.

Tak zwane dzikie oddziały, dowodzone z reguły przez ludzi niedoświadczonych, ponosiły ciężkie straty. Aby ratować najbardziej zagrożonych, Komenda Okręgu

zdecydowała się kolejny raz zmienić dotychczasową taktykę. Konspiracja i wyrabianie dokumentów już nie zapewniały bezpieczeństwa. Zbyt wiele osób uciekało do lasu. Dla opanowania tego ruchu ppłk Kulikowski postanowił w listopadzie – grudniu 1944 r. stworzyć, na bazie największych już istniejących, cztery oddziały partyzanckie, tzw. Oddziały Samoobrony Ziemi Wileńskiej.

Na czele pierwszego z nich stanął rtm. Władysław Kitowski „Grom”, „Orlicz”, były dowódca Oddziału Rozpoznawczego Komendy Okręgu. Drugim dowodził por. Witold Turonek „Tur”, „Tumry”, dowódca 12. Brygady AK. Trzeci został stworzony na bazie ciągle działającego oddziału pod komendą wspomnianego ppor. Zyndrama-Kościąłkowskiego „Fakira”. Czwarty znalazł się pod rozkazami pchor. Lisowskiego „Korsarza”.

Oddziały Samoobrony tworzone zatem w oparciu o doświadczonych dowódców partyzanckich. Ich celem było podporządkowanie sobie „dzikiej” partyzantki, stworzenie z niej dużych jednostek mogących nawiązać w miarę równorzędną walkę z pododdziałami NKWD. W ten sposób zamierzano zminimalizować straty i odzyskać kontrolę nad terenem. Było to jednak rozwiązanie krótkoterminowe. NKWD organizowało liczne oblawy, przy czym wykorzystywało informacje zdobyte w wyniku wcześniejszych aresztowań. Doszło do wielu bitew i potyczek, z reguły kończących się wyjściem z okrążenia tylko części oddziałów.

Akcja: ewakuacja

W 1945 r. intensywność bojowa podziemia na Wileńszczyźnie nieco spadła, wykonano niespełna dwieście akcji zbrojnych. Związane to było nie tylko z narastaniem terroru okupanta, lecz także m.in. z zainicjowaną w lutym 1945 r. akcją ewakuacji żołnierzy podziemia na tereny Polski centralnej, w wyniku której zdecydowana część żołnierzy opuściła rodzinne strony.

Remedium na coraz większe straty ponoszone przez polską ludność mogło być przetrzucenie partyzantów na bezpieczniejsze terytoria. Za takie uznawano wtedy Białostoczczyznę, dysponowała bowiem znacznie większymi maszynami leśnymi niż Wileńszczyzna i była mniej spenetrowana przez NKWD. W styczniu 1945 r. Komenda Okręgu Wileńskiego podjęła próbę wyprowadzenia na zachód dwóch dużych (ok. 150 ludzi) oddziałów Samoobrony Wileńskiej: por. Turonka „Tumrego” i rtm. Kitowskiego „Orlicza”. Wydzielony z nich oddział Olgierda Wirgiasa „Wrzosa” przetaił co prawda



Por. Wacław Walicki „Tesarro”, zastępca komendanta Okręgu Wileńskiego AK w latach 1945–1948. Fot. AIPN

drogę, ale tymczasem oba macierzyste oddziały zostały rozbite 2 lutego 1945 r. w Rowinach (25 kilometrów na wschód od Nowogródka). Nad ranem doszło do walki z otaczającymi wieś znacznie przeważającymi liczebnie jednostkami NKWD wspomaganymi przez tzw. *istriebitielnyje bataliony* (jednostki pomocnicze NKWD tworzone w oparciu o pobór miejscowej ludności). Z pogromu ocalało niewielu partyzantów – 82 zostało zabitych, 25 dostało się do niewoli, reszta rozproszyła się w terenie. Uszli z oblawy obaj dowódcy, którzy razem z uratowanymi żołnierzami po różnych perypetiach zostali w końcu przerzuceni do centralnej Polski transportami ewakuacyjnymi. Jedynie por. Piotrowski „Jur” z kilkoma żołnierzami przeszedł zbrojnie granicę.

Dwa dni po klęsce w Rowinach, 4 lutego 1945 r. oblawa NKWD rozbiła częściowo trzeci oddział Samoobrony, dowodzony przez „Fakira”, który zginął w walce. 23 lutego tropiony nieustannie oddział pod nową komendą Włodzimierza Mikucia „Jaremy” został doszczętnie rozbity we wsi Ławże (gm. Turgiele). Dowódca czwartego oddziału, por. Lisowski „Korsarz”, nawiązał z kolei kontakt z wileńską ekspozyturą Związku Patriotów Polskich, która w zamian za ujawnienie gwarantowała nietykalność przez władze sowieckie i pomoc w ewakuacji do Polski centralnej. „Korsarz” ujawnił podległych sobie żołnierzy. Część z nich, mimo gwarancji udzielonych przez stronę sowiecką, została aresztowana, innym zaś udało się ewakuować do Polski centralnej.

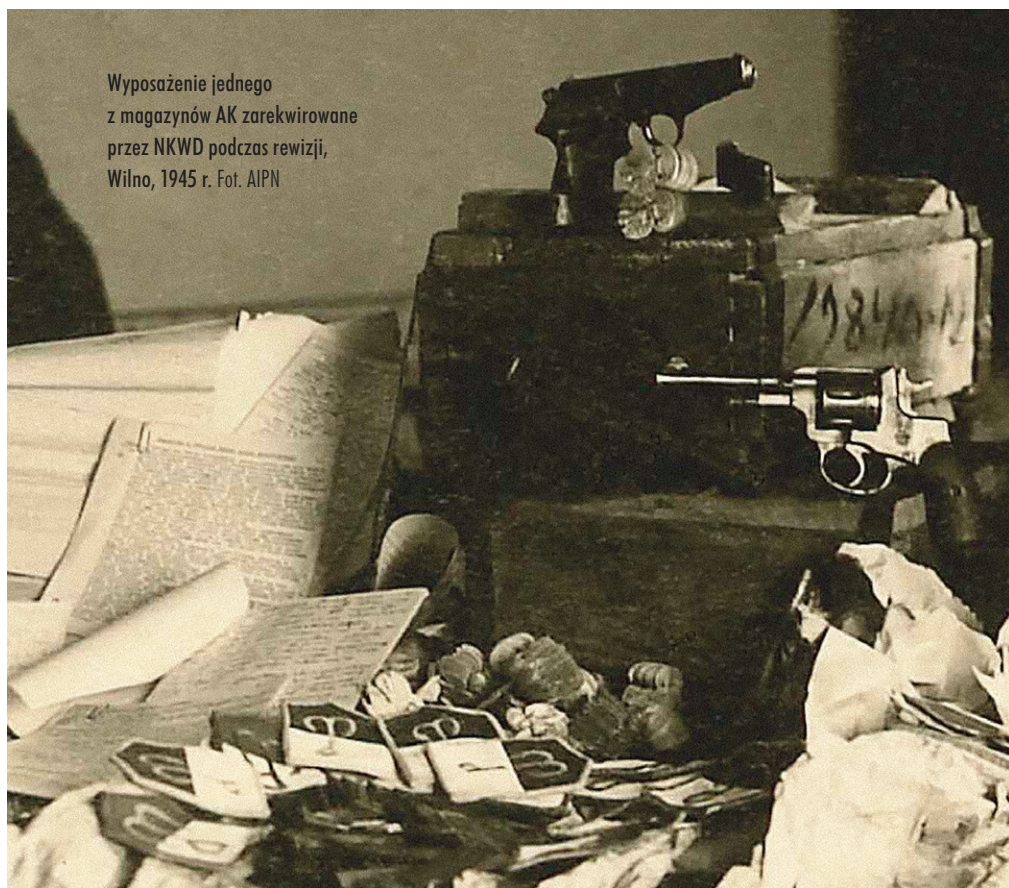
Również siatka terenowa AK była nastawiona na ochronę polskiej ludności. Na przykład OD23, czyli Ośrodek Dywersyjny Ignalino, zabezpieczał ludzi biorących udział w konspiracji. Chroniono nie tylko własnych żołnierzy, lecz także zabłąkanych w terenie partyzantów czy uciekinierów. Przyjmowano ich na meliny, wyposażano na własną rękę w dokumenty. W razie potrzeby organizowano patrole dywersyjne, rozprawiające się ze szczególnie dokuczliwymi donosicielami.

Tymczasem Komenda przeżyła kolejną falę aresztowań. 8 stycznia 1945 r. NKGB zatrzymało w zasadzce komendanta Okręgu ppłk. Kulikowskiego „Ryngrafa”. Następnie aresztowano innych członków Komendy. Nowym komendantem został

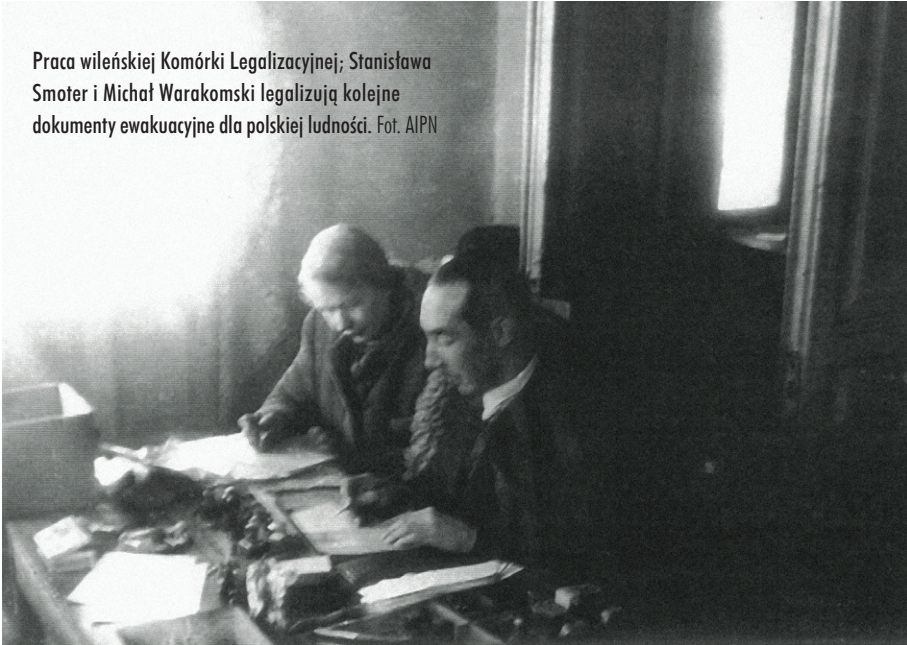
mjr Stanisław Heilman „Wileńczyk”. Stał on przed wielkim dylematem, 8 lutego 1945 r. dotarł bowiem do Wilna dekret prezydenta RP odnoszący się do rozkazu Dowódcy AK o rozwiązaniu organizacji. Dekret – ogłoszony przez radio – był pierwszym sygnałem o zmienionej sytuacji Okręgu, gdyż do tej chwili nie udało się nawiązać bezpośredniego kontaktu z Komendą Główną i z Rządem RP na Uchodźstwie. Rozkazy były więc spóźnione bądź nie docierały w ogóle. O sytuacji politycznej sztab dowiadywał się z oficjalnej prasy i nasłuchów radiowych. Tak było i tym razem. W związku z tym komendant Okręgu, mjr „Wileńczyk”, wydał 18 lutego „Rozkaz nr 10”, dotyczący rozwiązania AK. Wydrukowano go w 120 egzemplarzach i rozesłano w głąb struktur organizacyjnych poprzez odbudowaną tylko częściowo sieć łączności. Nie poszły jednak za nim żadne konkretne wytyczne – zachowano istniejące struktury. Sztab Komendy uznał, że w obliczu zbliżającej się konieczności opuszczenia Wileńszczyzny łatwiej i bezpieczniej będzie ewakuować zwartą organizację, niż pozwolić ludziom wyjeżdżać na własną rękę.

Na początku roku wileńskie NKWD, wykorzystując zamieszanie wywołane zmienioną sytuacją międzynarodową, wystąpiło z propozycją rozmów. Ich efektami miały być doprowadzenie do faktycznego rozwiązania struktur organizacyjnych AK,

Wposażenie jednego z magazynów AK zarekwirowane przez NKWD podczas rewizji, Wilno, 1945 r. Fot. AIPN



Praca wileńskiej Komórki Legalizacyjnej; Stanisława Smoter i Michał Warakomski legalizują kolejne dokumenty ewakuacyjne dla polskiej ludności. Fot. AIPN



ujawnienie jej członków i obietnica zakończenia wszelkiej działalności. W zamian Sowieci oferowali bezpieczny wyjazd do Polski centralnej. Strona polska nie wierzyła jednak w szczerość intencji wroga i rozmowy z NKWD nie przyniosły żadnego rezultatu (ujawnił się jedynie oddział „Korsarza”). Zapewne dlatego 27 marca 1945 r. mjr „Wileńczyk” został aresztowany. Kierownictwo Okręgu Wileńskiego przejął mjr Antoni Olechnowicz „Pohorecki” i z nim Okręg był związany już do końca swego istnienia. Olechnowicz natychmiast podjął rozpoczętą wcześniej akcję – przygotowanie ewakuacji struktur Okręgu do Polski centralnej.

W kwietniu 1945 r. udało się wreszcie nawiązać łączność Wilna z KG AK (a właściwie z jej następczynią – Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj). Pierwszym otrzymanym stamtąd rozkazem było polecenie natychmiastowej ewakuacji całości Okręgu na tereny Polski centralnej. Pokrywało się to z celami wyznaczonymi wcześniej przez Komendę Okręgu. Podjęła ona zatem następujące działania:

a) Komórka Legalizacyjna Okręgu, jako najistotniejsza przy ewakuacji, miała się podzielić na dwie części. Pierwsza, pod kierownictwem ppor. Michała Warakomskiego „Piotra”, miała wyjechać do Polski centralnej w najbliższym możliwym terminie w celu znalezienia odpowiedniego lokalu i rozpoczęcia działalności ułatwiającej zalegalizowanie się żołnierzy AK w Polsce. Część druga, pod dowództwem Romualda Warakomskiego „Hilarego”, miała pozostać w Wilnie i dalej zabezpieczać działalność Okręgu.

b) Kwatermistrz Okręgu por. Kazimierz Pietraszkiewicz „Konrad” miał według własnego rozeznania podzielić ludzi z Oddziału IV na grupki, które zajmą się przetrzucaniem do Polski części skarbcza Okręgu.

c) W Wilnie mieli pozostać aż do odwołania: szef sztabu Komendy Okręgu mjr Wincenty Chrzęszczewski „Ksawery” jako p.o. komendanta Okręgu, szef Oddziału I por. Bolesław Nowik „Majewski” oraz szef Oddziału II ppłk N.N. „Cichy” – obaj wraz z podległymi im oficerami. Mieli oni stanowić trzon ewentualnej przyszłej konspiracji.

d) Ponadto w Wilnie miało pozostać główne archiwum Okręgu (brano widocznie pod uwagę jego późniejsze odzyskanie).

e) W Polsce centralnej zamierzano utworzyć bazę dla przetrzucanych żołnierzy z wydzielonych wyżej komórek.

Rozpoczęła się skoordynowana akcja przerzutu całości sprzętu i ludzi Okręgu. Wytypowani do ewakuacji żołnierze przejeżdżali przez granicę, korzystając bardzo często z fałszywych kart ewakuacyjnych, masowo wyrabianych przez wileńską Legalizację. Niejednokrotnie zabierali ze sobą broń krótką, a czasami materiały organizacyjne. Przewożono je w skrytkach umieszczanych zazwyczaj w meblach lub innym sprzęcie gospodarstwa domowego. Po przekroczeniu granicy byli „odbierani” przez komórkę podchwyтовую (zazwyczaj w Białymstoku), a następnie kierowani w głąb Polski. „Repatriowanym” żołnierzom przekazywano informacje o sytuacji w kraju oraz podawano odpowiednie kontakty w terenie. Często także zaopatrywano ich w nowe komplety dokumentów, które umożliwiały zmianę tożsamości, co w razie ewentualnego śledztwa pozwalało na ukrycie dawnych powiązań.

W okresie tym oba sąsiadujące okręgi – Nowogródzki i Wileński – współpracowały w akcji przetrzucania ludzi na teren Polski centralnej, choć często współpraca ta polegała na organizowaniu przez Wilno transportu dla żołnierzy z Nowogródzczyzny, którzy takich możliwości logistycznych (jak choćby Legalizacja) nie mieli. W okresie do czerwca 1945 r. ewakuowano przez granicę transportami repatriacyjnymi nowogródzkie oddziały N.N. „Piętki”, Ryszarda Kiersnowskiego „Puchacza” czy ppor. Jana Wiśnicza „Lwa” z Obwodu Lida, a z powiatów baranowickiego i nieświeskiego przetrzucono co najmniej trzystu ludzi. W maju, po zorganizowaniu placówek odbiorczych po drugiej stronie granicy, w obu okręgach przerzut rozpoczął się na dobre. W każdym transporcie repatriacyjnym przetrzucano co najmniej kilkudziesięciu żołnierzy AK.



Ujawnienie oddziału Jana Lisowskiego „Korsarza”, Wilno, luty 1945 r. Fot. AIPN

Wznowiono także akcję przerzucania całych oddziałów przez zieloną granicę. Akcja ta, rozpoczęta jeszcze na początku 1945 r., była kontynuowana – z dość dużym powodzeniem – przynajmniej do końca jesieni. Przetarty został szlak przez Grodzieńszczyznę, prowadzący do Puszczy Białowieskiej. Trasą tą zaczęto następnie przemieszczać poszczególne oddziały.

Akcję rozkładano zazwyczaj na kilka etapów. Pierwszym było skoncentrowanie w wyznaczonym punkcie kilku jednostek, dotąd działających samodzielnie. W Komendzie Okręgu panowało zapewne przeświadczenie, że większe ugrupowania bezpieczniej przejdą granicę niż niewielkie oddziały. Przy tym skracano okres największego ryzyka. Podporządkowane „dzikie” oddziały oraz jednostki Okręgu udawały się na wyznaczony punkt zborny. Stamtąd wędrowały, prowadzone przez doświadczonych przewodników (zazwyczaj przy współpracy istniejącej jeszcze sieci terenowej), w kierunku granicy. Po jej przejściu były przejmowane bądź przez placówki Okręgu Białostockiego, bądź przez wyznaczonych do tego zadania oficerów Okręgu Wileńskiego z por. Boryczką „Tońką” na czele.

Pierwszym znanym oddziałem, który skorzystał z tak przygotowanego przejścia, był oddział N.N. „Chorążego”, który wraz z sześćdziesięcioma ludźmi przeszedł granicę wczesną wiosną 1945 r. Pod koniec lipca przebiegała się trasą dokładnie ustaloną przez Komendę Okręgu Wileńskiego m.in. grupa składająca się z trzech oddziałów: tzw. Siódemka Wilhelma pod dowództwem Aleksandra Alesionka „Pioruna”, złożona z żołnierzy 7. Wileńskiej Brygady, oddział sierż. N.N. „Maroczego”, złożony z żołnierzy 3. Brygady, oraz grupa sierż. Władysława Janczewskiego „Lalusia” – razem około pięćdziesięciu żołnierzy (według innych danych 160 ludzi). Do kolejnej udanej przeprawy doszło we wrześniu 1945 r. Dwudziestoosobowy oddział pod komendą sierż. Wojnicza „Żuka” bez przeszkód dotarł na teren Obwodu Sokółka, gdzie przejęły go placówki terenowe Okręgu Białostockiego.

Inne oddziały nie miały takiego szczęścia. Grupa Czesława Czeszumskiego „Edka” pozostawała bez łączności z Komendą Okręgu co najmniej od listopada 1944 r. Kiedy w końcu nawiązała kontakt z Okręgiem i przygotowywała się do przerzutu, została 6 czerwca 1945 r. doszczętnie rozbita przez jednostkę NKWD we wsi Nowosady. Co najmniej trzydziestu żołnierzy zginęło (część z nich po schwytaniu została rozstrzelana).

W czerwcu w Warszawie mjr Olechnowicz „Pohorecki” złożył pisemne sprawozdanie z działalności Okręgu. O nastawieniu oficerów Komendy do rzeczywistości, która zapanowała w Europie pod koniec wojny, niech świadczy taki oto fragment: „Szliśmy tą samą drogą, drogą ciernistą, ale jedynie uczciwą, nie wsiadaliśmy do mijających

Jeden ze schowków wileńskiej Komórki Legalizacyjnej,
Warszawa, listopad 1948 r. Fot. AIPN



nas ani czarnych, ani czerwonych aut; p. [Stanisław] Mikołajczyk wsiadł do jednego z pierwszych czerwonych, więc niech uważa, jeśli go dogonimy”.

Jasno z tego wynika niechęć do włączenia się w dialog z komunistami. Ta bezkompromisowa postawa zaważyła na decyzji o zachowaniu struktur Okręgu także po jego ewakuacji, w celu wykorzystania ich w przyszłej walce o Polskę.

Jednocześnie raport określał stan Okręgu pod okupacją sowiecką:

„dotychczas na terenie [Wileńszczyzny] pozostało:

- a. oddziały około 400 ludzi uzbrojeni
- b. siatka około 1000 ludzi uzbrojeni
- c. około 2 tys. ludzi spoza AK, niemogących legalnie opuścić swego terenu”.

Były to więc znaczne siły.

Ostatni żołnierze Wileńszczyzny

Tymczasem w lipcu 1945 r. w Wilnie nastąpiła wyspa resztek Komendy Okręgu. 16 lipca został aresztowany p.o. komendanta Okręgu mjr Chrząszczewski „Ksawery”, „Kruk”. W sierpniu 1945 r. wpadła także wileńska placówka legalizacyjna. Był to praktycznie koniec działalności AK na Wileńszczyźnie na większą skalę. Zasadniczo Okręg przeniósł się do Polski „lubelskiej” i tam wznowił aktywność.

Na terenie Wileńszczyzny pozostały, co prawda, pozbawione kontaktu z przelozonymi resztki struktur Okręgu. Istniała (do 1946 r.) siatka wywiadowcza „Auszra”, która częściowo przejęła Legalizację. Działy też nadal oddziały partyzanckie, zasilane przez ludzi chcących uniknąć poboru czy ukrywających się przed NKWD. Los tych „ostatnich żołnierzy” był tragiczny. O ile jeszcze w 1945 r. mogli liczyć na pomoc siatki konspiracyjnej i przerzucenie na inne tereny, o tyle później nie mieli już takiej szansy. Do połowy 1946 r. partyzantka ta prowadziła aktywną działalność, potem zamieniła się już tylko w grupy samoobrony. Na terenie Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny operowało wtedy nie więcej niż 30–40 oddziałów zbrojnych liczących do pięciuset żołnierzy, które jednak przeprowadziły do końca 1946 r. ponad sześćdziesiąt akcji bojowych. Likwidowano agentów NKWD i donosicieli, palono akta administracyjne, urzędników „przestrzegano” przed nadgorliwością, a nawet prowadzono tak spektakularne akcje, jak chronienie naturalnej bazy partyzantów (czyli lasu) przed zniszczeniem – wysadzano w powietrze tory, którymi wywożono wyrąbywane drzewo (NKWD robiło liczne przesieki, aby ograniczyć ruchy oddziałów).

Od 1947 r. ograniczano się tylko do walki o przetrwanie. Budowano w lesie i we wsiach utajnione bunkry, korzystając przy tym z pomocy miejscowej ludności (coraz częściej już nie żołnierzy siatki AK, bo tych w pierwszym rządzie dotknęły represje NKWD, lecz rodziny czy znajomych), niejednokrotnie zmieniano teren, by uniknąć licznych obław. Coraz wyraźniej zacieśniały się istotne do niedawna różnice. Polacy nierzadko walczyli w oddziałach partyzantki litewskiej, a Litwini w oddziałach polskich. Czasem też można było spotkać dezertersów z Armii Czerwonej (wśród nich zdarzali się nawet Kazachowie) i uciekinierów z obozów jenieckich. W terenie działały też bandy rabunkowe, te jednak były tępiące bez litości zarówno przez podziemie, jak i władzę sowiecką.

Do walki z partyzantką NKWD rzuciło tzw. zielone oddziały, szczególnie intensywnie operujące w latach 1945–1946. Były to prowokacyjne grupy złożone z żołnierzy NKWD, udające dezertersów z Armii Czerwonej czy żołnierzy ROA (Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej) gen. Andrieja Własowa. Ich sposobem „walki” były podstęp i zdrada. Po nawiązaniu łączności z partyzantami, „zielony oddział” przebywał z nimi przez kilka dni (w szczególnych przypadkach prowadzono nawet wspólne akcje), co służyło uspieniu czujności. Po niedługim czasie zapraszano zazwyczaj partyzantów na sute przyjęcie, zorganizowane np. pod pretekstem imienin dowódcy. Podczas takiej imprezy mordowano większość żołnierzy; przy życiu zachowywano nielicznych – tym miano następnie zorganizować pokazowe procesy.

Zimą 1946/1947 r. zadano dalsze ciosy oddziałom, stosując wzmożoną kontrolę miejscowej ludności i uniemożliwiając w ten sposób jej współpracę z partyzantami. Jedną z ostatnich grup, złożoną z dawnych żołnierzy Związku Wolnych Polaków (części AK), została w Wielki Piątek 1947 r. zlikwidowana przez oddział NKWD. W następnych latach ucieczka do lasu nie była już sposobem na przetrwanie. Z bronią w rękę pozostały tylko jednostki. Niewiele jest na ten temat informacji, wiadomo jedynie, że jeszcze w latach 1948–1952 oddziały milicji i NKWD likwidowały niewielkie *bielopolskije bandy*. Zapewne były to grupki ukrywających się w bunkrach byłych partyzantów, próbujących przetrwać „do lepszych czasów”.

Na nowym terenie

Tymczasem już w 1945 r. na terenach Polski centralnej odbudowały się struktury Okręgu Wileńskiego. Podpułkownik Olechnowicz „Pohorecki” postanowił nie rozwiązy-



Grupa oficerów Komendy Okręgu Wileńskiego AK w maju 1945 r. w Białymstoku, zaraz po ewakuacji. Fot. AIPN

wać całkowicie struktury Komendy Okręgu, a resztę członków organizacji zwolnić tymczasowo ze wszelkich funkcji organizacyjnych, traktując ich jako potencjalnych żołnierzy. Podjął też, w oparciu o stanowisko całego sztabu, decyzję o niewłączaniu się w struktury powstałego właśnie Zrzeszenia WiN. Ta nowa organizacja obejmowała bowiem tylko obszar Polski Ludowej, bez Kresów. Taka struktura i wyrażające się w niej stanowisko polityczne były dla wilnian nie do przyjęcia!

Struktury wileńskie odtworzone w Polsce centralnej składały się, oprócz ścisłego sztabu Okręgu, z dwóch podstawowych komórek – Legalizacji i Kwatermistrzowskiej. Wynikało to z charakteru podjętej działalności, czyli głębokiego zakonspirowania kadr organizacyjnych i udzielania jak najdalej idącej pomocy żołnierzom siatki. Pod koniec 1945 r. nawiązano kontakt ze Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie. Otrzymane stamtąd rozkazy potwierdziły słuszność podjętych decyzji. Okręg pozostał jako niezależna siatka konspiracyjna na terytorium Polski, przy czym miał prawo w dalszym ciągu używać nazwy „Okręg Wileński Armii Krajowej”. Naczelnny Wódz potwierdził więc tym samym odwołanie rozkazu rozwiązania się i nakazał dalszą pracę. Podstawą miały być utrzymywanie siatki w konspiracji i tworzenie z niej zaplecza dla ewentualnej dalszej walki. Jednocześnie siatka wileńska otrzymała polecenie



zbierania wiadomości dla rządu RP w Londynie, dotyczących głównie problematyki polityczno-ekonomicznej.

Jako siedzibę sztabu Okręgu wyznaczono Gdańsk – miasto portowe, „okno na świat”, zasiedlone w dużej mierze „repatriantami” z Wileńszczyzny. W grudniu 1945 r. komendant Okręgu nawiązał kontakt z mjr. Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszka”. Ten podporządkował Okręgowi swoje oddziały partyzanckie i rozpoczął działalność także na Pomorzu.

Pierwsza większa wyspa w szeregach organizacji nastąpiła w kwietniu 1946 r. Aresztowano kilku oficerów Komendy, rozbito częściowo sieć łączności i zlikwidowano rodzącą się komórkę propagandowo-informacyjną, dowodzoną przez por. Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”. Dopiero pod koniec tego roku udało się ponownie podjąć działalność. Na początku 1947 r. ppłk Olechnowicz osobiście udał się na Zachód, aby wspólnie z przedstawicielami rządu RP opracować dalszy plan pracy.

Nowe zadania dla Okręgu były dwójakiej natury. Przede wszystkim należało budować struktury konspiracyjne, pomagać żołnierzom i oficerom, legalizować zagrożonych aresztowaniem. Ci, którzy zdecydowali się dalej prowadzić pracę konspiracyjną, tworzyli tzw. Ośrodek Mobilizacyjny Okręgu Wileńskiego AK. Mieli utrzymywać

między sobą łączność, prowadzić zajęcia samokształceniowe, przekazywać informacje i „być gotowym do podjęcia działań zbrojnych”. Aktywność Okręgu w tym zakresie przypominała więc podstawową działalność AK podczas okupacji niemieckiej czy sowieckiej. Tylko brak oddziałów Kedywu i rozwiniętej akcji wydawniczej nie pozwala uznać tego okresu za pełną kontynuację poprzedniej działalności.

Drugim zadaniem otrzymanym przez Okręg było zbudowanie siatki wywiadowczej i przekazywanie w miarę pełnych danych o życiu politycznym, gospodarczym, społecznym i wreszcie wojskowym komunistycznej Polski. Do realizacji tego celu „Pohorecki” powołał por. Zygmunta Szymanowskiego „Bza”.

Siatka wywiadowcza utworzona z żołnierzy konspiracji wileńskiej zdobywała i przekazywała na Zachód cenne informacje, których wartość doceniły nie tylko rząd RP, lecz także Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, infiltrujące kanały przerzutowe na Zachód. Doprowadziło to do jednej z największych akcji MBP skierowanych przeciwko polskiemu podziemiu – „Akcji X”. Rozpoczęta w połowie 1948 r., w swoich kolejnych rzutach i mutacjach trwała praktycznie do roku 1956. Łącznie aresztowano ponad 6 tys. osób, kilkadziesiąt skazano na karę śmierci. Praktycznie wszystkich „repatriantów” z Wileńszczyzny otoczono kontrolą i „opieką”, która trwała jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Wyroki śmierci nie ominęły całej Komendy Okręgu. Wykonano je na prawie wszystkich skazanych, m.in.: ppłk. Antonim Olechnowiczu „Pohoreckim”, mjr. Zygmuncie Szendzielarzu „Łupaszce”, kpt. Henryku Borowskim „Trzmielu”, por. Wacławie Walickim „Tesarro”, ppor. Lucjanie Minkiewicz „Wiktorze”, por. Wiktorze Kuczyńskim „Wiktorze”, por. Jerzym Łozińskim „Jerzym”, por. Edmundzie Bukowskim „Zbyszku” i na wielu, wielu innych.



Piotr Niwiński (ur. 1966) – historyk i politolog, dr hab., profesor Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik Zakładu Nauk o Bezpieczeństwie UG, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku. Autor książek: *Okręg Wileński AK 1944–1948* (1999); *Działania komunistycznego aparatu represji wobec środowisk kombatan-tów wileńskiej AK 1945–1980* (2009); (współautor) *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku* (2013); *Ponary. Miejsce „ludzkiej rzeźni”* (2015) i in.

Tomasz Balbus

Eksterytorialny Okręg Lwowski AK-WiN i jego rozbitcie przez bezpiekę

Akcja „Burza” w Obszarze Lwowskim AK, wspólne walki polskiego podziemia i czerwonarmistów wkraczających na Kresy Południowo-Wschodnie II RP, a zaraz potem represje sowieckich służb bezpieczeństwa nie zakończyły epopei konspiracji lwowskiej. Kres położyła jej dopiero operacja „Radwan”.

W drugiej połowie 1945 r. Komenda Obszaru – z płk. Janem Władysławem „Janiną” na czele – ewakuowała do Polski pojałtańskiej kadry konspiracyjne ocalałe z serii aresztowań, które były wynikiem operacji czekistowskich i akcji NKWD. Dzięki temu na ziemiach południowo-zachodnich, w tym na przyłączonym Dolnym Śląsku, zostały odtworzone podziemne siatki organizacyjne, zarówno tarnopolan, jak i lwowian. Tylko oficerowie trzeciego z okręgów (Stanisławów), wchodzącego wcześniej w skład Obszaru, nie zdołali zreorganizować swojej struktury.

Walizka Pandory

Główna operacja rozpracowania konspiracji lwowskiej była realizowana w latach 1947–1956 przez jednostki komunistycznej bezpieki pod kryptonimem „Radwan”. Został on przyjęty od jednego z pseudonimów Jana Brodzisza, pierwszego z konspiratorów lwowskich aresztowanych we wrześniu 1947 r. we Wrocławiu, szefa Komórki Legalizacyjnej Okręgu.

To tragiczne w skutkach dla całej organizacji aresztowanie nastąpiło zupełnie przypadkowo. Jego przyczyną było zaniedbanie kardynalnych zasad bezpieczeństwa przez działaczy Komórki Legalizacyjnej, którzy swoje podręczne archiwum ukryli w walizce z fałszywym nazwiskiem i zdjęciem właścicielki w... gruzach domu przy ul. Parkowej. Gdy 26 września 1947 r. ok. 14.00 Stanisław Koziół i Jan Ryszka – dwaj szabrownicy, jakich wówczas po Dolnym Śląsku grasowało tysiące – penetrując gruzowisko, odkryli tę walizkę (zawierała ona m.in. kenkarty, czyste blankiety zaświadczeń, legitymacje instytucji państwowych, wykaz członków konspiracji, pieczęcie nagłówkowe i okrągłe, w tym wojskowe i poselstw zagranicznych, urzędów państwowych, np. urzędów sowieckich i Ministerstwa Spraw Zagranicznych), wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Nieudana próba szantażu i uzyskania pieniędzy od właścicieli walizki, Jana Brodzisza „Ścibora”, „Radwana” i Emilii Olgi Lewandowskiej „Marysi”, zakończyła się przekazaniem tych materiałów bezpiece.

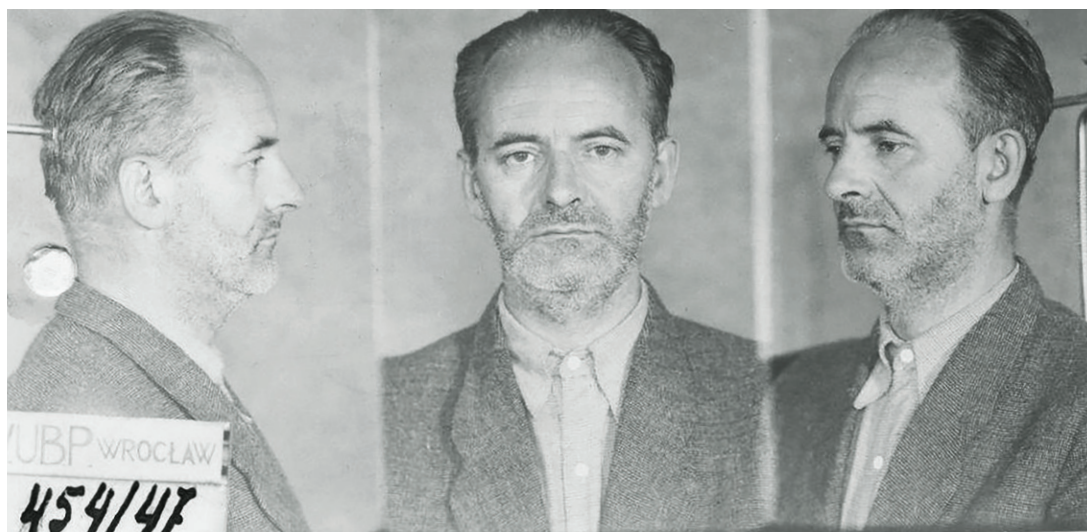
Jeszcze tego samego dnia wieczorem do mieszkania rodziny Bolesława Monnego „Konrada” przy ul. Parkowej 25b weszła grupa operacyjna Sekcji II Wydziału III Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Byli w niej m.in. chor. Roman Tomaczak i naczelnik wydziału por. Aleksander Majkowski.

Urządzono kocioł i w niedługim czasie aresztowano kilka osób ściśle związanych z Komórką Legalizacyjną. Bolesława Monnego, Marię Krystynę Monne, Jana Brodzisza, Bronisławę Fritz, Jadwigę Fritz i Emilię Olgę Lewandowską przewieziono do Wydziału III WUBP przy ul. Podwale Świdnickie we Wrocławiu, gdzie zostali poddani wielogodzinnym przesłuchaniom i szybkim konfrontacjom.

W wyniku wyjaśnień złożonych przez aresztowanych i dzięki przejęciu we Wrocławiu materiałów legalizacyjnych bardzo szybko, bo już w ciągu kilkadziesiąt godzin, nastąpiły dalsze celne uderzenia w kluczowe osoby z Komendy Okręgu. 29 września 1947 r. o 19.30 w swoim krakowskim mieszkaniu została aresztowana Maria Zajączkowska „Majewska”, kurierka Komendy Okręgu i zastępca szefowej łączności. 7 listopada, także w Krakowie, przy ul. Karmelickiej 57 (w biurze Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego), zatrzymano Jadwigę Zawistowską „Helenę”, kolejną kurierkę. Kilka godzin wcześniej zdołała jeszcze zabezpieczyć konspiracyjną kasę.

Następnego dnia, również w Krakowie, aresztowano Agnieszkę Königsman „Teresę”, łączniczkę Komendy Okręgu. Funkcjonariusze UB zabrali ją z Domu Ubogich św. Wincentego a Paulo przy ul. Warszawskiej. 18 listopada o 18.00 w Gliwicach został aresztowany Błażej Łamasz „Błazio”, łącznik prowadzący jeden z ważniej-

Jan Brodzisz, szef Komórki Legalizacyjnej Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN





Bolesław Monne, pracownik Komórki Legalizacyjnej Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN

szych lokali „pocztowych” Komendy Okręgu. Wyśłani z Wrocławia chor. Roman Świdorski i chor. Władysław Bylica, pracownicy bezpieki, urządzili tam zasadzkę trwającą do 24 listopada. Do gliwickiego UB „Błazio” został zabrany razem z żoną Antoniną (zwolnioną po trzech tygodniach śledztwa). „Po przeprowadzeniu ich do urzędu – raportował chor. Bylica – oficer śledczy Świdorski wszczął przesłuchania, które nie dały żadnych rezultatów, a następnie zachorował i wyjechał do Wrocławia. W jego zastępstwie ja przesłuchiwałem całą noc, co też nie dało żadnych wyników”. Starszy już lwowiak trzymał się twardo zarówno podczas śledztwa prowadzonego w Gliwicach, jak i we Wrocławiu. Mówił niewiele, podawał tylko pseudonimy, niekiedy znane już wcześniej nazwiska. Jednak już wówczas coraz więcej nowych informacji uzyskiwanych przez śledczych skutkowało dekonspiracją wielu osób wcześniej współpracujących z ujętymi działaczami podziemia. 19 listopada w Zakopanem „tajnie zdjęto” Roberta Sigalina „Czaka” (używającego wówczas nazwiska Malinowski), związanego z Komórką Legalizacyjną.

Wszystkie te osoby – aresztowane lub tylko zdekonspirowane – posługiwały się fałszywymi dokumentami pochodzącymi z rozbitej we Wrocławiu Komórki Legalizacyjnej.

Kolejne precyzyjne aresztowania związane z operacją „Radwan” nastąpiły wiosną i latem 1948 r. W zdecydowanej większości prowadzono je „na podstawie



Ludwika Stecura, łączniczka Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN

materiałów śledczych”, nieliczne tylko „na podstawie działań agenturalnych”, dopiero uruchamianych w oparciu o złamanych działaczy podziemia lwowskiego lub członków ich rodzin, pozyskiwanych do współpracy obietnicami zwolnienia siostry, córki lub męża. Tak 3 marca 1948 r. została zatrzymana Ludwika Stecura „Wisia”, kurierka Komendy Okręgu. W jej domu przy ul. Spółdzielczej 22 we Wrocławiu ubecy znaleźli dalsze dokumenty legalizacyjne.

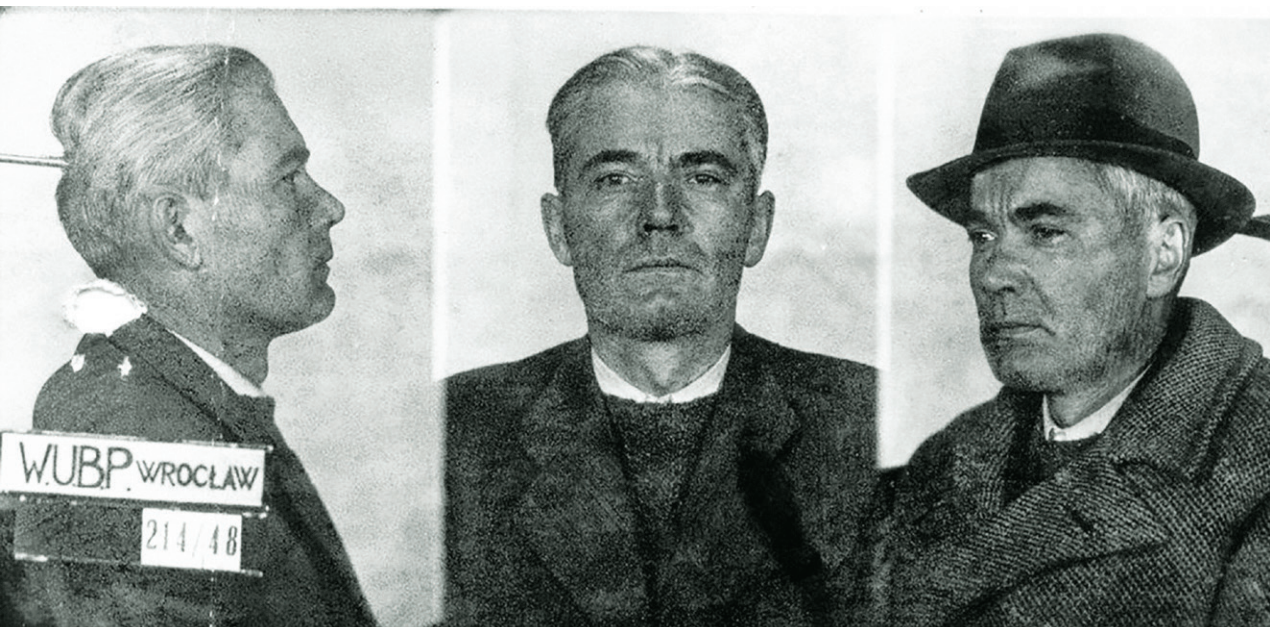
Bez pożegnania z rodziną

Największy sukces w operacji „Radwan” odnotowali funkcjonariusze bezpieczeństwa z Wrocławia w połowie marca 1948 r. w Lubaniu Śląskim, powiatowym miasteczku na Dolnym Śląsku. Grupa operacyjna na kilka godzin zablokowała jedną z głównych ulic miasteczka, wystawiono warty i kordony zaporowe, wstrzymano ruch kołowy samochodów, furmanek i rowerzystów. Funkcjonariusze weszli do budynku tamtejszego Banku Gospodarstwa Spółdzielczego przy ul. Magistrackiej 9b. Na miejscu aresztowali głównego księgowego pracującego przy okienku. Dębski, starszy pan, skromny urzędnik w garniturze, z powodu szantażu zastosowanego wobec najbliższej rodziny, zatrzymanej w charakterze zakładników, przyznał się, że faktycznie jest ostatnim komendantem Okręgu Lwowskiego AK-WiN ppłk. Anatolem Sawickim „Cybulskim”, człowiekiem nr 1 na liście ściganych działaczy konspiracji lwowskiej.

Anna Perliceusz, córka podpułkownika, we wspomnieniach pisała: „Okolo godziny 16 do naszego mieszkania na pierwszym piętrze w Banku Spółdzielczym weszło trzech funkcjonariuszy UB i przeprowadzili rewizję, która trwała około 4 godzin. W tym czasie byłam w mieszkaniu ze swoją mamą. Zabrali wszystkie zdjęcia przedwojenne i z okresu wojny oraz dokumenty, w tym dużo fałszywek. Na moją prośbę zostawili kasetkę z kilkoma zdjęciami. Mnie udało się ukryć jedną fałszywkę dokumentu ojca. Ojciec cały czas był przetrzymywany na parterze banku. W międzyczasie przyszedł jeden z funkcjonariuszy z kartą od ojca, który prosił o wydanie ciepłej bielizny, skarpet, butów, ręcznika i rzeczy osobistych. I gdy mamusia to przygotowała i chciała zanieść ojcu, to żołnierz nie zgodził się. Tak że nie pozeznaliśmy się i nawet z daleka nie mogliśmy go już zobaczyć”. Podpułkownika przewieziono do siedziby PUBP w Lubaniu Śląskim, a po kilkunastu godzinach do Wrocławia, gdzie natychmiast kilku funkcjonariuszy rozpoczęło dochodzenie.

W tym okresie postępowała również coraz głębsza dekonspiracja wśród osób z siatki łączności. 17 marca w Zakopanem została aresztowana kurierka Maria Baczyńska „Pikuś”, współpracująca z ogniwami Komendy Okręgu. Kolejne dotkliwe dla lwowian uderzenie (po aresztowaniu ppłk. Sawickiego) nastąpiło 22 marca – z klasztoru Sióstr Szkolnych de Notre Dame w Górze Świętej Anny funkcjonariusz przebrany w habit franciszkański uprowadził ppor. Zofię Orlicz „Krystynę”,

—
Ppłk Anatol Sawicki, ostatni komendant Okręgu Lwowskiego AK-WiN. Fot. AIPN



szefową łączności konspiracyjnej, blisko współpracującą z komendantem Okręgu. Ubekiem, który przeprowadził akcję, był były żołnierz Okręgu Lwów AK, chor. Tadeusz Łabuda, wywodzący się z zasłużonej rodziny lwowskich AK-owców. Następnego dnia, 23 marca, w Zakopanem aresztowano mjr. Mariana Jędrzejewskiego „Macierzankę”, człowieka nr 2 podziemnego Lwowa i jego mózgi organizacyjny. Mieszkał przy ul. Krupówki 32, pracował w Oddziale Centrali Tekstylnej. Jedynie on i por. Zbigniew Borzysławski „Lech” mieli informacje na temat archiwum organizacyjnego ukrytego w piwnicy jednej z wrocławskich kamienic.

Krąg osób aresztowanych powiększał się systematycznie. 25 marca we Wrocławiu została „tajnie zdjęta” następna kurierka, Maria Kamińska, mieszkająca przy ul. Benedykta Poznańczyka 13 (obecnie Benedykta Polaka). 31 marca w Krakowie w kamienicy przy ul. Odrowąża 48 podczas powrotu do domu została aresztowana Helena Gawęda „Halina”, kolejna łączniczka Komendy Okręgu. „Na parę dni przed wyjazdem do Szczecina spotkałam na klatce schodowej dwóch panów, którzy po uprzednim wylegitymowaniu zatrzymali mnie” – tak w śledztwie przedstawiła okoliczności swojego ujęcia.

By wytropić tych, którzy pozostawali jeszcze na wolności, bezpieka wykorzystywała ich aresztowanych wcześniej kolegów i koleżanki. I tak 1 kwietnia 1948 r. Agnieszka Königsman „Teresa” została przewieziona do Bielska-Białej, by odnaleźć ppor. Emila Berendowicza, inspektora Inspektoratu Rejonowego Gródek. Prowadzący akcję ubek, ref. Stanisław Madeja, meldował: „Po przybyciu do Bielska zaraz

■
Mjr Marian Jędrzejewski, szef konspiracyjnego garnizonu miasta Lwowa. Fot. AIPN





Ppor. Zofia Orlicz, szefowa kancelarii i kierowniczka łączności konspiracyjnej Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN

przystąpiliśmy do działalności i prosto ze stacji udaliśmy się z »Teresą« w kierunku miejsca zamieszkania »Tarnowskiego«, jego żony i miejsca pracy żony »Tarnowskiego«. Po odpowiedzi kierunkującej od »Teresy«, że to są te miejsca, dokąd przyjeżdżała 8 razy [z »pocztą«], aż do miesiąca października 1946 [r]. Następnie udaliśmy się do [Po-wiatowego] Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i po przybyciu skontaktowaliśmy się z z-cą Szefa PUBP i zreferowaliśmy całą sprawę, prosząc o udzielenie nam pomocy». 3 kwietnia Berendowicz został zidentyfikowany i aresztowany w swoim mieszkaniu. Z raportu Madeja: „Zabrałem dwóch pracowników PUBP i udaliśmy się na ul. Zamkową, gdzie mieściła się księgarnia »Książka«, czekając na punkcie najruchliwszym, aż do czasu, kiedy ustalony Berwecki Teodor, sprzedawca, będzie szedł do miejsca zamieszkania. Berwecki Teodor zamknął księgarnię o godz. 19.15, udając się do miejsca zamieszkania, za którym i my udaliśmy się w kierunku miejsca zamieszkania w odległości 15 m. Po wejściu do bramy domu nr 33 przy ul. 3 Maja udałem się za nim, chcąc odczytać numer drzwi, aby wejść równocześnie z nim do mieszkania [...]. Po wejściu do mieszkania zastałem w mieszkaniu Berendowicza Emila, żonę jego Helenę, Berweckiego Ryszarda i ojca Berweckiego Teodora, który wszedł do mieszkania razem z nami, a to ze mną i ref. [Mieczysławem] Waksmanem. Po 10 minutach przyszli dwaj pracownicy PUBP Bielsko. Po wejściu do mieszkania oświadczyłem się oficjalnie, kim

jestem, i zażądałem wydania wszystkich przedmiotów kompromitujących, na co dostałem odpowiedź, że takowych raczej nie posiadają, więc przystąpiłem do rewizji mieszkaniowej”. Kocioł trwał do 20.00 następnego dnia.

Krąg aresztowanych osób z kierownictwa konspiracji lwowskiej również zwiększał się szybko. 5 kwietnia ok. 9.00 w Krakowie zatrzymano kwatermistrza mjr. Leopolda Rudolfa Webera „Narutowicza”, używającego wówczas nazwiska Kazanowski – kolejnego czołowego oficera Komendy Okręgu. Także w Krakowie 7 kwietnia została zatrzymana Maria Polak, jedna z łączniczek Komendy Okręgu. Zachowały się raporty agentów UB na jej temat: „Prowadzi gospodarstwo domowe, żyje w ciężkich warunkach materialnych, ponieważ w czasie wojny straciła cały swój majątek posiadany. Stosunków towarzyskich z nikim nie utrzymuje. Wychodzi w każdy dzień na Plac Kazimierza po zakup żywności i mleka dla syna [...]. Nosi stale płaszcz jesionkę bez względu na pogodę i czapkę futrzaną męża”.

Archiwum w rękach bezpieki

Następnie aresztowania wśród ludzi konspiracji lwowskiej zostały wyhamowane na prawie miesiąc, ale w miarę uzyskiwania kolejnych zeznań obciążających uderzyły z nową siłą. W dniach 7–24 maja 1948 r. podczas szeroko zakrojonych działań

O. Andrzej Tadeusz Deptuch, archiwista Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN





Okno w budynku Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu przy ul. Komuny Paryskiej 2.
Fot. slady.ipn.gov.pl

operacyjnych prowadzonych na terenie Bielawy k. Dzierżoniowa oraz Wrocławia i kilku innych miejscowości województwa aresztowano kilkunastu powiatowych działaczy podziemia lwowskiego. Był wśród nich dowódca Stefan Stebicki, zatrzymany 11 maja we Wrocławiu pod przybrzonym nazwiskiem Żmuda. Kilkanaście dni wcześniej został przez Marię Borzysławską (żonę Zbigniewa) ostrzeżony o szybko postępującej dekonspiracji ludzi z siatki lwowskiej, jednak ze względu na rodzinę nie zdecydował się na ucieczkę. W mieszkaniu urządzono kocioł trwający do rana 22 maja.

W tym czasie funkcjonariusze bezpieki z Wrocławia osiągnęli następny sukces: ujawnili istnienie i lokalizację archiwum wspomnianego mjr. Jędrzejewskiego „Macierzanki”, konspiracyjnego szefa garnizonu miasta Lwowa. 17 maja 1948 r. por. Majkowski poinformował raportem specjalnym dyrektora Departamentu III MBP: „Przesłuchany kierownik organizacyjny Jędrzejewski ps. »Zygmuntowski« złożył [dzień wcześniej] zeznanie na okoliczność zachowania archiwum organizacyjnego. Z zeznań wynika, że archiwum zostało ukryte w piwnicy aresztowanej przez nas łączniczki Kamińskiej Marii ps. »Ada« przez zastępcę »Zygmuntowskiego« Borzysławskiego Zbigniewa, zam[ieszkałego] obecnie we wsi Sztabowce,



Agnieszka Königsman, łączniczka Komendy Okręgu Lwowskiego. Fot. AIPN

pow. Żagań. Ze względów technicznych wykopanie przez nas archiwum nie zostało dotychczas wykonane. Wydelegowano jednego z pracowników celem aresztowania Borzysławskiego Zbigniewa, który następnie wskaże dokładnie miejsce, w którym zakopał akta organizacyjne”. Jednocześnie w mieszkaniach przy ul. Poznańczyka 13 m. 6 i 3 bezpieka ponownie urządziła zasadzki trwające do 21 maja.

Porucznik Borzysławski, bliski współpracownik mjr. Jędrzejewskiego, został aresztowany 28 maja w Sztabowcach o 20.00. Zatrzymali go funkcjonariusze UB podający się za kontrolerów młynów. Wstępne przesłuchania przeszedł w Koźuchowie. Potem został przewieziony do Wrocławia. 29 maja do mieszkania przy ul. Poznańczyka 13 m. 3 wkroczyła grupa operacyjna. „Borzysławski Zbigniew wskazał [funkcjonariuszom] miejsce, w którym z polecenia Jędrzejewskiego Mariana ps. »Zygmuntowski« ukrył archiwum komórki organizacyjnej okręgu »Cybulskiego« [ppłk. Sawickiego]. Wspomniane archiwum [ok. 300 dokumentów z jednego słoika] zostało przez nas zabrane do Urzędu celem skopiowania i dołączenia do rozpracowania. Archiwum to zawiera sprawozdania z ilości członków i uzbrojenia, rozkazy, awanse i odznaczenia [wnioski i listy], ostrzeżenia oraz instrukcje [wydawane] do końca 1946 [r]. Archiwum to posiada dla nas i śledztwa doniosłe znaczenie, gdyż daje nam możliwość włączyć do rozpracowania cały szereg nowych figurantów” – raportował do MBP por. Majkowski.

W końcu maja szef Wojskowej Prokuratury Rejonowej we Wrocławiu ppłk Antoni Lachowicz, podsumowując pierwsze półrocze, pisał do Naczelnej Prokuratury Wojskowej w Warszawie o nowych wynikach operacji lwowskiej: „Toczy się w dalszym ciągu śledztwo w sprawie dalszych członków pozostających w pogotowiu organizacyjnym. U niektórych z tych ostatnich znaleziono broń. Dokonano w tej sprawie w ostatnim czasie szeregu aresztowań, a spodziewane są w najbliższym czasie dalsze aresztowania”. Rzeczywiście, nastąpiły one niedługo potem. Wieczorem 8 czerwca 1948 r. w klasztorze oo. Franciszkanów w Krakowie został zatrzymany o. Andrzej Tadeusz Deptuch, archiwista Okręgu. W nocy z 23 na 24 lipca w Koźlu aresztowano rtm. Bronisława Kawkę. Rodzinę wyrzucono z mieszkania. Lokal zajął jeden z sekretarzy Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej.

Zniszczone życiorysy

Do połowy 1948 r. znaczna część oficerów funkcyjnych, łączniczek i innych ludzi zaangażowanych w działalność konspiracji lwowskiej na terenach Polski południowo-zachodniej została zidentyfikowana i aresztowana. Jak wynika z przeprowadzonych ostatnio badań, aresztowanych zostało na dłuższy czas co najmniej pięćdziesięciu aktywnych działaczy i współpracowników podziemnego Lwowa. Z kolei w skali całego kraju jedynie w 1948 r. aresztowano około stu osób podejrzewanych o związki z konspiracją lwowską. Dziesiątki z nich zostało skazanych wyrokami trybunałów wojskowych we Wrocławiu, w Katowicach i Warszawie. W 1947 r. w Sosnowcu zamordowano sierż. Aleksandra Kasarabę, skazanego na karę śmierci dowódcę samoobrony akowskiej z Kościejowej k. Lwowa. W śledztwie prowadzonym we Wrocławiu samobójstwa popełnili komendant Okręgu ppłk Anatol Sawicki (w sierpniu 1948 r., masakrowany podczas jednego z przesłuchań, wyskoczył z drugiego piętra WUBP na wewnętrzny dziedziniec) oraz pracownik Legalizacji Bolesław Monne (w listopadzie 1947 r., niedługo po aresztowaniu, w wyniku tortur powiesił się w celi aresztu śledczego). Podczas uwięzienia w Fordonie zmarła łączniczka Jadwiga Zawistowska (sierpień 1951 r.), a niedługo po wyjściu „na wolność” – łączniczki Agnieszka Königsman (1955) i Maria Zajączkowska (1956) oraz właściciel jednego z lokali „pocztowych” Bronisław Łamasz (1956).

Ujawnienie jesienią 1947 r. oraz w pierwszej połowie następnego roku zamrożonej siatki ppłk. Sawickiego „Cybulskiego” nie zakończyło jednak działań operacyjnych bezpieki. Szczególnie wiele nowych informacji o fundamentalnym

» Tak jak akcja »X« pozostaje synonimem masowych represji wymierzonych w środowiska wilnian ewakuowanych do Polski, tak operacja »Radwan« jest symbolem wieloletniego terroru komunistycznej bezpieki wobec lwowskiej AK. »

znaczeniu operacyjnym zostało przez śledczych wydobytych sadystycznymi metodami podczas przesłuchań lwowian aresztowanych

w operacji „Radwan”. Rozpracowywanie środowisk lwowskich trwało aż do połowy lat pięćdziesiątych i miało miejsce we Wrocławiu, w Opolu, Katowicach, Zielonej Górze i Warszawie.

W roku 1956 rozpracowanie obiektowe „Radwan” zostało rozbite na pojedyncze sprawy ewidencyjno-obszaryjne. Bezpieka PRL nadal, w miejscach zamieszkania i pracy, inwigilowała oficerów i żołnierzy lwowskiej AK, jednak już w ramach indywidualnych rozpracowań. Z dzisiejszej perspektywy historycznej można ocenić, że podobnie jak akcja „X” pozostaje synonimem masowych represji wymierzonych w środowiska wilnian ewakuowanych do Polski, tak operacja „Radwan” jest symbolem wieloletniego terroru komunistycznej bezpieki wobec lwowskiej AK – ukierunkowanego najpierw na wyniszczenie elit konspiracyjnych, a następnie spacyfikowanie i dezintegrację całej tej grupy ludzi. Oba te środowiska wiedziały z autopsji, czym jest bolszewicka władza instalowana wówczas w Polsce.



Tomasz Balbus (ur. 1970) — historyk, dr hab., naczelnik Oddziałowego Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu. Autor książek: *Ludzie podziemia AK-WiN w Polsce południowo-zachodniej 1945–1948*, t. 1–2 (2003); *O Polskę Wolną i Niezawistą (1945–1948)*. *WiN w południowo-zachodniej Polsce* (2004); „Korab”. *Wilniuk klasyczny. Doktor Roman Korab-Żebryk (1916–2004)*. *Biografia Wilnianina, oficera Armii Krajowej, więźnia NKWD, historyka Polski Podziemnej* (2012); „Fakir”. *Sergiusz Kościółkowski. Biografia egzekutora Kedywu, dowódcy szwadronu brygady „Juranda”, komendanta oddziału partyzanckiego Armii Krajowej*, t. 1–3 (2018–2020) i in.



Mariusz Maszkiewicz

Ekspatriacja i repatriacja

Polityka PRL i III RP wobec rodaków na Kresach

Polacy, którzy pozostali na Kresach II Rzeczypospolitej po 1945 r., utonęli w meandrach sowieckiej polityki narodowościowej. Sowietyzowani i rusyfikowani, rozgrywani byli przez Kreml przeciwko aspiracjom niepodległościowym Litwinów, Ukraińców i Białorusinów. Po 1989 r. Polska – w przeciwieństwie do Niemiec – nie otworzyła drzwi przed rodakami. Czy oczekiwaną repatriację zastąpić ma proces repatriotyżacji?

W polskiej historiografii XX w. zwykliśmy określać mianem „repatriacja” akcję powrotu rodaków do niepodległej Ojczyzny po 1918 r. Losy Polaków rozsianych na terytorium dawnego Imperium Rosyjskiego utrwalone zostały w wielu powieściach, m.in. Stefana Żeromskiego, Zofii Kossak, Floriana Czarnyszewicza. Repatriacja trwała – w różnych formach i ze zmiennym nasileniem – do wybuchu II wojny światowej.

Pojęcie „ekspatriacja” stosujemy natomiast do opisu procesu wysiedlenia obywateli RP, którzy w wyniku decyzji koalicji antyhitlerowskiej oraz działań Stalina znaleźli się po II wojnie światowej w obrębie nowych granic ZSRS, po czym zostali w sposób administracyjny skłonieni do opuszczenia dotychczasowych siedlisk oraz miast. Do tej samej grupy może też odnosić się słowo „repatriacja”, choć stosowałbym je raczej w przypadku przesiedleń z drugiej połowy lat 50. i z początku lat 60. XX w.

Pomysł repatriacji naszych rodaków z ZSRS powróci jeszcze raz w końcu lat 80. i w latach 90. XX w., jednak samo zjawisko nie będzie już masowe. Z dwóch powodów: Polacy z dawnych Kresów nie zgłaszali się tłumnie do urzędów konsularnych z takim żądaniem, a i Polska nie stwarzała korzystnych warunków, aby zainteresowanie wyjazdami wywołać¹.

Kto został, kto wyjechał

Z dostępnej literatury wynika, że w ramach pierwszej fali ekspatriacji – w latach 1944–1946 – do Polski w jej nowych granicach wyjechało ok. 1,5 mln osób. W tej liczbie ok. 10 proc. stanowili dawni obywatele II RP narodowości ukraińskiej, białoruskiej oraz litewskiej.

Druga fala, która nastąpiła w latach 1948–1955, objęła zwalnianych jeńców, więźniów oraz zesłańców – według różnych źródeł od 10 do 20 tys. osób, zaś ostatnia w latach 1955–1959 – ok. 250 tys. osób. Proces ten przeciągał się do połowy lat 60., gdy do PRL przesiedlały się pojedyncze rodziny, korzystając z przywileju repatriacji. W późniejszej fazie bardzo często na przeszkodzie repatriacji stawała lokalna administracja sowiecka, bowiem kierownictwo przedsiębiorstw, kołchozów i sowchozów nie chciało tracić wartościowych pracowników.

Kto decydował się na wyjazd do nowej Polski po zakończeniu działań wojennych w roku 1945? Zdecydowana większość Polaków – obywateli II RP. Zorganizowane przesiedlenia nie były przeprowadzane pod przymusem policyjnym, lecz

¹ W niniejszym artykule problem został potraktowany w sposób skrótowy. Zainteresowanych tematem odsyłam do mojej książki *Repatriacja czy repatriotyzacja? Wybrane problemy polskiej strategii politycznych wobec rodaków za wschodnią granicą (1986–1990)*, Wojnowice 2017, w której szerzej, na podstawie dokumentów archiwalnych opisuję kwestię polityki PRL i III RP wobec naszych rodaków na Kresach.

na mocy decyzji o charakterze administracyjnym, a ludziom pozostawiano pewien margines swobodnego wyboru. Kresowiacy otrzymywali na tzw. Ziemiach Odzyskanych kompensatę za majątek pozostawiony na Wschodzie. Wprowadzali się do poniemieckich domów, gospodarstw i mieszkań. Pamiętać trzeba, że wyjazd z Kresów był też świadomą decyzją polityczną, gdyż Polacy w większości nie chcieli stać się obywatelami ZSRS – wiadomo przecież, że w latach 1939–1944 nasi rodacy byli zmuszani do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego.

Które grupy Polaków pozostały na obszarze ZSRS? Przede wszystkim ci, którzy oczekiwali na powrót z łagrów i więzień swoich bliskich, nie chcieli stracić z nimi kontaktu ani zostawić ich na łaskę losu. Wysyłali im paczki, podtrzymywali na duchu, dawali nadzieję i otuchę, że po wyjściu z niewoli wrócą do swoich domów. Trwali na Kresach też ci, którzy świadomie wybrali wierność małej ojczyźnie, m.in. część duchowieństwa i niewielka grupa inteligencji, zwłaszcza w Wilnie oraz we Lwowie. Nie opuszczały tych ziem osoby przywiązane do własnej ojcowizny oraz grupy ludzi o nie do końca zdefiniowanej tożsamości etnokulturowej, pochodzących z rodzin mieszanych, zwłaszcza na pograniczu litewsko-białoruskim.

Pewną część naszych rodaków pozostałych w ZSRS stanowiły osoby wpisujące się w nową rzeczywistość, zdeklarowani „ludzie sowieccy” i przekonani komuniści, tworzący lokalny aparat administracyjny oraz partyjny. To oni założą takie gazety, jak „Czerwony Sztandar”, „Przykazania Lenina”, „Kobieta Radziecka”; to oni będą te gazety prenumerować i czytać; to oni do końca swoich dni – jeszcze w latach 90. XX w. – będą bronić tzw. sowieckiej cywilizacji.

Polacy w ZSRS – liczby i mity

Ilu Polaków pozostało na Kresach? Według wyników ostatniego sowieckiego spisu ludności z 1989 r., w ZSRS mieszkało ich 1,126 mln, z czego około 900 tys. w republikach białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej. W bezpośrednim sąsiedztwie PRL, na dawnych Kresach żyło zatem 79 proc. wszystkich Polaków w Związku Sowieckim.

Spis powszechny na Białorusi wykazał jednak, że w 1999 r. zaledwie 16,5 proc. naszych rodaków uznawało język polski za ojczysty, 57,6 proc. deklaroowało, że na co dzień rozmawia po białorusku, a 37,7 proc. – po rosyjsku. Liczba Polaków na Białorusi stale się zmniejsza: w 1959 r. wynosiła 540 tys., w 1989 zmalała do 415 tys.,

a podczas spisu powszechnego w roku 2009 do polskości przyznawało się tylko 295 tys. obywateli Białorusi. Nie inaczej jest na Litwie: w 1989 r. notowano 258 tys. naszych rodaków, w 2001 – 235 tys., a w 2011 – około 200 tys. Systematycznie spada tam odsetek Polaków uznających język polski za ojczysty: z 96,8 proc. w 1959 r. do 85 proc. w 1989 i 79 proc. według spisu ludności z 2011 r. Na Ukrainie w 1959 r. do narodowości polskiej przyznawało się 363 tys. osób, w 1979 – 258 tys., w 1989 – 219 tys., a w 2001 tylko 144 tys., co stanowiło 0,3 proc. populacji Ukrainy.

Przed zmianami ustrojowymi w Polsce uważano powszechnie, że nasza mniejszość na terytorium ZSRS liczy około 10 mln osób. Bariery polityczne, utrudniona komunikacja i przeszkody biurokratyczne w czasach komunistycznych uniemożliwiały swobodne kontakty z rodakami za Bugiem. Mieszkańcy PRL nie mieli pełnej wiedzy o życiu Polaków na Wschodzie. Panowały dwa skrajne mity. Pierwszy głosił, że cierpią oni pod sowieckim reżimem ucisk i prześladowanie, tęsknią do Macierzy i nie mogą swobodnie pielęgnować narodowych tradycji. Drugi kreował obraz środowiska całkowicie zsowietyzowanego, dowodem były między innymi docierające z Wilna kuriozalne gazety komunistyczne, takie jak wspomniany „Czerwony Sztandar”. Prawda zapewne leżała pośrodku.

Przez wieki na zachodnich obszarach Imperium Rosyjskiego czynnikiem identyfikacji narodowościowej była religia, za Polaka uznawano więc niemal każdego katolika. To uproszczenie pozwalało wierzyć, że osób porozumiewających się po polsku jest na terytorium ZSRS co najmniej kilka milionów. Z czasem utożsamianie się z polskością stawało się jednak coraz większym obciążeniem. Nasi rodacy w ZSRS rzadko mieli wysoką pozycję społeczną. Jeżeli zestawić liczbę polskich wyższych oficerów, profesorów i wybitnych inżynierów w Rosji carskiej z porównywalnymi danymi w ZSRS, staje się jasne, że po roku 1945 w elitach tego państwa zabrakło Polaków. Nie było znanych polityków, dysydentów, artystów czy uczonych, którzy przyznawaliby się do polskiego pochodzenia i uznawaliby je za powód do dumy.

Meandry sowieckiej polityki narodowościowej

Po II wojnie światowej Polacy na Kresach stali się szczególnym obiektem działań aparatu władzy. Poddawani sowietyzacji i rusyfikacji, byli też częścią społeczeństwa wykorzystywaną do osłabiania potencjalnych aspiracji wolnościowych i niepodległościowych Litwinów, Ukraińców oraz Białorusinów. W końcu lat 40. XX w.



Rodzina Pukasów, która przybyła do Polski z Kazachstanu, Skórkowice, 30 października 2017 r. Fot. PAP

decyzją Stalina zamknięto szkoły polskojęzyczne oraz zabroniono lub uniemożliwiono prowadzenie działalności społeczno-kulturalnej i religijnej na terytorium sowieckiej Białorusi, natomiast w republikach litewskiej i ukraińskiej, w których mogła pojawić się groźba powrotu do idei suwerenności, umocniono i rozbudowano system polskojęzycznej oświaty. Powstawały czasopisma, zakładano zespoły folklorystyczne, teatry.

Zwłaszcza na Litwie wspieranie polskości stanowiło element strategii rusyfikacyjnej i miało zakończyć się jeśli nie rusyfikacją, to przynajmniej sowietyzacją polskiej grupy etnicznej. Od lat 50. trwał tam proces cichego wypierania polskości przez litewską (sowiecką) administrację. W sytuacjach spornych Polacy szukali wsparcia w Moskwie – ta z kolei realizowała własną politykę rusyfikacyjną. W końcu lat 80. okazało się jednak, że kilkudziesięcioletnia strategia zawiodła w obliczu naturalnego przywiązania dużej części polskiej grupy etnicznej do tradycji narodowej. Ostatecznie znaczna część działaczy komunistycznych pochodzenia polskiego wybrała rodzime dziedzictwo, „zdradzając” idee sowieckie.

W 1950 r. Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Litwy (KPL) przyjęło uchwałę „O środkach poprawy pracy wśród ludności polskiej Litewskiej SRS”. W dokumencie zapowiedziano rozbudowę szkolnictwa polskiego, doksztalanie nauczycieli, tworzenie polskich katedr na uniwersytetach litewskich, wydawanie czasopism i książek w języku polskim, a nawet opracowywanie polskich ścieżek dubbingowych w filmach. Postanowiono też walczyć z wszelkimi przejawami nacjonalizmu litewskiego wśród członków kierownictwa partii komunistycznej (np. krytyce poddano premiera Litewskiej SRS Mečislovasa Gedvilasa i przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRS Justasa Paleckisa, negujących istnienie ludności polskiej na Wileńszczyźnie i sugerujących, że są to spolonizowani Białorusini i Litwini). W wyniku działań partii w 1954 r. w szkołach polskojęzycznych na Litwie uczyło się 32 260 dzieci, co stanowiło 7,8 proc. wszystkich uczniów w republice. W 1955 r. wydano 171 tytułów książkowych po polsku, ukazywało się 14 czasopism i gazet. Działalność rozpoczął też Polski Zespół Pieśni i Tańca „Wilia”. Od 1953 r. wychodziła polska gazeta codzienna „Czerwony Sztandar”, organ KC Komunistycznej Partii Litwy, w 1990 r. przekształcony w „Kurier Wileński”.

W tym samym czasie, na przełomie lat 40. i 50., na Białorusi zlikwidowano polskie szkolnictwo i ograniczono działalność Kościoła. Dwanaście ostatnich szkół polskich zamknięto w 1948 r., a klasy z językiem polskim istniały na wsiach grodzieńskich do początku lat 50. W pracach dr. hab. Tadeusza Gawina, do 2000 r. prezesa Związku Polaków na Białorusi, znajdujemy wiele potwierdzonych dokumentami archiwalnymi szczegółów ilustrujących proces likwidacji polskiego szkolnictwa na sowieckiej Białorusi na przełomie lat 40. i 50. – w czasie, gdy polskie klasy otwierano w Wilnie i we Lwowie.

„Obywatelem polskim nie jest..”

Władze w Warszawie zamknęły kwestię Polaków w ZSRS po zakończeniu repatriacji i nie poruszały jej w relacjach z Moskwą. W ustawie o obywatelstwie polskim z 8 stycznia 1951 r. zapisano: „Obywatelem polskim nie jest osoba, która wprawdzie w dniu 31 sierpnia 1939 r. miała obywatelstwo polskie, jednak mieszka stale za granicą i w związku ze zmianą granic Państwa Polskiego nabyła zgodnie z umową międzynarodową obywatelstwo innego państwa”².

² DzU 1951, nr 4, poz. 25.

Nasi rodacy byli więc pozostawieni sami sobie: sowietyzowani, poniżani i pozbawiani dostępu do źródeł podtrzymujących polską tradycję – szkoły oraz Kościoła. Zarówno programy nauczania w polskich placówkach oświatowych, jak i metodyka służyły postępowi sowietyzacji, a w konsekwencji prowadziły do rusyfikacji. Kulturowanie tradycji katolickich i polskich na Kresach, zwłaszcza przez Kościół rzymskokatolicki, było utrudnione lub zabronione. Władze ZSRS systematycznie spychały nielicznych i starzejących się duchownych na margines, ograniczając im dostęp do procesu wychowywania młodzieży, nie pozwalając angażować się w kwestie społeczne. Kiedy przedstawiciele mniejszości polskiej zwracali się listownie do ambasady PRL w Moskwie z prośbami o interwencje, na przykład w sprawach zamykanych kościołów, władze polskie milczały.

W lutym 1986 r. ówczesny przewodniczący Rady Państwa PRL gen. Jaruzelski – przebywający na zjeździe KPZS w Moskwie – otrzymał od sekretarza generalnego KPZS Gorbaczowa propozycję wyjazdu do Wilna na spotkanie z przedstawicielami środowisk polskich. Rok później różne instytucje PRL podjęły oficjalnie kwestię wsparcia środowisk polonijnych w Związku Sowieckim. Towarzystwo „Polonia” i MSZ przygotowywały programy współpracy, a służby konsularne otrzymały polecenie przeprowadzenia ewidencji spraw polskich. Organy władzy PRL stanęły przed problemem: jak nazywać Polaków zamieszkałych w Związku Sowieckim? Przed rokiem 1986 mówiono wyłącznie o „obywatelach radzieckich pochodzenia polskiego”, ale pod koniec lat 80. zaczęto używać określenia „Polonia”.

Stworzyć zarzewie konfliktu

Mechanizm instrumentalizacji mniejszości polskiej wzmocniono właśnie w okresie pieriestrojki. Przykładem może być decyzja Rady Najwyższej ZSRS z 26 kwietnia 1990 r. „O swobodnym rozwoju narodowym obywateli ZSRS, żyjących poza granicami swoich krajów narodowych, również tych narodów mających swoje państwa poza granicami ZSRS”. W dokumencie o randze ustawy przyznano Polakom m.in. prawo do tworzenia autonomii pod nazwą Narodowo-Terytorialne Jednostki Administracyjne. Jednym z projektów podjętych na przełomie lat 80. i 90. – niebezpiecznym, bo mogącym mieć konsekwencje o dalekosiężnym znaczeniu geopolitycznym – była nieudana próba powołania autonomii polskiej na pograniczu litewsko-białoruskim. Sprawa ta stanowi do dzisiaj przedmiot gorących



Powitanie polskich repatriantów ze Wschodu, Warszawa 20 grudnia 2016 r. Fot. PAP

sporów między politykami, działaczami polskimi na Litwie oraz historykami. W tym konkretnym przypadku ani strona sowiecka, ani Litwa, która ogłosiła niepodległość ponad miesiąc wcześniej, 11 marca, nie przekroczyły jednak czerwonej linii, nie podjęto działań zbrojnych, nie rozpoczęto szerszej zakrojonych, poważnych przygotowań organizacyjnych, wojskowych czy finansowo-administracyjnych. I chociaż Warszawa nie okazała wsparcia dla tej idei, w stosunkach polsko-litewskich pozostał na długie lata cień. Sytuacja nosiła cechy zamrożonego konfliktu, co do niedawna wzbudzało lęk i nieufność w Wilnie.

Zamiast repatriacji – repatriotyzacja?

Szczególnie należy podkreślić kardynalną różnicę między spojrzeniem opozycji solidarnościowej na perspektywę uzyskania przez narody ZSRS niepodległości a stanowiskiem władz PRL w tej sprawie. Polska tradycja historyczna i koncepcje wyrosłe wokół idei „za wolność waszą i naszą”, zakładające wspieranie uciemżonych narodów, skłoniły działaczy Solidarności podczas zjazdu w Gdańsku-Oliwie we wrześniu 1981 r. do przygotowania i uchwalenia słynnego „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej”.

Po raz pierwszy od zakończenia repatriacji na przełomie lat 50. i 60. w dokumentach MSZ PRL, w latach 1987–1989, pojawia się nieśmiało projekt nowej

repatriacji. Po zmianie rządu w Warszawie jesienią 1989 r. premier Tadeusz Mazowiecki udał się z wizytą do Moskwy. W programie jego pobytu było spotkanie z około stuosobową delegacją Polaków z różnych republik. Głos w imieniu naszych rodaków w Związku Sowieckim zabrali Ita Kozakiewicz z Rygi i ksiądz Kazimierz Świątek z Pińska. Za podstawowe kwestie uznano: nauczanie dzieci w języku polskim, otwieranie szkół polskich, kształcenie nauczycieli oraz powoływanie katedr i wydziałów polonistycznych. Przedstawiciele Polaków na Litwie postulowali utworzenie polskiej wyższej uczelni, a także ustawienie na granicy przekątnika pozwalającego odbierać w Wilnie i okolicach polskie programy radiowe i telewizyjne.

Wśród innych oczekiwań dominowały te dotyczące praw katolików (zwrotu kościołów wspólnotom wiernych), pomocy ekonomicznej czy uproszczeń wizowo-paszportowych przy wyjazdach do Polski. Co ciekawe, zachowana w archiwach notatka z tego spotkania zawiera uwagę, że delegacja Polaków nie wyrażała zainteresowania repatriacją.

Repatriacja pozostaje jednym z nieudanych projektów III RP. Dzisiaj to przekonanie jest już powszechne i trudno z nim polemizować wobec twardych liczb i faktów. W latach 1990–2015 z programu wyjazdów do Macierzy skorzystało ok. 10 tys. osób polskiego pochodzenia, podczas gdy liczby repatriantów do Niemiec po 1990 r. – tylko z byłego ZSRS – szły w setki tysięcy. Programy repatriacyjne Rzeczypospolitej z ostatnich dwóch dekad w stosunkowo małym stopniu dotyczyły naszych rodaków z Białorusi i Litwy. Owszem – czynnikiem sprzyjającym wsparciu polskości było uchwalenie ustawy o Karcie Polaka w roku 2007 – z późniejszymi licznymi zmianami. Projekt ten wywołuje jednak do dzisiaj dyskusje nad jego skutecznością i pożytkami zeń płynącymi. Kwestią otwartą pozostaje pytanie, czy Karta Polaka wzmacnia proces repatriacji, czy raczej sprzyja repatriotyzacji.



Mariusz Maszkiewicz (ur. 1959) – socjolog, dr hab., prof. UKSW; Ambasador RP w Gruzji. W okresie PRL działał w ruchu „Wolność i Pokój”, założył i wydawał poza cenzurą miesięcznik „Dyskurs”. Publikował w prasie podziemnej, w 1986 r. ukazało się w paryskiej „Kulturze” jego opowiadanie *Tyle piwa za darmo* o udziale LWP w inwazji na Czechosłowację. Represjonowany przez SB. Od 1990 r. w dyplomacji. Był pierwszym polskim powojennym oficjalnym przedstawicielem w Litwie (w randze *chargé d'affaires*). Zakładał konsulat w Grodnie i pełnił funkcję Konsula Generalnego, a w latach 1998–2002 Ambasadora RP w Białorusi. Autor m.in.: *Nasz patriotyzm – ich szowinizm. Rozmowa z Vytautąsem Landsbergisem* (2011); *Między bezpieczeństwem a tożsamością* (2013); *Repatriacja czy repatriotyzacja? Wybrane problemy polskich strategii politycznych wobec rodaków za wschodnią granicą (1986–1990)* (2017).



Jan Plater-Gajewski. Fot. AIPN

Adam Hlebowicz

„Nie damy pogrześć mowy”

Jan Plater-Gajewski (1909–1998)

Urodził się 24 października 1909 r. w Johannisbad (Jańskich Łaźniach) w Czechach. Harcerz, działacz Światowego Związku Polaków z Zagranicy, uczestnik wojny obronnej 1939 r., działacz polski w Kazachstanie, organizator życia kulturalnego i nauczania języka polskiego w latach 1963–1988. Wielokrotnie represjonowany przez władze sowieckie, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jego rodzicami byli Jan, muzyk, profesor konserwatorium w Krakowie, oraz Zofia, artystka malarka i pianistka. Młody Jan Plater-Gajewski ukończył gimnazjum w Krakowie. Tam studiował ekonomię w Szkole Nauk Politycznych, ale edukację przerwał. Służbę wojskową odbył w podchorążówce w Gnieźnie, potem służył w 16. pułku piechoty w Tarnowie. W 1934 r. był jednym ze współorganizatorów II Zjazdu Polaków z Zagranicy w Warszawie i Krakowie – powołano wtedy do życia Światowy Związek Polaków z Zagranicy (Światpol), na którego czele stanął marszałek Senatu RP Władysław Raczkiewicz.

Plater-Gajewski zajmował się sprawami edukacji polskiej w krajach ościennych. Wyjeżdżał m.in. na Łotwę, gdzie uczestniczył w pierwszej konferencji nowo powstałego Związku Polaków na Łotwie, która w czerwcu 1939 r. odbyła się w Dyneburgu. W tym samym roku jako podchorąży Krakowskiego 20. pułku piechoty (należącego do 6. DP gen. Bernarda Monda w ramach Armii „Kraków”) wziął udział w wojnie obronnej. Ranny w bitwie pod Jarosławiem, dostał się do Lwowa. Sowieci aresztowali go 23 października 1939 r., gdy próbował przejść granicę sowiecko-węgierską. Trafił do więzienia w Moskwie, gdzie przeszedł ciężkie śledztwo. 17 maja 1941 r. skazano go na pięć lat łagrów. Został zwolniony w wyniku umowy Sikorski-Majski we wrześniu 1941 r.

Gdy był w Armii gen. Władysława Andersa, gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz odkomenderował go do dyspozycji Ambasady RP w Kujbyszewie. Jak wynika z dokumentów zgromadzonych w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, wiosną 1942 r. Plater-Gajewski krótko był delegatem Ambasady RP w Bucharze. Polska żandarmeria wojskowa aresztowała go w niewyjaśnionych okolicznościach. Według danych Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB) ZSRS ujawnionych w 1993 r. przez płk. Wiktora Goreckiego, naczelnika Centrum Informacyjnego MSW Kazachstanu, zatrzymano go za defraudację. Nie wyjechał z Armią Andersa do Iranu, pozostał w ZSRS.

Polskość w Karagandzie

23 października 1943 r. znów aresztowali go Sowieci – jako „element społecznie niebezpieczny” został skazany na trzy lata łagrów. Uwolniony w lipcu 1945 r., ponownie trafił do więzienia w październiku; skazano go na sześć lat pozbawienia wolności, tym razem odbył cały wyrok. W okresie 1951–1956 przebywał na zesłaniu. W 1961 r., pozbawiony jakichkolwiek dokumentów, zdecydował się przyjąć obywatelstwo sowieckie. W 1965 r. Najwyższy Sąd ZSRS zrehabilitował go, uznając, że więziono go bezprawnie.

Odzyskawszy wolność, zamieszkał w Karagandzie, gdzie pracował jako agrom i ekonomista. W 1961 r. ożenił się z Polką Heleną Miroszniczenko (1921–1992), która była jego towarzyszką do końca życia. Od 1963 r. organizował Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Kazachstanie (TPRP) jako odpowiednik Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR), istniejącego i działającego w PRL.

Zasiadał we władzach obu podmiotów; w przypadku TPRP z siedzibą w Karagandzie był prezesem i jednocześnie założycielem oddziału. W Związku Sowieckim dawało to pewne możliwości działania. Odwiedzał skupiska Polaków, inspirował zakładanie klubów, świetlic i zespołów ludowych. Przy pomocy powołanych przez siebie 90 oddziałów towarzystwa przygotował 52 wystawy publiczne, urządził 20 bibliotek z polską literaturą, zorganizował wiele koncertów muzycznych i baletowych. Bibliotece i czytelnicy polskiej w Karagandzie przekazał 620 książek i liczne czasopisma ze swoich zbiorów. Dzięki jego zaangażowaniu placówka ta zgromadziła 23 tys. tomów wydawnictw polskojęzycznych. Udało mu się doprowadzić do pierwszej wymiany młodzieży między PRL a Kazachską Socjalistyczną Republiką Sowiecką.

W 1969 r. pierwszy raz odwiedził powojenną Polskę. Jak napisał Andrzej Kaczyński: „Spotkał ludzi, którzy w ówczesnych ograniczonych warunkach chcieli coś zrobić dla Polaków w ZSRS: nawiązać kontakty, pisać listy, posyłać pamiątki z Polski. [...] Gajewski dostarczył polskie adresy w Kazachstanie, ochotnicy, z których wymienić należy jednego z najwytrwalszych, Lucjana Jabłońskiego, wysyłali do Kazachstanu prasę, książki, pocztówki. Dla wielu Polaków był to pierwszy kontakt z ojczyzną przodków”. Z Polski Gajewski otrzymywał pomoc głównie od TPPR, w ramach którego działał Klub Przyjaciół Karagandy, warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i Warszawskiej Chorągwi ZHP. Wiele paczek na granicy konfiskowały służby polskie lub sowieckie – zjawisko to ustało, kiedy wszystkie przesyłki zaczęło nadawać TPPR. W raporcie dla Służby Bezpieczeństwa z 12 maja 1972 r. TW „Stefan” stwierdził: „Paczki są tak zestawiane, że na wierzchu znajduje się literatura np. marksistowska, a w środku Biblie, wydawnictwa »Więzi« czy »Znaku«. Paczki trafiały na cały obszar ZSRS, Plater-Gajewski przysyłał do Polski adresy odbiorców.

Był inwigilowany zarówno przez sowieckie KGB (obiekt „Jezuita”), jak i polską SB (figurant „Gaj”) – w Archiwum IPN zachowała się korespondencja dotycząca współpracy tych służb. Oficer KGB W. Sałow napisał 9 czerwca 1972 r. do dyrektora Departamentu IV MSW płk. Zenona Gorońskiego: „Plater-Gajewski był w przeszłości trzykrotnie więziony za przestępstwa przeciwko państwu, a obecnie jest podejrzany o przekazywanie do Watykanu, nielegalnymi kanałami, informacji o sytuacji katolików w Kazachstanie. [...] Prosimy o poinformowanie o być może posiadanych materiałach na Plater[a]-Gajewskiego oraz o zorientowanie się, czy nie dysponujecie agentem,

3

- 2 -

Kraspande, dnia 1 listopada 1986 r.

PODANIE

Proszę o wyrażenie zgody na stały pobyt (osiedlenie się) w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zamiar osiedlenia się w miejscowości

Kraków - Sopot

motywyuję następująco:

Ja polak z draxda-prochoda, stale mieszkałem w Pol-
 sie gdzie uczyłem się studiowałem, służyłem w wojsku
 polskim i miałem obywatelstwo polskie do 1960 roku.
 W 1939 roku linie przymusow organy radzieckie wyruc-
 zli z Polski i bez sądów i wszelkich oskarżeń prętny-
 mywali w izolacji ponad 15 lat w okresie 1939-1951 la-
 ta za wyjątkiem krótkiego okresu koniec 1941 do końca
 1942 roku. Potem linie rehabilitowali jako bez winy uolowanego
 Po tej przyczynie ja nie mogł wyjechać do Ojczyzny - Polski
 w okresie ewakuacji polskich obywateli z zurażke radziec-
 kiego do Polski.

po zwolnieniu robłem stale wszelkie starania żeby
 wrócić do Ojczyzny, no bez rezultatu.

Chcę ostatni okres życia spędzić w Ojczyźnie - Polska
 i tam uwrzeć, być pochowany w najczystszej ziemi przy
 bliskich i przyjaciół

Za Kierownika Wydziału

Roman Siskowicki

Kraspande 16.10.18

J. Siskowicki

(podpis składającego podanie)

strona: 0003

którego można było[by] wykorzystywać do rozpracowania Plater[a]-Gajewskiego”. Z dalszej korespondencji wynika, że to KGB inicjowało i zlecało kolejne zadania w tej sprawie. 23 listopada 1972 r. Sałow zasugerował Gorońskiemu, żeby zorganizować obserwację agenturalno-operacyjną Józefy Stepanowej, która w dniach 23–26 listopada 1972 r. miała przebywać w Polsce jako przedstawicielka Platera-Gajewskiego. Była ona Polką, miała męża Ukraińca, pracowała jako nauczycielka w Temirtau w obwodzie karagandyjskim. TW „Karol” odnotował, że w czasie wizyty w Polsce powiedziała: „obserwowany jest duży pęd do nauki języka polskiego, i to nie tylko wśród osób narodowości polskiej. Na kursy j[ęzyka] polskiego organizowane pod patronatem TPRP uczęszczają m.in. Rosjanie, Niemcy, Ukraińcy, Białorusini i Łotysze”. O pracy Platera-Gajewskiego w Kazachstanie mówiła tak: „odwiedza dany ośrodek i instruuje, co i w jaki sposób powinno być robione. [...] w 1971 r. zorganizował on polonijną grupę w Soczi, »ale jest to mała grupa około pięćdziesięciu osób«”.

Ciekawy i obszerny jest raport TW „Karola” z 22 października 1973 r., kiedy Plater-Gajewski, odwiedzający kolejny raz Polskę, na skutek problemów zdrowotnych trafił do neurologa Jerzego Szewczykowskiego. Wizytę zaaranżował TW „Karol”, a lekarz zdał z niej szczegółową relację. Sytuację katolicyzmu w Kazachstanie pacjent miał przedstawić następująco: „Jest to jedyne wyznanie prześladowane. Legalną działalność prowadzą muzułmanie, ewangelicy, prawosławni, baptyści – tylko katolicy nie mają takich praw. Kilku księży katolickich (wyłącznie Polacy) prowadzi działalność nielegalnie, odprawiają nabożeństwa w mieszkaniach prywatnych, z zachowaniem dużej konspiracji. Ujawnienie przez władze takiego konspiracyjnego nabożeństwa kończy się wyrokiem skazującym dla księdza”. Wydaje się, że ten opis bardziej oddaje sytuację Kościoła w latach sześćdziesiątych niż na początku siedemdziesiątych, kiedy ks. Władysław Bukowiński oraz innych kapłanów już tak nie prześladowano. Należy dodać, że duchownymi katolickimi w Kazachstanie byli w tym czasie nie tylko Polacy, lecz także Litwini, Niemcy i Ukraińcy. W tym samym raporcie został opisany ciekawy pomysł Platera-Gajewskiego na legalizację działalności ks. Bukowińskiego. „Ksiądz mieszka gdzieś w Kazachstanie u właściciela starego moskwicza, służącego jako środek transportu przy drobnym handlu prowadzonym przez tego właściciela, a jednocześnie jako środek lokomocji do działalności prowadzonej przez księdza. Ponieważ i ksiądz, i właściciela moskwicza wszędzie widywano razem, Plater wykorzystał to i złożył

doniesienie do miejscowego Wydziału Finansowego, że oni mają bardzo wysokie dochody. Władze finansowe zażądały zapłacenia wysokiego domiaru podatkowego (pieniądze na ten cel uzyskano m.in. z dobrowolnych składek katolików obsługiwanych przez tego księdza), który prawie natychmiast, za odpowiednim pokwitowaniem, został uregulowany. Uzyskano w ten sposób dokument, przy pomocy którego odparto zarzuty władz bezpieczeństwa, że ksiądz prowadzi działalność nielegalną. Doniesienie Platera było wcześniej uzgodnione z księdzem”.

Jest bardzo charakterystyczne, że różni TW odnotowywali w raportach sprzeczne wypowiedzi Platera-Gajewskiego. Nawet w oficjalnych pismach do władz PRL często dokonywał on zmian w swoim życiorysie, np. podawał aż trzy różne lata urodzenia: 1904, 1909, 1914. Nie wiemy, czy robił to ze względu na system inwigilacji w ZSRS, czy też z innych powodów. W późniejszych latach, kiedy wrócił do Polski na stałe, ta jego cecha uwidoczniła się jeszcze bardziej: „opowiadając o sobie, nazbyt chętnie puszczał wodze fantazji. Z czasem stało się to jedną z przyczyn rozczarowania do niego urzędów państwowych i organizacji polonijnych”.

O prawa katolików na Wschodzie

W 1972 r. w ZSRS zaczęto zwalczać działalność Platera-Gajewskiego, który w związku z tym 28 listopada 1976 r. wysłał do sekretarza generalnego KC KPZS Leonida Breżniewa, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRS Nikołaja Podgornego i premiera Aleksieja Kosygina memoriał, w którym domagał się większych praw dla mniejszości narodowych zamieszkujących Związek Sowiecki, w tym Polaków. Opisał politykę sowiecką w tym zakresie – wskazał, że Polacy w Kazachstanie są systematycznie wynaradawiani i rusyfikowani, uniemożliwia im się kontakty z krajem, ogranicza korzystanie z kultury i tradycji polskiej. Odważnie pisał o deportacjach Polaków, strasznych warunkach egzystencji zesłanych, o mordzie na polskich oficerach w Katyniu (domagał się ukarania jego sprawców). Wykazywał różnice między ZSRS a PRL, gdzie bez przeszkód rozwijało się szkolnictwo białoruskie, litewskie, ukraińskie, działały stowarzyszenia tych mniejszości, odbywało się normalne życie kulturalne. Na koniec podkreślił, że wszystko, czego się domaga, gwarantuje konstytucja ZSRS i jest to zgodne z układami polsko-sowieckimi i międzynarodowymi. W 1977 r. w Karagandzie spłonął do Platera-Gajewskiego wraz z całym jego dobytkiem, w tym kilkoma tysiącami książek.

WYPEŁNIA URZĄD KONSULARNY

Kwestionariusz przyjął i sprawdził: *L. Rutkowski - sekret.*

08.12.1986r. *feb*

Opinia Urzędu *): *Ob. Jan Alek - Gajewski, jest wybitnym z historycznym punktem widzenia dokumentalistą w tym celu w wojny światowej, znalazł się na terytorium ZSRR. W 1939r. został uwolniony przez władze radzieckie i przenieśli go w różne miejsca, w tym do obozów w 1941, do obozów w Bystricy i rehabilitacji w obozowach, został w Karachstanie ZSRR. Dzięki staraniom do obozów. W latach 1957-1959 czynił starania o repatriację do Polski, ale z powodu braku informacji urzędowych do PRD nie wyjechał. Starania w Karach. ZSRR czynił także starania o umieszczenie w obozach, w tym w miejscowościach, w których zamieszkiwały rodziny przesiedlone z tych terenów Polski do Karachstanu, w tym w polskiej. Wskazał przez Księżkę, która oszukała w sprawie urzędowej centralnego Towarzystwa Przyjaciół Radziecko-Polskiej w Moskwie. Ob. Jan Alek - Gajewski nosi się z zamiarem przekazania posiadanych zbiorów bibliotecznych Grupie Wilna i Łódź oraz ośrodkom kulturalnym i oświatowym w Polsce. Wskazuje o przychylnym zainteresowaniu ze strony PRD.*



Za Kierownika Wydziału
[Signature]
(pieczęć i podpis Kierownika Urzędu lub osoby upoważnionej)
[Signature]

* (także w odniesieniu do pkt. 3 i 4 (Część I) oraz pkt. 16-18 części IV).

POUCZENIE

(dla wypełniającego kwestionariusz)

1. Przed udzieleniem odpowiedzi należy dokładnie zapoznać się z treścią poszczególnych rubryk kwestionariusza.
2. Odpowiedzi należy udzielić na każde pytanie.
3. Kwestionariusz należy wypełnić czytelnie, piśmem naśladującym druk.
4. Kwestionariusz wypełniony nieczytelnie, niedokładnie, nie podpisany, nie będzie przyjęty do rozpatrzenia.
5. Udzielenie odpowiedzi nie zgodnych z prawdą spowoduje odmowne załatwienie podania.
6. Jeżeli odpowiedź wymaga udokumentowania, należy dołączyć oryginał lub uwierzytelniony odpis wymaganego dokumentu.
7. Jeżeli pytanie nie dotyczy osoby wypełniającej kwestionariusz lub odnosi się do okresu, w którym osoba była małoletnią, w odpowiedzi należy wpisać „nie dotyczy”.
8. Strona 11 przeznaczona jest na ciąg dalszy odpowiedzi nie mieszczących się w danych rubrykach.
9. Do wypełnionego kwestionariusza należy dołączyć szczegółowy życiorys, 2 fotografie oraz wymagane dokumenty uzupełniające.

Opinia ambasady polskiej w Moskwie dotycząca Jana Plater-Gajewskiego, 9 grudnia 1986 r. Fot. AIPN

Ponieważ nie otrzymał żadnej odpowiedzi na memoriał, a nadal go przesładowano i torpedowano jego inicjatywy, 15 października 1980 r. Plater-Gajewski wystosował list do kazachskiego ministra oświaty. Znow powołując się na konstytucję ZSRS, zażądał, aby w Kazachstanie wprowadzić regularne nauczanie języka polskiego. Stwierdził: „Lektorzy języka polskiego, którzy wykładają na uniwersytetach Ałma-Aty i Karagandy, są narodowości kazachskiej, ze słabą znajomością języka polskiego, bez dostatecznego przygotowania do kształcenia kadry nauczycieli języka polskiego lub nauczania dzieci w polskich klasach. [...] Jeżeli w Kazachstanie nie będzie szacunku dla zamieszkującej tu ludności polskiej, dla jej tradycji, kultury i języka, to naród polski będzie zmuszony zastanowić się nad sprawą jednostronnego przedłużania aktywnej, ze strony Polski, przyjaźni z ZSRS”.

W trakcie kilku wizyt w Polsce odbył łącznie około dwustu spotkań publicznych, na których informował o aktualnej sytuacji Polaków zamieszkujących Kazachską SRS – w Klubie „Aurora”, w ramach współpracy z TPPR, a także z działaczami warszawskiego KIK (m.in. Andrzejem Wielowieyskim i Zdzisławem Szpakowskim – w listopadzie 1973 r.), z redakcją „Tygodnika Powszechnego” (w listopadzie 1977 i marcu 1978 r.), z duszpasterstwem oo. dominikanów w Poznaniu (również w marcu 1978 r.). Najbardziej brzemiennie w skutki było spotkanie Platera-Gajewskiego 26 lutego 1978 r. z młodzieżą akademicką w jezuickiej parafii św. Andrzeja Boboli w Szczecinie, zorganizowane przez jezuitę o. Huberta Czumę. Był obecny także brat zakonnik, Andrzej Czuma; obaj w tym czasie czynnie angażowali się w opozycji antykomunistycznej. W konsekwencji władze oskarżyły Platera-Gajewskiego o kontakty z „elementami antysocjalistycznymi” (spotykał się także z innymi działaczami Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Kazimierzem Januszem, Adamem Wojciechowskim, Bogumiłem Studzińskim) i nakazały mu w ciągu 48 godzin opuścić PRL. Ponieważ tego nie zrobił, 12 kwietnia 1978 r. został zatrzymany przez Milicję Obywatelską w Krakowie, następnego dnia odwieziony do punktu granicznego w Medyce i deportowany z Polski z zakazem rocznego przekraczania granicy jako osoba niepożądana.

Pytany w liście z 1979 r. przez Hannę Chorążynę, działaczkę PSL na emigracji, czy z Polakami w Kazachstanie można korespondować, odpowiedział: „My jesteśmy zahartowani i nie możemy się bawić w jakieś skrępowania zewnętrzne czy wewnętrzne, inaczej nie będzie po nas śladu”. Wiele jego memoriałów, pism, informacji

Pytany w 1979 r., czy z Polakami w Kazachstanie można korespondować, odpowiedział: »My jesteśmy zahartowani i nie możemy się bawić w jakieś skrępowania zewnętrzne czy wewnętrzne, inaczej nie będzie po nas śladu«.

w latach siedemdziesiątych ukazywało się w wydawnictwach niezależnego obiegu w PRL, m.in. w „Spotkaniach”, „Opinii”,

przedrukowywała je także polska prasa emigracyjna. W 1982 r. w Polsce opublikowano fundamentalną monografię Gajrata Sapargalijewa i Władymira Djakowa *Polacy w Kazachstanie w XIX w.*, w tłumaczeniu Anny Trombali i Jana Platera.

Nowe czasy, stare zadania

Ze względu na działalność Solidarności, a potem wprowadzenie w PRL stanu wojennego władze ZSRS zakazały swoim obywatelom jakichkolwiek kontaktów z Polską, w wyniku czego Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej musiało zawiesić aktywność; wycofano także lektoraty języka polskiego na wyższych uczelniach w Kazachstanie.

Plater-Gajewski w 1988 r. wrócił do Polski, choć opowiadał się przeciwko repatriacji Polaków z Kazachstanu, uważając, że nie będą się oni potrafili przystosować do warunków życia w Ojczyźnie. Jeszcze w tym samym roku razem z m.in. Bożeną Łojek, ks. Stefanem Niedzielakiem i Andrzejem Wajdą założył Stowarzyszenie Rodzina Katyńska w Warszawie. Powołał też Towarzystwo Więzi i Pomocy Polakom na Wschodzie, dzięki któremu kontynuował swoje dzieło. Anna Kasonicz z miejscowości Kokczetaw wspominała: „Pod koniec 1991 r. przywiozłam z Warszawy 24 komplety polskich strojów ludowych, które otrzymałam w prezencie od przewodniczącego Towarzystwa Więzi i Pomocy Polakom na Wschodzie, pana Jana Platera-Gajewskiego. I tak zaczęły się występy dla Polaków”. Sam organizował pomoc dla szkół i przedszkoli polskich na Łotwie: przekazywał książki bibliotekom i pomoce naukowe placówkom oświatowym, fundował stypendia dla utalentowanych uczniów, przygotowywał wyjazdy kolonijne dla polskich dzieci z Łotwy i praktyki dla nauczycieli. Co roku, dopóki zdrowie mu pozwalało, przyjeżdżał na Łotwę na inaugurację roku szkolnego, blisko współpracował z samorządami Rygi, Daugavpils (Dyneburga), Krasławia, Rēzekne (Rzeżyca), Jełgawy. Był częstym gościem na posiedzeniach Zarządu Głównego Związku

Polaków na Łotwie, chętnie uczestniczył w festiwalach kultury polskiej. W dowód wdzięczności za tę działalność i pomoc Rada Miasta 1 września 1999 r. nadała jego imię polskiemu przedszkolu w Dyneburgu. Został ponadto odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi na polu opieki i obrony interesów Polaków więzionych przez Sowiety”.

Zmarł 11 lutego 1998 r. w Warszawie, jest pochowany na cmentarzu Stare Powązki, obok żony, w kwaterze 245. Na nagrobku widnieje napis: „Żyli, cierpieli za polskość na Wschodzie”.

BIBLIOGRAFIA

- Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, 0204/1440; 01220/10, t. 1230; 1182/537.
- Gorecki W., *Polaki w Kazachstanie*, „Industrialnaja Karaganda”, 4 X 1993 r.
- Bartuszewicz M., *Jan Plater-Gajewski*, „Polak na Łotwie” 1997, nr 29.
- Chorażyna H., *Z myślą o Polakach w ZSRR*, „Wieści” (Bruksela) 1979, czerwiec.
- Instytut Polski i Muzeum gen. W. Sikorskiego w Londynie, Teczka delegata Ambasady RP w Samarkandzie i Bucharze Jana Plater-Gajewskiego, A.7.307/3.
- Juchniewicz B., *Kazachstan – Polska*, „Życie Warszawy”, 9 XI 1973 r.
- Kaczyński A., *Jan Plater-Gajewski (1909–1998). Przypominał o rodakach na Wschodzie*, „Rzeczpospolita”, 20 II 1998 r.
- Koprowski M.A., *Przez stepy Kazachstanu*, Katowice 2002.
- Malinowski A., *Z historii Związku Polaków w Kazachstanie*, „Głos Polski” (Czkałowo) 2005, nr 13.
- Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, red. S. Ciesielski, A. Kuczyński, Wrocław 1996.
- Plater-Gajewski J., *List do ministra oświaty kazachskiej SRR z 15 października 1980*, „Opinia” 1981, nr 1–2.
- Plater-Gajewski J., *List – memoriał*, „Spotkania” (Lublin) 1979, nr 6.
- Plater-Gajewski J., *Przyjaźni odległe tradycje i żywa współczesność*, „Widnokreśli” 1976, nr 5.
- Siedlecki J., *Losy Polaków w ZSRR w latach 1939–1986*, Londyn 1987.
- Wieliczko M., *Z dziejów Polaków żyjących w sąsiedztwie ojczyzny*, [w:] *Polacy w świecie. Polonia jako zjawisko społeczno-polityczne*, red. A. Koprukowniak, W. Kucharski, Lublin 1986.
- WOG, *Polska ma wielu przyjaciół w radzieckim Kazachstanie*, „Kurier Polski”, 2 XI 1973 r.
- W stepie dalekim. Polacy w Kazachstanie*, red. M. Gawęcki, J. Jaskulski, Poznań–Ałmaty 1997.



Adam Hlebowicz (ur. 1962) – historyk i dziennikarz, dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Kościół w niewoli. Kościół rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej* (1991); *Katolicyzm w państwie sowieckim 1944–1992* (1993); *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice* (2004); *Bilo-żowita Ukrainajna* (2009); *Kaliningrad bez wizy* (2012) i in.



Sebastian Ligarski

„Pomożecie?”

Edward Gierek w Szczecinie i Gdańsku (24/25 stycznia 1971 roku)

Po tragedii Grudnia '70 napięcie społeczne nie opadało i przez Polskę przetaczały się kolejne protesty. Skłoniło to nowe kierownictwo partii do bezprecedensowych wizyt w stocznich Wybrzeża.

Władzom PRL mogło się wydawać, że po grudniowej rewolucji 1970 r. przyjdzie spokój. Były to jednak tylko pobożne noworoczne życzenia, które nie miały pokrycia w nastrojach społecznych. Tragiczny Grudzień '70 – poza przetasowaniami na szczytach partii komunistycznej, gdy Władysława Gomułkę zastąpił Edward Gierek – w praktyce nic nie zmienił. Podwyżki cen nie odwołano, a osób odpowiedzialnych za masakrę robotników nie ukarano. W dodatku nowa ekipa rządząca wcale się do tego nie kwapiła.

Społeczeństwo karmiono uspokajającymi komunikatami i obietnicami. Publicysta Stefan Kisielewski pisał w odniesieniu do twórców: „Gierek obiecał im odbudowę Zamku Warszawskiego – coś to za tandeta i taniocha na pokaz – a oni łykają. Ten sam [Jarosław] Iwaszkiewicz, co wczoraj całował w d... Gomułkę, dziś wykona ten zabieg z Gierkiem. »A cierpliwa publika łyka i łyka«. Choć przekonano się ostatnio, że nie wszystko łyka – tyle że teraz dla odmiany zbuntowali się robotnicy, a literaci siedzą cicho, cichutko”.

Niespokojny styczeń

Nic zatem dziwnego, że styczeń 1971 r. nie należał do spokojnych. Według raportów Służby Bezpieczeństwa w tym właśnie miesiącu „przerwy w pracy” – jak to określała SB – miały się zdarzyć w 60 zakładach pracy. Historyk Grzegorz Majchrzak podaje, że „w styczniu najwięcej zakładów miało przerwać pracę w województwie gdańskim (12), bydgoskim (9) i szczecińskim (8), katowickim (6), koszalińskim (5), łódzkim i wrocławskim (po 4), stołecznym (3), opolskim, poznańskim, rzeszowskim i zielonogórskim (po 2) oraz kieleckim (1)”. Do najważniejszych haseł, które wysuwano w czasie tych protestów, należały, jak zauważa Majchrzak: „niezrealizowanie postulatów z grudnia 1970 r., niewyciągnięcie wniosków personalnych wobec winnych Grudnia ’70 czy żądanie ogłoszenia listy zabitych. Chyba jednak najczęstszymi postulatami okazały się – co zupełnie naturalne – podwyżka płac oraz cofnięcie podwyżek z grudnia 1970 r. Tak było chociażby w przypadku pracowników Dąbrowskich Zakładów Naprawczych Przemysłu Węglowego w Dąbrowie Górniczej, którzy 18 i 21 stycznia 1971 r. zażądali podwyżki płac o 30 proc., a ponadto w tym pierwszym dniu obniżenia cen oraz jawności rozdziału nagród i premii”.

Najpotężniejsza fala strajkowa rozlała się w województwie szczecińskim, tak doświadczonym w grudniu 1970 r. Największy strajk miał miejsce w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, centrum protestu z 18–22 grudnia 1970 r. To wtedy powstał komitet strajkowy, nieoficjalnie nazywany Ogólnomiejskim Komitetem Strajkowym, który pod koniec strajku, tj. 22 grudnia, zrzeszał 117 zakładów pracy. Po pertraktacjach z władzą, w cieniu tragedii śmierci szesnastu osób na ulicach miasta, doszło do podpisania ustaleń między OKS a regionalnymi władzami partyjnymi. Mimo zakończenia strajku w Szczecinie panowały rozgoryczenie,

gniew i frustracja, a napięcie ani na moment nie opadło. Wystarczyła iskra, aby na nowo wzniecić bunt.

Tą iskrą stał się zmanipulowany artykuł, który ukazał się 20 stycznia 1971 r. w „Głosie Szczecińskim”, organie Komitetu Wojewódzkiego PZPR, o rzekomym podjęciu zobowiązań produkcyjnych przez załogę rurowni w Stoczni Szczecińskiej. Oburzeni robotnicy uznali tekst za prowokację i proklamowali strajk. Wyszunęli głównie postulaty ekonomiczne i socjalne, choć nie zabrakło i tych o charakterze politycznym. Na czele strajku stanął Edmund Bałuka wraz z kilkudziesięcioosobowym Komitetem Strajkowym. Strajk rozprzestrzenił się na inne wydziały stoczni, a potem na większość zakładów Szczecina. Uczestnicy protestu byli izolowani przez władze (stocznia została zablokowana od strony lądu i wody, prowadzono zmasowaną akcję psychicznego oddziaływania na strajkujących), a rozmowy z władzami lokalnymi nie przynosiły rezultatu. W mieście operował sztab milicyjny, który był gotowy do odblokowania zakładu siłą. Dotarcie do stoczni dwójga dziennikarzy szczecińskich – Jerzego Pachlowskiego i Lidii Więckowskiej (korespondentki „Trybuny Ludu”) – uświadomiło strajkującym, że ich położenie jest tragiczne, bo o powodach ich protestu nikt nie wie, a ich samych określa się mianem kontrrewolucjonistów i chuliganów – w momencie gdy cały naród manifestuje poparcie dla nowego I sekretarza KC PZPR. Różne inicjatywy, które w tym czasie rodziły się w Komitecie Strajkowym i wśród jego doradców (jak próba zakończenia strajku przez Lucjana Adamczuka, obawiającego się rozlewu krwi i masakry większej od grudniowej), zrodziły wśród strajkujących potrzebę działania. Efektem był list napisany do I sekretarza KC PZPR, który miał uświadomić władzy, dlaczego i po co robotnicy zamknięci w stoczni rozpoczęli protest.

Szczecińska lekcja pokory

W tym samym czasie, wieczorem 23 stycznia, gdy w szczecińskiej stoczni Komitet Strajkowy szykował list do władz, w Warszawie na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR Gierek podejmował decyzję o wyjeździe następnego dnia do Szczecina. Nowy przywódca partii pojawił się w stolicy województwa 24 stycznia ok. 14.00 wraz z członkami Biura Politycznego i zarazem rządu. Po spotkaniu z lokalnymi notablami do stoczni pojechał gen. Franciszek Szlachcic, szef resortu spraw wewnętrznych, aby ustalić warunki spotkania z robotnikami. Niespodziewanie



Spotkanie delegacji rządowej ze stoczniovcami; od lewej Franciszek Wilanowski, Piotr Jaroszewicz, Edward Gierek, Edmund Bałuka; Szczecin, 24 stycznia 1971 r. Fot. Maciej Jasiński/AIPN

kilkanaście minut później pod bramę stoczniową dotarli Gierek i inni członkowie delegacji. Wprowadzeni na teren stoczni, podążyli do świetlicy głównej. Członkowie Komitetu Strajkowego, zaskoczeni takim obrotem sprawy, starali się zapamiętać nad chaosem, który powstał po pojawieniu się delegacji partyjno-rządowej. Po pierwsze musieli oni ustalić, z kim, w jakim składzie i według jakiego scenariusza odbędzie się spotkanie. Ponadto musieli skompletować główne postulaty (ostatecznie było ich dwanaście), aby przedstawić je w zwartej formie przybyłym gościom. Wszystko to spowodowało, że przywódca partii ze swą świtą musiał czekać blisko dwie godziny na rozpoczęcie tego bezprecedensowego spotkania. Jak pisał sekretarz Gierka, Jerzy Waszczuk, była to „pierwsza lekcja pokory”.

Na miejsce konfrontacji wybrano świetlicę główną, mogącą pomieścić ok. 300 osób. W dyskusji miały wziąć udział delegacje piętek wydziałowych, w ostateczności zaś skład uczestników był mieszany, gdyż do budynku dostało się wiele przypadkowych osób, które świetlicy już nie opuściły. Wśród przybyłych z zewnątrz nie zabrakło przedstawicieli lokalnych władz oraz mediów, w tym telewizji. Spotkanie rozpoczęło się przed 18.00. Za stołem siedziało tylko dwóch reprezentantów

Komitecie Strajkowego: Edmund Bałuka i Franciszek Wilanowski. Oprócz nich zasiedli przy nim: Piotr Jaroszewicz, Franciszek Szlachcic, Wojciech Jaruzelski, Franciszek Kaim, Eugeniusz Ołubek i Kazimierz Barcikowski. Po odczytaniu przez Bałukę dwunastu postulatów głos zabrał Gierek. Później przemawiali przedstawiciele robotników oraz członkowie rządu. Spotkanie trwało ponad osiem godzin i skończyło się ok. 2.00 w nocy. Następnie Gierek spotkał się z aktywnym partyjnym, a rano wyleciał do Gdańska (pomysł spotkania w Trójmieście narodził się jeszcze podczas debaty w „Warskim” i wyszedł od Gierka i Jaroszewicza, którzy zyskali poparcie Szlachcica), aby debatować z załogą Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

Gdańskie oklaski

W Gdańsku do strajku nie doszło. Debata z udziałem I sekretarza KC PZPR była organizowana *ad hoc*, tak że delegaci ze stoczni typowani do udziału w spotkaniu, wsiadając do podstawionych autokarów, byli przekonani, że udają się do Warszawy. TW „Bolek” (Lech Wałęsa) opowiadał swojemu oficerowi prowadzącemu, że po przyjeździe do pracy kierownictwo wydziału poinformowało załogę o zebraniu, na którym mieli zostać wybrani delegaci na wyjazd do Warszawy na spotkanie z Gierkiem. Z Wydziału W-4 prócz Wałęsy wybrano Henryka Lenarciaka i Alfonsa Suszka. O 10.00 mieli oni udać się pod hotel „Orbis”, gdzie miały czekać autokary. Niektórzy zabrali ze sobą walizki i inne bagaże. Delegaci ruszyli, ale autokary, zamiast jechać do Warszawy, zatrzymały się pod gmachem Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Pasażerów poinformowano, że Gierek przyjechał do Gdańska i zebranie z nim odbędzie się na miejscu. Wałęsa opowiadał, że „wiadomość ta zaskoczyła delegatów i były nawet odgłosy, że władze znów kłamią. Było przy tym trochę śmiechów i żartów, szczególnie z tych, którzy mieli walizki i nesesery. Niemniej atmosfera była wesoła i przyjemna”. Jak wynikało z tej relacji, niektórzy delegaci mieli przygotowane kartki z pytaniami.

Po wejściu na salę zebranych powitał I sekretarz KW PZPR w Gdańsku Alojzy Karkoszka, Gierek zaś miał zabrać głos po przedstawieniu mu przez delegatów postulatów i pytań. Robotnikom dano trzy minuty na zadanie pytania i przedstawienie problemu. Spotkanie to zatem było zupełnie inaczej przygotowane niż żywiołowa rozmowa dzień wcześniej w Szczecinie. Zaczęło się zresztą od dwóch minut ciszy, którymi uczczono ofiary Grudnia. W spotkaniu brał udział prze-



Edward Gierek przemawia do zebranych stoczniowców; Szczecin, 24 stycznia 1971 r. Fot. Maciej Jasiński/AIPN

wodniczący PWRN w Gdańsku Tadeusz Bejm, nie było zaś Jaruzelskiego, który pojechał do sztabu Marynarki Wojennej. Według relacji Wałęsy padły postulaty odwołania z zajmowanych stanowisk Stanisława Kociołka, Józefa Cyrankiewicza i Władysława Kruczka, ukarania winnych masakry grudniowej oraz demokratyzacji wyboru przedstawicieli władzy terenowej. Mowa była również o odwołaniu podwyżek cen oraz sprawiedliwym podziale premii, sprawach socjalnych i innych dotyczących stoczni. Głos zabierało 23 mówców ze strony stoczniowców, a ze strony partyjnej Gierek, premier Jaroszewicz i Szlachcic (ten miał nawet wzruszyć się i zaślinić, gdy mówił o Grudniu '70; sam tłumaczył później: „byłem niewyspany, zmęczony i rozgoryczony”). Na marginesie dodajmy, że szef MSW był na sali jedynym przedstawicielem resortów siłowych.

Na początku, jak pisze historyk Michał Paziewski, Gierek przeprosił obecnych, że najpierw był w Szczecinie, „bo tam była napięta sytuacja w »Warskim«”.

Pracownicy Przemysłu Okrętowego!

Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Gdańsku poinformował I Sekretarza Komitetu Centralnego Tow. Edwarda Gierka, że stocznie Wybrzeża Gdańskiego i zakłady kooperujące w okresie ostatnich kilku dni pracowały rytmicznie.

Towarzysz Gierek wyraził zadowolenie z tego faktu oraz życzenie spotkania się z delegacją robotników reprezentujących te zakłady.

Jest to realizacja postulatu, który był przez stoczników niejednokrotnie wysuwany.

Poprzednie dni nie należały do łatwych, jednakże ostatni okres charakteryzował się coraz większą normalizacją życia w trójmieście, większą rozważą i rytmiczniejszą pracą.

Chcemy żeby delegacja reprezentowała cały zakład stąd co do uczestników delegacji powinna wypowiedzieć się załoga.

Spotkanie z Towarzyszem Gierkiem to sprawa poważna.

Dlatego sądzimy, że delegacja wiernie przekaże troskę robotników o rozwój zakładów pracy i ludzi z nimi związanych.

Wjazd delegacji nastąpi dziś przed południem.

Ulotka do pracowników przemysłu okrętowego dotycząca wizyty Edwarda Gierka w Gdańsku. Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Gdańsku

Wałęsa raportował z kolei, że I sekretarz KC PZPR jasno i szczerze ustosunkował się do zadawanych pytań i postulatów, wyjaśnił sytuację i wskazał, że jakiegokolwiek podwyżki dla robotników są już niemożliwe, gdyż co można było, już zrealizowano. Według Wałęsy „cała atmosfera spotkania była bardzo bezpośrednia i przyjemna, wszyscy delegaci bez szemrania zostali przekonani do tego, co mówił tow[arzysz] Gierek i Jaroszewicz i wszyscy są gotowi pomóc dla rządu i partii w tej trudnej sytuacji.

Delegatom najbardziej podobała się szczerza i bezpośrednia skromność zachowania się tow[arzysza] Gierka”. Jedno z ostatnich zdań z tego raportu odnosiło się do I sekretarza, który wypowiedział wielokrotnie cytowane potem słowa: „Możecie być, towarzysze, przekonani, że my tak samo jak wy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny i nie mamy innego celu jak ten, który żeśmy zadeklarowali [...]. Jeśli nam pomożecie, to sądzę, że ten cel uda nam się wspólnie osiągnąć. Jak, pomożecie?”. Po tych słowach rozległy się umiarkowane oklaski, ale propaganda PRL była tak skuteczna, że wtłoczyła, nie tylko w umysły całego społeczeństwa, lecz także uczestników tego spotkania, obraz robotników gremialnie i chóralnie krzyczących „Pomożemy!”.

Anna Walentynowicz, również obecna na tym spotkaniu, wspominała: „Przebież rozmawiał z nami robotnik, mówił prosto i chyba szczerze, rozumiał nas. Kiedy

» Władze zrobiły wszystko, aby zmarginalizować znaczenie szczecińskiej debaty ze stoczniowcami z 24 stycznia 1971 r. i brutalnie wybić jej uczestnikom z głowy wszelkie reformy systemu. Podobnie stało się w przypadku Gdańska. »

pytał »Pomożecie?«, odpowiedzieliśmy »Pomożemy!«. I ja też chciałam pomóc. I mój głos brzmiał w tym zgodnym chó-

rze». Wałęsa w autobiografii stwierdzał po latach: „Po wystąpieniu Gierka powinien ktoś wstać i powiedzieć: »Towarzyszu, no dobrze, pytacie ‘Pomożemy’, ale komu my tu mamy pomóc?« Ale nikt tego nie zrobił [...] i na pytanie »Pomożecie?« padło »Pomożemy!«. Zacukała się wiara, to wszystko nie było takie łatwe. Jak nas przyciśnięto [...] wtedy odpowiedzieliśmy: »Pomożemy!«. Debatę w gdańskiej stoczni skomentował też na kartach swoich dzienników prof. Karol Estreicher: „Odpowiedzi Gierka na pytania są nieszczerze [...]. Jest Gierek pewny siebie. Bałamuci. Wybitnie chce zyskać na czasie. Całość wystąpienia jest niesmaczna i nieszczerza. Widać, że wszystko wróci do normy”.

Gierek mógł zatem wyjeżdżać z Gdańska w miarę zadowolony, o czym chyba trudno było powiedzieć w kontekście Szczecina. Notabene takich spotkań kierownictwo w najbliższym czasie odbyło jeszcze kilka, m.in. w Kielcach, Radomiu, Łodzi, Białymstoku czy na Śląsku. Efektem rozmowy w Stoczni Szczecińskiej było zakończenie strajku w tym mieście oraz powołanie Komisji Robotniczej, pierwszego demokratycznie wybranego przedstawicielstwa robotników w PRL. Jej żywot był jednak bardzo krótki, gdyż władze zrobiły wszystko, aby zmarginalizować znaczenie debaty z 24 stycznia 1971 r. i brutalnie wybić jej uczestnikom z głowy wszelkie reformy systemu. Podobnie stało się w przypadku Gdańska. Co więcej, ekipa Gierka starała się uczynić wszystko, aby nikt nie poniósł odpowiedzialności za Grudzień '70. A podwyżkę cen odwołano dopiero po strajkach z lutego 1971 r.



Sebastian Ligarski (ur. 1975) – historyk, dr hab., naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie. Autor książek: *W zwierciadle ogłoszeń drobnych. Życie codzienne na Śląsku w latach 1945–1949* (2007); (z M. Mazurem) *Cywilizacja komunizmu. Odmiana nadwiślańska 1944–1956* (2016); (z G. Majchrakiem) *Wojna o eter. Media elektroniczne od „solidarnościowego kamawafu” do początków rządów „solidarnościowych”* (2016); *W kleszczach totalitaryzmów. Książka Romana Gradolewskiego i ojca Jacka Hoszyckiego życiorysy niedopowiedziane* (2017); (z G. Majchrakiem) *Artyści. PRL i bezpieka. Herbert, Miłosz, Hłasko i wielu innych...* (2018) i in.

Stanisław Gucwa, Edward Babiuch i Edward Gierek na pochodzie pierwszomajowym, 1980 r. Fot. PAP

Andrzej Boboli

Zmiany w konstytucji PRL

Ekipa Edwarda Gierka obawiała się utraty zaufania Kremla. Poddańcze zapisy konstytucyjne o „nierozzerwalnej” więzi ze Związkiem Sowieckim miały uspokoić Moskwę.

Społeczeństwo usłyszało o tej sprawie 19 grudnia 1975 r., gdy w imieniu Klubu Poselskiego PZPR poseł Edward Babiuch ogłosił z mównicy sejmowej: „Konstytucyjnego potwierdzenia wymagają również zasady międzynarodowej polityki Polski Ludowej, jej przynależność do światowego systemu socjalistycznego, jej nienaruszalna braterska więź ze Związkiem Radzieckim”. Fragmenty tej wypowiedzi przytoczyła następnego dnia Polska Agencja Prasowa. Okazało się, że nad tekstem nowych zapisów konstytucyjnych proceduje już sejmowa Komisja Nadzwyczajna, opierając się na przygotowanych wcześniej przez wydziały Ideologiczny i Organizacyjny Komitetu Centralnego *Wytycznych KC na VII Zjazd PZPR*. Oficjalnie do dyskusji nad zmianami dopuszczono różne środowiska społeczne; także stronie kościelnej pozwolono ustosunkować się do propozycji zawartych w *Wytycznych*.

Marzenia o „wielkim skoku”

Omawiane *Wytyczne* liczyły ponad trzydzieści stron i były podzielone na pięć rozdziałów¹. Rozdział pierwszy dotyczył realizacji postanowień VI Zjazdu. Najobszerniejszy (bo składający się z pięciu podrozdziałów) i zawierający treści najistotniejsze z punktu widzenia władz był rozdział drugi. W ostatnim podrozdziale zapisano *idée fixe* autorów *Wytycznych* – Polska miała dokonać „wielkiego skoku” w socjalistycznym rozwoju, przedstawiano przy tym „bilans dziesięciolecia” (lata 1971–1980), mimo że mijała dopiero połowa tej dekady... Ważne treści zawierał też rozdział trzeci; były to sformułowania dotyczące zasad ustrojowo-politycznych, m.in. wspomnianej „nierozzerwalnej” więzi ze Związkiem Sowieckim, ale wyjaśniano również, co oznacza – w sensie ustrojowym – sama nazwa „Polska Rzeczpospolita Ludowa”, a także wyeksponowano „kierowniczą rolę partii” w państwie – obywatele mieli uczestniczyć w rządzeniu poprzez scedowanie tego przywileju na PZPR i w mniejszym stopniu na inne stronnictwa polityczne. Aby potwierdzić nienaruszalny prymat polityczny partii komunistycznej, wskazywano, że należy to uczynić poprzez odpowiedni zapis konstytucyjny. Inny akapit stanowił: „prawa i swobody obywatelskie w ramach demokracji socjalistycznej służą interesom budownictwa socjalistycznego”. W tym samym rozdziale podkreślano, że wymagany prawem tryb przeprowadzenia tych zmian wymusza nowelizację

¹ O *dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego – o wyższą jakość pracy i warunków życia narodu. Wytyczne KC na VII Zjazd PZPR*, Warszawa 1975.



Edward Babiuch. Fot. PAP



konstytucji. Wskazywano też, że „nastąpiły pozytywne przemiany w świadomości obywatelskiej i kulturze prawnej narodu” – odnosiło się to przede wszystkim do ludzi wierzących, którym przyszło żyć w socjalistycznej rzeczywistości. W rozdziale czwartym omawiano problemy pokoju i bezpieczeństwa światowego oraz polityki zagranicznej PRL, oficjalnie uczestniczącej w procesie odprężenia (*vide* ratyfikacja uchwał Konferencji KBWE w Helsinkach), ale zarazem podkreślano, że „jedynie ruch komunistyczny proponuje konstruktywny program rozwiązania najważniejszych problemów współczesnego świata”.

Ostatni, piąty rozdział, podnosił kwestie „ideowo-wychowawczych zadań partii”. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza miała wzrastać poprzez odpowiednie wychowanie społeczeństwa, „w oparciu o podstawy teoretyczne (marksizm-leninizm)”. Szczególnego znaczenia miały nabrać motywacje ideologiczne obywateli-członków partii, ale też Polaków bezpartyjnych, zwłaszcza młodych. Wyjątkową rolę miały odgrywać środki masowego przekazu, ponieważ jednym z celów wyznaczonych w *Wytocznych* było pogłębianie „pryncypialności ideologicznej i politycznej dziennikarzy”.

Na zakończenie jeszcze raz wskazano na konieczność wyróżnienia PZPR poprzez zapis w konstytucji – jako „partii Narodu zrzeszającej w swych szeregach ludzi pracy w wszystkich warstwach”. Ogólnie na treści *Wytocznych*, które zamierzano wcielić w życie jako nowelizację konstytucji, ciążyła znaczna ogólnikowość, a także w kilku przypadkach sprzeczność z obowiązującymi zapisami. Jaskrawym przykładem takiej rozbieżności były z jednej strony konstytucyjna zasada równości obywateli, jako zasada podstawowa, z drugiej zaś – poprawka mówiąca o podporządkowaniu praw obywatelskich interesom „budownictwa socjalistycznego”. Podobnie wyglądała sprawa konstytucyjnego rozdziału Kościoła od państwa: wraz z nowelizacją pojawiał się wymóg lojalności wierzących wobec programu socjalistycznego rozwoju Polski.

Wytoczne poruszały też bardzo delikatną w polskich realiach sprawę własności chłopskiej ziemi. Przemiany demograficzne na wsi, zdaniem autorów projektu, miały spowodować zanikanie gospodarstw indywidualnych, a co za tym idzie – całkowitą

kolektywizację wsi. Jak wspominał np. Stanisław Gucwa, wówczas marszałek Sejmu PRL z ramienia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, w czasie dyskusji

 **Genezy zmian w konstytucji PRL uchwalonej przez sejm 22 lipca 1952 r., a napisanej pod dyktando sowieckiego dyktatora Józefa Stalina należy się doszukiwać w pogarszającej się od połowy lat siedemdziesiątych sytuacji ekonomicznej i społecznej Polski.** 

nad projektem nowelizacji działacze ZSL mieli negocjować z kierownictwem PZPR wprowadzenie zapisu o nienaruszalności ziemi chłopskiej, w zamian za poparcie przez Stronnictwo „przodującej roli partii”². Jeżeli istotnie takie negocjacje miały miejsce, to ich wyniki były dla ZSL-owców zupełnym fiaskiem: zapis o przewodniej roli partii znalazł się w konstytucji w lutym 1976 r., a artykuł mówiący o trwałości gospodarstw indywidualnych został tam umieszczony dopiero w lipcu 1983 r.³

Kulisy zmian

Genezy zmian w konstytucji PRL uchwalonej przez sejm 22 lipca 1952 r., a napisanej pod dyktando sowieckiego dyktatora Józefa Stalina (w Archiwum Akt Nowych zachował się egzemplarz projektu w języku rosyjskim, z odręcznie naniesionymi przez niego poprawkami) należy się doszukiwać w pogarszającej się od połowy lat siedemdziesiątych sytuacji ekonomicznej i społecznej Polski.

Plany nowelizacji konstytucji pojawiły się po VI Zjeździe PZPR, który odbył się w grudniu 1971 r., i zamierzano je zrealizować jeszcze przed VII Zjazdem. Zmiany owe miały wyrażać modernizację gierkowskiego państwa, rosło też znaczenie partyjnej biurokracji i technokratów kierujących socjalistyczną gospodarką – symbolem tego było unowocześnienie języka konstytucji⁴.

Gdy po tragedii Grudnia '70 na Wybrzeżu i przejściu władzy przez Edwarda Gierka z rąk Władysława Gomułki, dotychczasowego I sekretarza KC PZPR, na-

² *Marszałkowie i prezesi. Mówią – Dyzma Gałaj, Stanisław Gucwa, Roman Malinowski*, Warszawa 1992, s. 98.

³ Ustawa z dnia 20 lipca 1983 r. o zmianie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, DzU 1983, nr 39, poz. 175.

⁴ T. Mołdawa, *Konstytucyjne podstawy ustroju Polski Ludowej*, [w:] *Władza w PRL. Ludzie i mechanizmy*, red. K. Rokicki, R. Spatek, Warszawa 2011, s. 19.

stąpiły kilkuletnie ożywienie gospodarcze i odczuwalna poprawa warunków życia, zrodziły się też nadzieje, że zdobycze te będą trwałe. Z czasem okazało się jednak, że oczekiwania rozbudzone początkowymi sukcesami gospodarczymi były płonne – dość szybko pojawiły się braki w sklepach, zaczęły także rosnać kolejki przed sklepami i dotyczyło to przede wszystkim artykułów pierwszej potrzeby.

A skoro pogarszał się poziom życia Polaków, to w realiach PRL problem stawał się też zmartwieniem *stricte* politycznym. Najpoważniejszym i mogącym mieć najbardziej dalekosiężne skutki dla rządzącej Polską ekipy Gierka stałaby się utrata zaufania Kremla. A ono było już nadwerężone przez rosnące zadłużenie Polski w bankach zachodnich i zbliżenie Gierka z przywódcami państw kapitalistycznych. W dodatku w 1975 r. dyskretnie, ale dość powszechnie mówiło się o kolejnej reformie państwa (pierwszą była reforma ustanawiająca dwustopniowy podział administracyjny kraju: zlikwidowano powiaty, a pozostawiono gminy, ponadto w miejscach 17 utworzono aż 49 województw), która miała przynieść Gierkowi stanowisko prezydenta PRL. Skupiłby on zatem w swoich rękach najwyższą władzę partyjną i państwową. Kluczowe znaczenie dla porzucenia tego pomysłu miała mieć krytyka płynąca z Moskwy – utworzenie takiego stanowiska było jawnym nawiązaniem do II Rzeczypospolitej, a także do ustrojów krajów Europy Zachodniej. Dezaprobatę dla tego projektu wyrażali też niektórzy członkowie kierownictwa PZPR (m.in. Stanisław Kania)⁵.

Świat patrzy

Informacje o planach nowelizacji konstytucji PRL i towarzyszącej im akcji protestacyjnej były z uwagą analizowane za granicą. W krajach bloku sowieckiego przygotowywane zmiany przyjmowano oczywiście z aprobatą, wszystkie europejskie kraje „bloku demokracji ludowej” miały już bowiem stosowne zapisy w swoich konstytucjach. Na przykład Bułgaria w 1971 r. znowelizowała konstytucję uchwaloną w 1947 r., tzw. konstytucję Dymitrowa (wzorowaną na konstytucji Związku Sowieckiego z 1936 r.). Dodano zapis o „nierozzerwalnej” przynależności Bułgarii do obozu socjalistycznego, a także podporządkowano prawa obywatelskie interesowi państwa jako nadrzędnemu

⁵ J. Eisler, *Siedmiu „wspaniałych”*. *Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Warszawa 2014, s. 287–288.



dobru⁶. Z kolei w Niemieckiej Republice Demokratycznej stalinowską konstytucję uchwaloną w 1949 r. zastąpiono już w 1968 r. nową ustawą zasadniczą, przyjętą na żądanie tamtejszego przywódcy partii komunistycznej Waltera Ulbrichta: położono nacisk na „braterskie więzi” z ZSRS, a prawa obywatelskie powiązano z „odpowiednimi obowiązkami” nałożonymi na obywateli tego państwa. W nowelizacji wprowadzonej w 1974 r. jeszcze raz podkreślono „przyjaźń” ze Związkiem Sowieckim, ograniczono też użycie w tekście konstytucji słowa „niemiecki” na rzecz określenia społeczeństwa NRD jako „socjalistycznego”⁷. W Czechosłowacji „kanoniczną” stalinowską konstytucję z 1948 r. zastąpiono dwanaście lat później nową, na której treść decydujący wpływ miał przywódca tamtejszej partii Antonín Novotný. W preambule zawarto zapisy o „naszym wielkim sojuszniku, braterskim Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich” i osiągnięciu etapu „socjalizmu” w drodze do komunizmu. Praska Wiosna w 1968 r. spowodowała pewne zmiany w zapisach konstytucyjnych – utworzono administracje państwowe dla obu narodów tworzących CSRS i ustanowiono podwójne obywatelstwo: każdy Słowak i Czech był jednocześnie obywatelem Czechosłowacji.

⁶ Tekst nowelizacji Konstytucji Bułgarskiej Republiki Ludowej uchwalonej 18 V 1971 r., <https://parliament.bg/bg/19> [dostęp: 5 I 2021 r.].

⁷ W. Büchner-Uhder, *Konstytucja Niemieckiej Republiki Demokratycznej*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1969, nr 2, s. 1–11.



Marszałek Stanisław Gucwa w czasie posiedzenia Sejmu PRL, 31 grudnia 1982 r. Fot. PAP

Prawo to zniesiono w 1971 r. kolejną nowelizacją, która doprowadziła do ponownej centralizacji struktury władzy⁸.

Projekt zmian w konstytucji PRL spotkał się z protestem krajowych środowisk niezależnych i opozycyjnych (intelektualistów i strony kościelnej). W świetle informacji zawartych w meldunkach MSW największy oddźwięk wywołały one w środkach masowego przekazu państw zachodnich. Zwłaszcza rozgłośnie radiowe – niemiecka Deutsche Welle, brytyjska BBC oraz nadające z Monachium amerykańskie Radio Wolna Europa – poświęciły wiele czasu antenowego przede wszystkim Listowi 59: najgłośniejszej formie protestu po ogłoszeniu projektu poprawek w konstytucji. Artykuły o wyrazach sprzeciwu pojawiły się też w kilku gazetach francuskich, austriackich i zachodnioniemieckich. Z raportów miało wynikać również, że dużo bardziej stonowana była reakcja dyplomacji tych państw. Na przykład Ambasada USA w Warszawie wyrażała, zdaniem funkcjonariuszy MSW powołujących się na źródła wywiadu, opinię, że „sprawa ta [tj. List 59] nie będzie miała żadnego wpływu na politykę wewnętrzną i [że] jest wyrazem ogólnoświatowej mody na wystąpienia intelektualistów”⁹.

⁸ Tekst konstytucji CSRS w języku czeskim, https://web.archive.org/web/20071010101042/http://www.psp.cz/docs/texts/constitution_1960.html [dostęp: 5 I 2021 r.].

⁹ AIPN, 0639/136, t. 5, KW MO Poznań, Wyciąg z doniesienia TW ps. „Jerzy” z dn. 26 XII 1975 r., 27 XII 1975 r., k. 17.

„Konsultacje”, które prowadzono np. ze środowiskami inteligencji katolickiej, a także z władzami kościelnymi, pokazały, że dyrektywy i postulaty zawarte w *Wytycznych*, a mające niebawem stać się zapisami konstytucyjnymi, wywołują (uzasadnioną) obawę, że PRL przestanie być nawet fasadowo państwem tolerancyjnym, gwarantującym wszystkim obywatelom podstawowe prawa. Nierównomierne miało być rozłożenie praw i obowiązków – nowe zapisy wprowadzały kategorie „równych” i „równiejszych”. Należy przy tym mieć na względzie, że środowiska, które odważyły się wyrazić krytyczne zdanie względem proponowanych zmian, obawiały się jednocześnie, jak zareaguje władza, choćby ta krytyka była jak najbardziej umiarkowana i wyważona (np. Klub Inteligencji Katolickiej z Poznania krytycznie wyraził się o zapisach dotyczących ludzi wierzących, ale zarazem wydał oświadczenie, w którym protestował przeciwko przedstawieniu tego stanowiska przez Radio Wolna Europa w sposób tendencyjny i „rozumijający się z prawdą”)¹⁰.

Pojawiały się też kolejne protesty, najczęściej w formie listów otwartych. Presja wywierana przez opinię publiczną stała się w pewnym momencie na tyle duża, że władze partyjne postanowiły wycofać się z najbardziej kontrowersyjnego zapisu mówiącego o powiązaniu praw obywatelskich z „prawomyślnym” spełnianiem obowiązków obywatela PRL (na wzór wspomnianych konstytucji NRD i Czechosłowacji). 10 lutego 1976 r. sejm, przy jednym głosie wstrzymującym (posła Koła Poselskiego „Znak” Stanisława Stommy), uchwalił nowelizację konstytucji PRL.

Sytuacja gospodarcza Polski nadal się pogarszała i kilka miesięcy później ekipa Gierka musiała się zmierzyć z protestami, do których doszło w Radomiu, Ursusie i Płocku. Towarzyszyły im dramatyczne konsekwencje w postaci brutalnych „ścieżek zdrowia” i masowych represji.

¹⁰ AIPN, 0639/136, t. 5, Pismo Jerzego Ozdowskiego, prezesa KIK w Poznaniu, i Janusza Zabłockiego, dyrektora ODiSS, do Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego, 3 II 1976 r., k. 34.



Andrzej Boboli (ur. 1969) – historyk, dr, naczelnik Wydziału Historii Polski w latach 1945–1990 w Biurze Badań Historycznych IPN. Autor książki: *„Przewodnia siła stolicy”. Komitet Warszawski Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 1975–1990* (2016).



Głosowanie w Sejmie PRL nad nowelizacją konstytucji, 10 lutego 1976 r.; poseł Stanisław Stomma jako jedyny nie poparł zmian. Fot. PAP

Cecylia Kuta

Sprzeciw wobec zmian konstytucji PRL

Narodziny jawnej opozycji antykomunistycznej

Poprawki do ustawy zasadniczej, które teoretycznie potwierdzały jedynie stan faktyczny – dominację PZPR i zależność Polski od Związku Sowieckiego – zmobilizowały do działania ludzi krytycznych wobec systemu. Tak w połowie lat siedemdziesiątych narodziła się w PRL zorganizowana opozycja.

„Powołano [...] Komisję Nadzwyczajną do zmiany konstytucji. Jest to sprawa, która stanie się kością niezgody. Otóż towarzysze w kierownictwie postanowili zapisać w konstytucji, że partia spełnia w naszym kraju kierowniczą rolę. Budzi

to zastrzeżenia wielu ludzi. Dlaczego partia ma mieć szczególne miejsce w konstytucji? W K[omitecie] C[entralnym] leży już kilka memoriałów na ten temat. W tym list podpisany przez 59 pisarzy, artystów i naukowców. Nie rozumiem, po jakiego diabła takie sformułowanie musi się znaleźć w akcie, który Polacy uważają za ogólnonarodowe dobro. Podobno [...] przyczyną, dla której chce się to zrobić, jest Związek Radziecki. Chce się w ten sposób upewnić Moskwę, że jesteśmy bardzo wiernymi synami komunizmu. Dowcip polega jednak na tym, że to zbyt stare wróble, żeby się na coś takiego dać nabrać. Obawiam się, że taki zapis stworzy spore kłopoty, przyczyni [się] do powstania napięć w społeczeństwie, a ściślej – między społeczeństwem a partią¹ – pisał w swoim dzienniku pod datą 20 grudnia 1975 r. Mieczysław Rakowski. Przewidywania redaktora naczelnego „Polityki” okazały się trafne. Zmiany w konstytucji PRL, zapowiedziane w wytycznych na VII Zjazd PZPR, a dotyczące wprowadzenia zapisu o kierowniczej roli partii oraz dodanej później wzmianki o nierozzerwalnym sojuszu z ZSRS, wywołały falę protestów w postaci listów zbiorowych kierowanych do władz przez grupy inteligencji. Pierwszym z nich był wspomniany List 59, który stanowił zapowiedź powstania zorganizowanej i jawnej opozycji antykomunistycznej.

List 59 jako preludium

Pomysł wystosowania listu wysunął mecenas Jan Olszewski podczas jednego ze spotkań opozycji w mieszkaniu Anieli Steinsbergowej. Wspólnie z Jakubem Karpińskim i Jackiem Kuroniem zredagowali tekst². Według relacji Kuronia Olszewski przekonywał: „Jest to okazja, [...] żeby wystąpić publicznie z protestem w tej sprawie i zarazem podkreślić, że robotnicy muszą mieć swoją zawodową reprezentację. Inaczej każdy konflikt o płace będzie kolejnym przelewem krwi”³. Odwołując się do uznanego formalnie przez władze Aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie z sierpnia 1975 r., mającego gwarantować

¹ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1972–1975*, Warszawa 2002, s. 386–387.

² A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Londyn 1994, s. 335; J.J. Lipski, *KOR. Komitet Obrony Robotników, Komitet Samoobrony Społecznej*, Warszawa 2006, s. 111; J. Skórzyński, „List 59” i narodziny opozycji demokratycznej w Polsce, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2008, nr 163, s. 139–140.

³ J. Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Wrocław 1995, s. 359.

społeczeństwu przestrzeganie demokratycznych norm, domagano się ustawowego zagwarantowania podstawowych wolności obywatelskich. Autorzy dokumentu zaliczyli do nich: wolność sumienia i praktyk religijnych, wolność pracy, wolność słowa i informacji, w tym zniesienie cenzury prewencyjnej, oraz wolność nauki. Przy czym pisząc o wolności pracy, zwracano uwagę na brak prawa do zrzeszania się w niezależnych związkach zawodowych. Postulat ten kilka lat później stał się podstawą wielkiego protestu społecznego, którego efektem było powstanie Solidarności. „Zagwarantowanie tych podstawowych wolności nie da się pogodzić z przygotowywanym oficjalnie uznaniem kierowniczej roli jednej z partii w systemie władzy państwowej. Tego rodzaju konstytucyjne stwierdzenie nadawałoby partii politycznej rolę organu władzy państwowej, nieodpowiedzialnego przed społeczeństwem, niekontrolowanego przez społeczeństwo. W tych warunkach Sejm nie może być traktowany jako najwyższy organ władzy, rząd nie jest najwyższym organem wykonawczym, a sądy nie są niezawisłe⁴ – pisano. Podkreślano: „Należy zapewnić realizację prawa wszystkich obywateli do wysuwania i wybierania swych przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach. Należy zapewnić niezależność sądów od władz wykonawczych, a Sejm uczynić rzeczywiście najwyższą władzą ustawodawczą”. Uważano, że „nierespektowanie wolności obywatelskiej może prowadzić do zniszczenia zaradności zbiorowej, do rozpadu więzi społecznych, do stopniowego pozbawienia społeczeństwa świadomości narodowej i do przerwania ciągłości narodowych tradycji⁵”.

Doceniając wagę dokumentu, jego sygnatariusz Jan Józef Lipski stwierdził: „Nie ma tu sensacji ideologicznych, lecz istotne jest co innego: że odważnie upomniano się o to, co od dawna wydaje się oczywiste w wielu krajach świata⁶”. Pierwszy raz oficjalnie wysunięto żądania respektowania zasad demokracji, w tym wolnych wyborów. Nie opowiadano się za ulepszoną wersją socjalizmu, lecz za zmianą systemu politycznego PRL. Pod tym względem to – jak pisał historyk Jan Skórzyński – „dokument przełomowy, będący w istocie odrzuceniem systemu komunistycznego i politycznym programem dla opozycji⁷”.

⁴ Cyt. za: „Kultura” (Paryż) 1976, nr 1–2, s. 235–236.

⁵ *Ibidem*.

⁶ J.J. Lipski, *KOR...*, s. 112.

⁷ J. Skórzyński, „*List 59*”..., s. 140.

Mecenas Jan Olszewski. Fot. AIPN

Pod listem podpisało się w rzeczywistości 66 sygnatariuszy, ale wskutek pomyłki do zachodnich mediów trafiła lista zawierająca 59 nazwisk i taka też utrzymała się w pamięci zbiorowej. Podpis pod dokumentem złożyli: Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Ewa Bieńkowska, Jacek Bierezin, Irena Byrska, Tadeusz Byrski, Bohdan Chwedeńczuk, Ludwik Cohn, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Kornel Filipowicz, Zbigniew Herbert, Ryszard Herczyński, Maryla Hopfinger, Zdzisław Jaroszewski, Anna Kamińska, Jakub Karpiński, Wojciech Karpiński, Jan Kielanowski, Stefan Kisielewski, Jacek Kleyff, Leszek Kołakowski, Julian Kornhauser, Maria Kornilowicz, Marcin Król, Ryszard Krynicki, Jacek Kuroń, Stanisław Leśniewski, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Zdzisław Łapiński, ks. Stanisław Małkowski, Jerzy Markuszewski, Adam Mauersberger, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Jan Nepomucen Miller, Ludwik Muzyczka, Zygmunt Mycielski, Jerzy Narbutt, Jan Olszewski, Antoni Pajdak, Krzysztof Pomian, Józef Rybicki, o. Jacek Salij, Władysław Siła-Nowicki, Stanisław Skalski, Antoni Słonimski, Aniela Steinsbergowa, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Adam Szczypiorski, Kazimierz Szelański, Wisława Szymborska, Jacek Trznadel, Maria Wosiek, Adam Zagajewski, Waław Zawadzki, ks. Jan Zieja. W styczniu 1976 r. dołączyli do nich: Henryk Błachnio, Mieczysław Kotlarczyk, Hanna Malewska, Hanna Rudzka-Cybisowa, Tadeusz Wojnarowski, Barbara Zbrożyna i Wojciech Ziemiński.



Dylematy sygnatariuszy

Niektórzy z sygnatariuszy mieli początkowo wątpliwości. „Pierwszym, do którego zwróciliśmy się o podpis, był [poeta] Antoni Słonimski. Przeczytał tekst, zaaprobował, ale uznał, że wolność zrzeszeń trzeba skreślić, bo wzmą nas za wariatów – że my tu chcemy ustrój zmienić. Jakby nie zauważył, że cały list był o zmianie ustroju. Zgodziliśmy się bez namysłu i Antoni zadeklarował się, że podpisze. Rozpoczę-

ły się wędrówki, stukania do różnych drzwi i rozmowy. Początkowo jeszcze parę osób zadeklarowało swoje podpisy, a potem nagle wszyscy zaczęli się wycofywać. Pierwszy Antoni [Słonimski – przyp. C.K.], że nie – nie czas, nie pora, to jest zbyt ogólnikowe. [...] Bardzo wiele osób odpowiadało nam, że nie mogą podpisywać takiego tekstu, w którym wolność wyznania jest na pierwszym miejscu, bo to nadaje całej deklaracji charakter religijny. Ale w tej sprawie zapanowałyśmy się. Chodziło o jedność inteligencji polskiej i więcej – o to, by mówiła ona głosem narodu. A dla narodu jest to sprawa niesłychanej wagi⁸ – pisał Kuroń. Wspominał dalej: „Pamiętam dyskusje, które się wokół tego toczyły. Jan Józef Lipski, który podpisał tekst bez zastrzeżeń, powiedział, że zrobił to tak, jak poszedł do Powstania [Warszawskiego]. Był przeciw, ale wszyscy szli, więc poszedł, bo wiedział, że Powstanie i tak będzie. [...] Przede wszystkim list podpisał Staszek Barańczak i Ryszard Krynicki, więc Adaś [Michnik] zwrócił uwagę Słonimskiemu, że powinien dać swoje nazwisko jako parasol. I Słonimski z wahaniem po raz drugi podpisał. Halina Mikołajska pojechała do Krakowa i przywiozła stamtąd parę znakomitych nazwisk, między innymi [pisarza] Jana Józefa Szczepańskiego⁹. Ten ostatni potwierdził to na łamach swojego dziennika: „List, który dziś podpisałem (protest przeciwko poprawkom konstytucji, stawiającym partię oficjalnie ponad sejmem i rządem), jest zredagowany naiwnie i utopijnie. Wywleczone wszystko: wolność religii, prawo do strajku, autonomię uniwersytetów. Słusznie powiedział [Stanisław] Lem: Wystarczyłoby jedno zdanie: »Precz z komunizmem!«. To oczywiście może tylko rozwścieczyć władze, zamiast skłonić je do zastanowienia. Ale w naszych warunkach nie można wybrać nawet formy protestu. A jakiś znak oporu jest konieczny. Pani M. [...] przywiozła to z Warszawy, już podżyrowane podpisami kilkudziesięciu poważnych i szlachejnych ludzi. Tu, oprócz mnie, podpisali Kornhauser, Zagajewski, Filipowicz i Szymborska. Staszek [Lem] odmówił. [...] Wcale nie jestem z siebie dumny, mimo że z całą świadomością godzę się na ofiary. Trzeba pożegnać się z projektowaną dla mnie na przyszły rok nagrodą państwową, z podróżą do Grecji, może z publikacją książek przez jakiś czas. Trzeba przygotować się na różne szykany. Ale rzecz nie sprowadza się do troski o własną opinię w tzw. środowisku. Nie wol-

⁸ J. Kuroń, *Wiara i wina...*, s. 360.

⁹ *Ibidem*, s. 360–361.



Aniela Steinsbergowa. Fot. AIPN

no się dać uśpić pozorami sielanki. Sprzeciw musi być widoczny i musi kosztować”¹⁰.

Słonimski, który początkowo miał wątpliwość w związku z podpisem pod listem, w rozmowie z dziennikarzem francuskiego pisma „Les Nouvelles littéraires” mówił: „podpisałem list do władz z protestem przeciwko projektowi zmiany konstytucji, która o ile została by uchwalona, równałaby się zalegalizowaniu dyktatury partii komunistycznej i likwidacji niepodległej Polski.

Ta walka ma dla nas zasadnicze znaczenie. Idzie o przyszłość kultury w tym kraju. [...] Jestem coraz głębiej przekonany, że ludzie wolni muszą zabierać głos, niezależnie od związanego z tym bezpośredniego ryzyka. Moje długie doświadczenie wykazuje, że zawsze zyskuje się na niepodporządkowywaniu się rozkazom i mówieniu tego, co się myśli. Oczywiście w moim wieku łatwiej wypowiadać pewne prawdy, o których milczą inni, bardziej eksponowani. Ale kiedy patrzę na postępowanie młodych, kiedy ich słucham, czuję się dumny. Są o tyle odważniejsi od starszych, którzy przez długie lata przyzwyczaili się do ustępowania. Niewątpliwie ryzyko jest dziś mniejsze niż przed dwudziestu laty, [...] niemniej napełnia mnie to optymizmem na przyszłość. [...] Po raz pierwszy od 1956 roku mam nadzieję, że zwyciężymy, że władza weźmie pod uwagę nasze zdanie. Dowodzi to, że odwaga intelektualistów czasem się opłaca”¹¹.

Stefan Karaibski stwierdzał na łamach paryskiej „Kultury”, że sygnatariusze Listu 59 „dali dowód, że po latach prasowo-radiowo-telewizyjnego prania mózgow, po latach coraz mocniej zakwitającego orwellizmu są jeszcze w Polsce ludzie inaczej, normalnie mówiący i myślący, [a] nie zastraszeni, nie »skompleksowani«. I to jacy ludzie? Nie tylko zawodowi »protestowicze« lub też starsi panowie znani i sławni, którym nic się nie stanie [...], nie tylko byli marksiści, zawiedzeni i rozwścieczeni, na których machnięto ręką, ale także ludzie młodzi i mniej znani, którzy mogą być

¹⁰ J.J. Szczepański, *Dziennik*, t. IV: 1973–1980, Kraków 2015, s. 245–246.

¹¹ Cyt. za: *L'Ordre règne à Varsovie*, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 3, s. 26–27. Por. M. Ładoń, „Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”. *Studia o Antonim Słonimskim*, Katowice 2008, s. 106.

ukarani, zniszczeni, »skoszeni«. To właśnie podnosi na duchu, to jest wychowawcze i uświadamiające, jako tryumfująca demonstracja przechowywanego w duszach i przetrwałego maksymalizmu, którego nie zdołała zniszczyć pragmatyczna »idea« wytargowania drobnych, doraźnych konkretów od wszechmocnej Partii¹².

Nowy rozdział oporu

Po zebraniu podpisów, 5 grudnia 1975 r. Edward Lipiński złożył list w Kancelarii Sejmu. Początkowo dokument został zignorowany przez władze i nie był szerzej znany. Rozgłoszyskał, dopiero gdy o proteście poinformowały pisma emigracyjne oraz redakcje zachodnie. „W[olna] E[uropa] nie ustaje w komentowaniu Listu 59-ciu. My sami ledwo zdajemy sobie sprawę z naszego uwikłania w walkę o pozory. Te poprawki konstytucyjne, przeciwko którym protestujemy, idą w gruncie rzeczy w kierunku zbliżenia do faktycznej rzeczywistości. Żyjemy w systemie jednopartyjnym, nie posiadamy suwerenności. Fikcjami są – demokracja, sejm, wolne wybory, niepodległość. Wszystko to tylko pseudonimy starego rosyjskiego imperializmu. Ale jak długo istnieją pozory, istnieje też nadzieja, że ich dysponenci mogą czasem zechcieć je potwierdzić pozornymi działaniami. Że można ich czasem zawstydzić¹³ – oceniał miesiąc po podpisaniu listu Jan Józef Szczepański. Z kolei Gustaw Herling-Grudziński pisał na emigracji: „Miesiąc temu nazwałem Memoriał [List 59] w »Giornale« dokumentem o znaczeniu historycznym. Tę ocenę potwierdziła fala dalszych wystąpień przeciw zmianom i uzupełnieniom konstytucyjnym, fala, w której uderza przelanie się poza »środowisko«, jakby zapoczątkowanie ruchu ogólnospołecznego i ogólnonarodowego. Czemu to przypisać? Przecież zmiany i uzupełnienia konstytucyjne są tylko arbitralną ratyfikacją podwójnej polskiej niesuwerenności, wobec komunistycznej Monopartii i wobec moskiewskiego Nadsuwerena, czyli stanu trwającego od końca wojny. Dlaczego opieczętowanie »situacji realnej« podziało nagle jak wstrząs? [...] [Edward] Gierek zdecydował się prawdopodobnie zapłacić cenę konstytucji za przedzjazdową prolongatę zaufania ze strony Nadsuwerena, nie spodziewając się (jako »pragmatysta«), że po trzydziestu latach panowania »situacji realnej« Polacy przywiązuja jeszcze wagę do podpisów i stempli. Memoriał

¹² S. Karaibski, *Głos ucieszonego pesymisty*, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 3, s. 18–19.

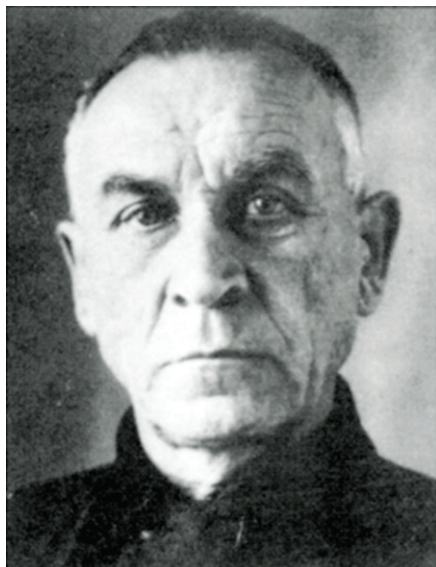
¹³ J.J. Szczepański, *Dziennik...*, s. 253.

Antoni Pajdak

Pięćdziesięciu Dziewięciu otwiera nowy rozdział »oporu antykonstytucyjnego«, znacznie niebezpieczniejszego niż mgliste i często dwuznaczne »nastroje antykomunistyczne«¹⁴.

List 59 nie był jedynym protestem wobec zmian w konstytucji. Następnego dnia po doręczeniu go marszałkowi sejmu Stanisławowi Gucwie grupa siedmiorga intelektualistów związanych wówczas lub w przeszłości z PZPR (Maria Dziewicka, Bronisław Geremek, Krystyna Kersten, Tadeusz Kowalik, Edward Lipiński, Jan Strzelecki i Krzysztof Wolicki) wystosowała do delegatów na VII Zjazd list, który przekazała na ręce I sekretarza KC Gierka. Autorzy podkreślali, że nie realizuje się obietnic złożonych społeczeństwu po Grudniu '70. Charakterystyczne w liście siedmiu było odniesienie do problemu rad pracowniczych, a także, podobnie jak w Liście 59, zwrócenie uwagi na potrzebę przywrócenia właściwej roli związków zawodowych¹⁵. Również w grudniu wpłynął do Sejmu list przedstawicieli głównie młodej inteligencji z Warszawy i Łodzi, pod którym podpisało się ok. 300 osób, mimo że w MSW był określany jako List 173. Wśród sygnatariuszy byli weterani Marca '68, literaci oraz przyszli współpracownicy Komitetu Obrony Robotników¹⁶.

Lawina kolejnych listów ruszyła w styczniu 1976 r. Na początku miesiąca list protestacyjny do marszałka sejmu przesłał Episkopat Polski, 17 stycznia – prezesi Klubów Inteligencji Katolickiej i redaktorzy naczelni wydawnictw katolickich¹⁷. 21 stycznia wysłano tzw. List 14, który początkowo podpisali: Jan Olszewski, Antoni Pajdak,



¹⁴ G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1973–1979)*, Paryż 1980, s. 150–151.

¹⁵ M. Dziewicka, *Komentarz do tzw. „Listu 7-miu”*, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 7–8, s. 116–120; A. Friszke, *Opozycja polityczna...*, s. 328.

¹⁶ A. Friszke, *Opozycja polityczna...*, s. 328.

¹⁷ K.M. Nawacka, *Propaganda, sprzeciw i spory wobec ustawy konstytucyjnej z 10 lutego 1976 r.*, „Studia Prawnoustrojowe” 2003, nr 2, s. 31.

» **Protesty przeciwko zapisom w konstytucji nie wpłynęły wprawdzie na decyzję władz, ale stały się początkiem szerszych działań zorganizowanej opozycji, która kilka lat później przyczyniła się do powstania Solidarności, a następnie do zmiany systemu.** »

Stanisław Szczuka i Wojciech Ziemiński, ale szybko dołączyli do nich inni. Dokument ten, w prze-

ciwieniu do Listu 59, jasno stawiał kwestię suwerenności państwowej. Do Sejmu wpłynęły ponadto jeszcze: list 30 studentów KUL, list 28 przedstawicieli życia kulturalnego Warszawy, list Karola Głogowskiego, listy 21 i 51 z Łodzi, a także listy indywidualne¹⁸.

Poruszenie w kręgach władzy wywołał list przedstawicieli świata kultury i nauki (tzw. List 101), złożony 31 stycznia 1976 r. Jego inicjatorami byli Wiktor Woroszyński i Jacek Bocheński, a wysłany został do komisji konstytucyjnej przez Jerzego Andrzejewskiego. Wśród osób, które złożyły pod nim podpisy, byli m.in. Miron Białoszewski, Kazimierz Brandys, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Kornel Filipowicz, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Leszek Kołakowski, Ryszard Krynicki, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Krzysztof Pomian, o. Jacek Salij, Antoni Słonimski, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Adam Ważyk i ks. Jan Zieja. Sygnatariusze zwracali uwagę na to, że egzekwowanie praw obywatelskich nie może być ograniczone specjalnymi warunkami. Podkreślano: „Nie mogą np. zostać pozbawione praw obywatelskich osoby, których poglądy polityczne są niezgodne z poglądami partii”¹⁹. Według wycień władz, do 1 lutego 1976 r. listy zbiorowe i indywidualne w sprawie zmian konstytucji podpisało bądź skierowało 616 osób. Ale kolejne listy napływały również po tej dacie.

Protesty zapoczątkowane przez List 59 nie przyniosły wprawdzie bezpośredniego skutku i poprawki do konstytucji zostały uchwalone 10 lutego 1976 r., ale akcja sprzeciwu wobec tych zmian miała dalekosiężne skutki. Liczebność, zasięg społeczny protestów i jawność działania były nowym zjawiskiem i wkrótce okazały się

¹⁸ „Kultura” (Paryż) 1976, nr 3, s. 28–33.

¹⁹ *Ibidem*, s. 29–30.

skuteczną formą działań antysystemowych. W pewnym stopniu zostały sprecyzowane najważniejsze cele opozycji. Okazało się, że wiele postulatów jest zbieżnych dla różnych grup. Został nawiązany kontakt międzypokoleniowy i nastąpiła konsolidacja środowisk opozycyjnych, które w kolejnych miesiącach i latach przeszły do działań ofensywnych. W maju ogłoszono program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, który stawiał sobie za cel odzyskanie pełnej suwerenności. Kilka miesięcy później, we wrześniu 1976 r., powstał Komitet Obrony Robotników. Protesty przeciwko zapisom w konstytucji stały się początkiem szerszych działań zorganizowanej opozycji, która kilka lat później przyczyniła się do powstania Solidarności, a następnie do zmiany systemu.

BIBLIOGRAFIA

- Dziewicka M., *Komentarz do tzw. „Listu 7-miu”*, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 7–8.
 Friszke A., *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Londyn 1994.
 Herling-Grudziński G., *Dziennik pisany nocą (1973–1979)*, Paryż 1980.
 Karaibski S., *Głos ucieszonego pesymisty*, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 3.
 Kuroń J., *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Wrocław 1995.
 Lipski J.J., *KOR. Komitet Obrony Robotników, Komitet Samoobrony Społecznej*, Warszawa 2006.
L'Ordre règne à Varsovie, „Kultura” (Paryż) 1976, nr 3.
 Ładoń M., *„Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”. Studia o Antonim Słonimskim*, Katowice 2008.
 Nawacka K.M., *Propaganda, sprzeciw i spory wobec ustawy konstytucyjnej z 10 lutego 1976 r.*, „Studia Prawnoustrojowe” 2003, nr 2.
 Rakowski M.F., *Dzienniki polityczne 1972–1975*, Warszawa 2002.
 Skórzyński J., *„List 59” i narodziny opozycji demokratycznej w Polsce*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2008, nr 163.
 Szczepeński J.J., *Dziennik*, t. IV: 1973–1980, Kraków 2015.



Cecylia Kuta (ur. 1974) – dr hab. nauk humanistycznych, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie, wykładowca na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, członek Komisji Historycznej PAN Oddział w Katowicach, członek redakcji periodyków naukowych „Pamięć i Sprawiedliwość”, „Zeszyty Historyczne WIN-u”. Bada dzieje organizacji katolików świeckich po II wojnie światowej oraz środowisk twórczych i opozycji w PRL. Autorka książek: „Działacze” i „Pismaki”. *Aparat bezpieczeństwa wobec organizacji katolików świeckich w Krakowie w latach 1957–1989* (2009); *Nieczurowane. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Krakowie w latach 1976–1990* (2019) i in.



Strajkujący studenci w auli uczelni,
Łódź, 1981 r. Fot. AIPN

Radosław Peterman

„Ja już jestem magistrem, a wy jeszcze nie”

Walka o Niezależne Zrzeszenie Studentów

„My strajku się nie boimy” – odgrażał się minister Janusz Górski. Te słowa nie wróżyły szybkiego zakończenia negocjacji, które miały doprowadzić do uznania przez władze PRL niezależnej organizacji studenckiej. I rzeczywiście, dopiero po 44 dniach akcji protestacyjnej udało się osiągnąć porozumienie.

– Dziadku, ale śmiesznie wyglądasz z tą brodą – rzekł nastoletni wnuk, gdy przekładał dalsze kserokopie, które pokazywał mu dziadek. – To ile lat miałeś?

– Jakieś 23.

– A wyglądasz na dobre 40.

– Wnuczku, myśmy wtedy szybko dojrzewali. Nie wiedzieliśmy, jakie będzie jutro.

– Ale, dziadku, po co był wasz bunt? Przecież mieliście wtedy klawe życie. Nie to co my teraz. Za wszystko musimy płacić. A wasze studiowanie było darmowe.

– Tak, to było piękne życie w złotej klatce. Jednak myśmy chcieli czegoś więcej. Chcieliśmy być, a nie tylko mieć.

– Dziadku, ale dlaczego?

– Widzisz, aby to zrozumieć, musimy cofnąć się o 40 lat. Zobacz ten dokument. – Dziadek sięgnął po kserokopię donosu sporządzonego jesienią 1980 r. przez jednego z tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa umiejscowionych wśród braci studenckiej: „Jak donosi tajny współpracownik ps. »Roman«, w dn. 3 października 1980 r. o godz. 17 w gmachu Rektoratu PWSTviT przy ul. Targowej 61/69 w sali kinowej na II piętrze odbyło się otwarte zebranie grupy inicjatywnej Międzyuczelnianego Komitetu Założycielskiego Niezależnych Związków Studentów w Łodzi. W zebraniu uczestniczyło ok. 400 osób”.

– Przyczyną tych działań – zaczął dziadek wyjaśniać swojemu wnukowi – była m.in. utrata autonomii przez polskie uczelnie. Na skutek wprowadzenia ustawy o szkolnictwie wyższym z 15 grudnia 1951 r. minister szkolnictwa wyższego uzyskał prawo podważenia każdej decyzji i uchwały organów danej uczelni. Stałe miejsce w senacie szkoły wyższej zyskali kierownik studium wojskowego i przedstawiciele organizacji młodzieżowych. Do senatu, kolegium rektorskiego i rad wydziałów weszli reprezentanci Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jako pełnoprawni ich członkowie. Co więcej, ta ustawa wprowadziła do programów nauczania przedmioty ideologiczne (takie jak np. ekonomia polityczna) i pozbawiła studentów dostępu do księgozbiorów zastrzeżonych.

W latach sześćdziesiątych XX w. bracia studencka krytykowała funkcjonowanie polskich uczelni. Między innymi na tej fali krytyki doszło w marcu 1968 r. do otwartego konfliktu z władzą. Mimo brutalnego stłumienia ówczesnych protestów, studenci nadal dążyli do wprowadzenia zmian na polskich uczelniach. W latach siedemdziesiątych wciąż powstawały nieformalne i niezależne od władz uczelnianych struktury studenckie. Jednym z uczestników tych struktur był Stanisław Pyjas – student Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego tragiczna śmierć w nocy

z 6 na 7 maja 1977 r. odbiła się echem w środowisku akademickim całego kraju. Setki osób w Krakowie, Gdańsku, Kielcach, Lublinie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie i we Wrocławiu wzięło udział w nabożeństwach w intencji zamordowanego działacza. Po pogrzebie Pyjasa przez Kraków dwukrotnie przeszły wielotysięczne czarne marsze. W trakcie jednego z nich u stóp Wawelu odczytano deklarację o utworzeniu Studenckiego Komitetu Solidarności, który zamierzał m.in. zainicjować prace na rzecz powstania „autentycznej i niezależnej reprezentacji studentów”.

Na fali przemian

– Posłuchaj dalej, może zrozumiesz, co chcieliśmy zmienić na polskich uczelniach. Jak wiesz, sierpień to dla studentów okres wakacyjny. Jednak w 1980 r. dla części polskich żaków był to też okres, podczas którego zaangażowali się w tworzenie niezależnej organizacji studenckiej. Przebudzenie wśród studentów spowodował wybuch protestów robotniczych.

Jeszcze przed zakończeniem strajku w Stoczni Gdańskiej, 27 sierpnia 1980 r., spotkała się grupa gdańskich studentów: Andrzej Friedel, Paweł Huelle, Jacek Jancelewicz, Donald Tusk, Marek Zająkała i Andrzej Zarębski, która przygotowała *Apel studentów Trójmiasta z propozycjami reform na uczelniach wyższych*. Jednym z głównych postulatów było żądanie utworzenia niezależnej, samorządnej organizacji studenckiej o charakterze apolitycznym, która według autorów *Apelu* miała się stać „autentyczną reprezentacją wszystkich studentów, bez względu na ich poglądy polityczne”. Ponadto gdańscy studenci domagali się zaprzestania represjonowania wyznawców poglądów politycznych odmiennych od oficjalnych i zaniechania ideologizacji nauk humanistycznych.

Wiesz, wnuczku, my wtedy przeżywalimy ogromne wzruszenie, byliśmy na fali. Kilka dni później został powołany Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu Gdańskiego. Była to pierwsza taka organizacja studencka w kraju. Podobne struktury zaczęły się pojawiać na innych polskich uczelniach. O powstaniu niezależnej organizacji studenckiej poinformował Paweł Huelle 1 września, podczas zebrania pracowników Uniwersytetu Gdańskiego, gdy odczytał apel powołujący do życia Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich Uniwersytetu Gdańskiego.

We wrześniu i październiku 1980 r. na większości polskich uczelni powstały załączki niezależnych organizacji studenckich. Dla dalszych losów powstającej struktury przełomowy okazał się Zjazd Delegatów Komitetów Założycielskich Niezależnych Organizacji Studenckich. Odbył się 18 i 19 października w Warszawie. Zaprojektowano wówczas powstanie organizacji ogólnopolskiej, działającej w oparciu o statut wspólny dla wszystkich uczelni. Proponowano kilka nazw, w tym: Niezależne Zrzeszenie Studentów, Solidarność Zrzeszenia Studentów Polskich, Ogólnopolskie Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich, Niezależny Związek Studentów. Ostatecznie przyjęto, że będzie to Niezależne Zrzeszenie Studentów z siedzibą w Warszawie. Tymczasową władzę stanowił Ogólnopolski Komitet Założycielski (OKZ) w składzie: Mirosław Augustyn (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), Piotr Bikont (Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi), Wojciech Bogaczyk (Katolicki Uniwersytet Lubelski), Stefan Cieśla (Uniwersytet Wrocławski), Jacek Czaputowicz (Uniwersytet Warszawski), Teodor Klinecicz (Politechnika Warszawska), Barbara Kozłowska (Politechnika Śląska w Gliwicach), Maciej Kuroń (Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Olsztynie), Krzysztof Osiński (Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie), Leszek Przysiężny (Politechnika Gdańska) i Marek Sadowski (Uniwersytet Gdański). Przyjęty wówczas statut został złożony w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Najważniejszym celem stała się rejestracja Zrzeszenia. Brak osobowości prawnej znacznie ograniczał możliwości działania.

Wniosek o rejestrację NZS został złożony w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie 20 października 1980 r. Sąd 13 listopada oddalił wniosek. Przedstawiciele NZS złożyli odwołanie od decyzji Sądu Wojewódzkiego w Warszawie do Sądu Najwyższego. Rozprawa zaplanowana na 30 grudnia została odroczone. Mimo braku rejestracji NZS miało własny statut i strukturę oraz sformułowany program działania, który realizowało w miarę możliwości. Władze robiły jednak wszystko, by spowolnić zalegalizowanie NZS.

Bezczelni, bezkompromisowi, odważni

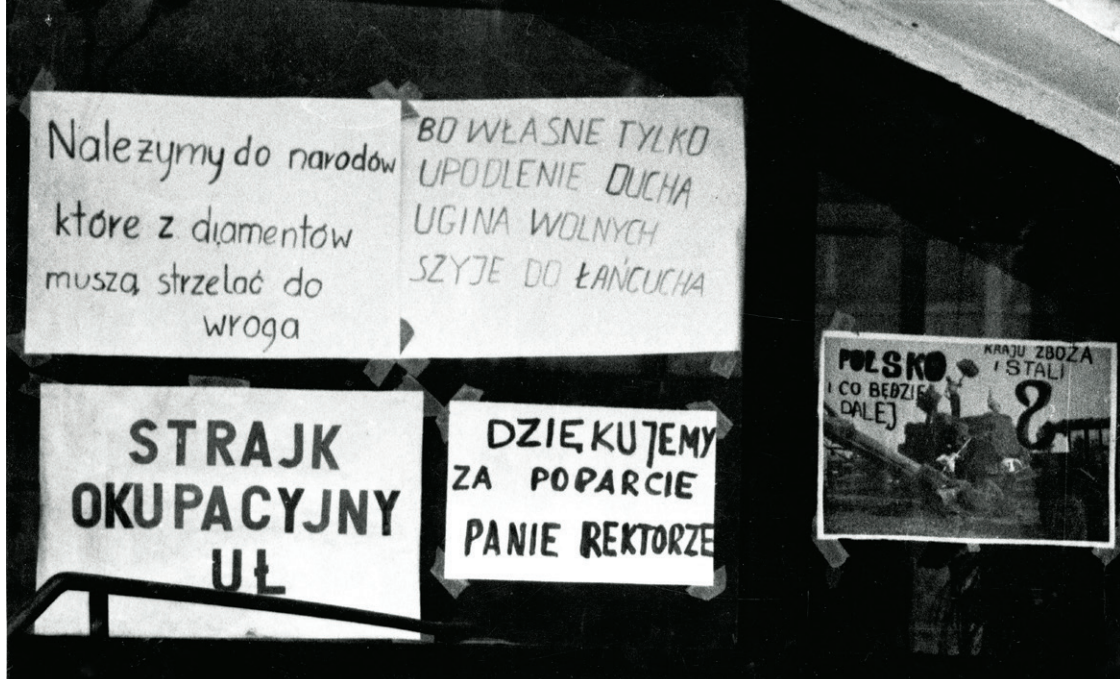
– Tak, wnuczku, na swój sposób byliśmy dość beczelni i bezkompromisowi. Chęć zmiany, a przede wszystkim wielka nadzieja i euforia dawały nam odwagę. Dlatego studenci Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego

w listopadzie 1980 r. odważyli się domagać się zmian w programie nauczania, m.in. w bloku przedmiotów społeczno-politycznych. Wobec braku reakcji władz uczelnianych 6 stycznia 1981 r. powołano Studencki Komitet Jedności i podjęto akcję „Solidarne Czekanie”. Polegała ona na całodobowym okupowaniu budynków przy odbywających się zajęciach. 11 stycznia rektor UŁ prof. Romuald Skowroński zaakceptował część postulatów. W tej sytuacji delegacja łódzkich studentów 15 stycznia przedstawiła swoje postulaty ministrowi nauki, szkolnictwa wyższego i techniki – prof. Januszowi Górskiemu. Domagano się m.in. rejestracji NZS, zwiększenia autonomii uczelni, a także usunięcia z programu studiów przedmiotów indoktrynujących. Wśród postulatów znalazły się również żądania ukarania winnych masakry robotników na Wybrzeżu w 1970 r., uwolnienia więźniów politycznych, zniesienia cenzury. 21 stycznia w budynku Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego rozpoczęły się rozmowy z delegacją rządową. Nie przyniosły one jednak porozumienia.

W tym dniu mojej żonie, a twojej babci powiedziałem, że na uczelni coś się dzieje, chyba jakiś protest studencki. Postanowiłem pójść. To był nasz czas. Na uczelni pojawiało się coraz więcej studentów zainteresowanych tym, co się dzieje. Niektórzy przychodzili i wychodzili, niektórzy zostali. Ja też zostałem. A tak ten dzień widział tajny współpracownik o pseudonimie „Gerwazy”, donoszący do łódzkiej SB:

„21 [stycznia] trwały rozmowy Studenckiego Komitetu Jedności z Komisją Rządową Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Rozmowy toczyły się od 14.00 do 22.00 i utkwiły na trzecim punkcie listy postulatów, dotyczącym przedmiotów politycznych wykładanych na uczelni. W ośmioosobowej komisji negocjacyjnej SKJ-u było tylko dwóch przedstawicieli S[ocjalistycznego] Z[wiązku] S[tudentów] P[olskich] – K[azimierz] Olejnik i [Marek] Perliński – student socjologii.

Komisja Rządowa stoi na stanowisku, aby sprawą ustalenia ilości godzin i programu nauczania przedmiotów politycznych zajęły się poszczególne Rady Wydziałowe. NZS stał na stanowisku zniesienia tych przedmiotów z programu nauczania lub aby były zajęcia fakultatywne (dla chętnych). SZSP stało na stanowisku reprezentowanym przez Komisję Rządową, uważając to za i tak duże osiągnięcie, uważając jednocześnie, że przedmioty te powinny być obowiązkowe



Strajk studentów Uniwersytetu Łódzkiego, 1981 r. Fot. AIPN

w programie nauczania. Sprawa została przegłosowana na niekorzyść SZSP i Komisji Rządowej. Nastąpił rozłam jedności studenckiej, a rozmowy przerwano”.

Warto tutaj zwrócić uwagę na inne słowa TW „Gerwazego”: „do sytuacji, że w Komisji Negocjacyjnej SKJ znalazło się tylko dwóch przedstawicieli SZSP, doszło na skutek lekceważącego stosunku tej organizacji i jej 6 przedstawicieli w SKJ do wagi spraw, o których miał decydować Studencki Komitet Jedności. Wspomnianych 6 członków SKJ z ramienia SZSP nie przychodziło systematycznie na posiedzenia SKJ. Nie byli oni również obecni na posiedzeniu w dniu wyboru komisji mediacyjnej i z tego powodu na 8 jej członków 6 stanowią członkowie NZS-u”. Pretensja o brak przedstawicieli SZSP w SKJ korespondowała z informacją Komitetu Łódzkiego PZPR, który podkreślał, że „zadaniem podstawowym wszystkich członków SZSP jest prezentowanie umiarkowanych postaw w sprawach, które uważane są przez NZS jako pryncypialne (postulaty natury politycznej)”. Dodatkowo Komitet Łódzki PZPR akcentował, że „we wszystkich sprawach, jakie podejmowane są w uczelniach, istnieje ścisła więź pomiędzy Komitetem Uczelnianym PZPR a SZSP”.

Strajk okupacyjny studentów łódzkich proklamowano wieczorem 21 stycznia. Został ogłoszony nietypowo. Z pokoju, w którym trwały negocjacje Studenckiego Komitetu Jedności z wiceministrem prof. Stanisławem Czajką, o 21.00 wychynął

» **Z pokoju, w którym trwały negocjacje Studenckiego Komitetu Jedności z wiceministrem prof. Stanisławem Czajką, o 21.00 wychynął Paweł Gniazdowski i rzucił krótkie hasło: »Śpiwory«. Wszystko stało się jasne. Proklamowano strajk.** »

Paweł Gniazdowski i rzucił krótkie hasło: „Śpiwory”. Wszystko stało się jasne. Proklamowano strajk. Tej samej nocy akcja

strajkowa rozpoczęła się w instytutach: Filologii Polskiej i Angielskiej, Historii, Matematyki oraz na Wydziale Prawa i Administracji, Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi i Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym. Do strajkujących na Uniwersytecie Łódzkim dołączyli studenci Politechniki Łódzkiej, Akademii Medycznej, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej oraz Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Udział w nim wzięło prawie 10 tys. osób.

Na krótko wróciliśmy do akademików, aby zabrać niezbędne rzeczy. W tamtym momencie z okna akademika widziałem ciągnący się sznur ludzki. Byli to studenci z różnych akademików, idący jeden za drugim i niosący nad głowami materace zdjęte z łóżek i tapczaników. Na uczelnię przyszedli wyposażeni w śpiwory, koce, materace, ciepłe rzeczy. Myśleliśmy, że strajk może potrwać dwa, trzy dni. Okazało się, że trwał 29 dni.

47 postulatów

– Wieczorem 23 stycznia strajkujący studenci utworzyli Międzyuczelniany Komitet Porozumiewawczy. W jego skład weszli: z UE Maciej Maciejewski, Marek Perliński, Wiesław Potoczny, Marcin Sobieszcański i Wojciech Walczak, z PŁ Andrzej Bolanowski i Piotr Kociołek, z AM Stanisław Nowak i Krzysztof Szaflik, z PWSM Jan Przybylski i Radosław Żurawski. MKP przy wsparciu ekspertów prawnych przygotował dokument pt. *Szczegółowe postulaty dotyczące zmian w strukturze i programie nauczania Uczelni opracowane przez Międzyuczelnianą Komisję Porozumiewawczą*. Dokument ten zawierał 47 postulatów pogrupowanych według następujących bloków:

– postulaty dotyczące niezależności uczelni w sprawach naukowych, dydaktycznych i wewnątrzorganizacyjnych – studenci postulowali, aby wybierać senat i rady wydziałów w proporcjach po 1/3 miejsc dla studentów, młodych pracowników nauki i profesorów; domagali się ograniczenia przedmiotów polityczno-spo-

lecznych, takich jak ekonomia polityczna, podstawy nauk politycznych, podstawy filozofii i socjologii marksistowskiej; żądali prawa do wyboru dwóch lektoratów;

– postulat w sprawie zakazu wszelkich form działalności SB na terenie uczelni; ponadto domagano się, aby działalność Milicji Obywatelskiej była możliwa tylko na wyraźne żądanie władz uczelni – z zastrzeżeniem, że rektor ponosi pełną odpowiedzialność przed senatem za interwencje sił porządkowych na jej terenie;

– postulat zniesienia praktyk robotniczych;

– postulaty dotyczące szkolenia wojskowego – studenci chcieli zmniejszyć liczbę godzin szkolenia wojskowego w czasie studiów oraz skrócenia przeszkolenia po studiach;

– postulaty dotyczące budżetu uczelni i pomocy materialnej – starano się o zwiększenie środków na publikacje naukowo-dydaktyczne, pokrywanie przez uczelnie kosztów tłumaczeń prac z języków niekongresowych, zmiany w pomocy materialnej udzielanej studentom, wprowadzenie trzydziestotrzyprocentowej zniżki dla studentów na przejazdy autobusami PKS i zniżkowych biletów miesięcznych dla studentów stale dojeżdżających do uczelni;

– postulaty ogólnospołeczne – były one najobszerniejsze i poruszały bardzo trudne tematy; studenci domagali się:

• zaprzestania jakichkolwiek represji wobec działaczy opozycji demokratycznej i osób reprezentujących niezależne inicjatywy społeczne;

• uwolnienia osób pozbawionych wolności ze względów politycznych, gwarancji swobody działania dla wydawnictw niezależnych – zgodnie z postanowieniami międzynarodowych paktów praw ratyfikowanych przez PRL;

• ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności wszystkich winnych brutalnego tłumienia protestów robotniczych w grudniu 1970 i czerwcu 1976 r.;

• szybkiego uchwalenia ustawy ograniczającej działanie cenzury (GUKPPIW), tak by zagwarantować demokratyczne funkcjonowanie prasy, publikacji i widowisk oraz aby wydawnictwa naukowe nie podlegały nadzorowi GUKPPIW; jednocześnie żądano podporządkowania cenzury sejmowi; dodatkowo postulowano, aby zakres ograniczeń zawartych w przyszłej ustawie o cenzurze nie mógł wykraczać poza porozumienia gdańskie z sierpnia 1980 r.;

• wyjęcia spod kontroli GUKPPIW wszystkich publikacji „małej poligrafii” oraz wszelkiej twórczości artystycznej;

- wyjęcia spod cenzury państwowej wszelkich publikacji przeznaczonych do rozpowszechniania wewnątrz uczelni;
- prawa przechowywania przez każdego człowieka wszelkich wydawnictw i druków, bez względu na tzw. debity komunikacyjny;
- niezwłocznego opracowania nowych podręczników do nauki historii, zawierających prawdę historyczną ze szczególnym uwzględnieniem najnowszych dziejów Polski;
- reformy obowiązującej ustawy o ustroju sądów powszechnych;
- wszczęcia postępowania dyscyplinarnego wobec sędziów, którzy rażąco nadużyli stanowiska dla celów politycznych;
- zagwarantowania praworządnej procedury w kolegiach oraz zniesienia w nich trybu przyspieszonego;
- prawa do posiadania i swobodnego korzystania z paszportu przez każdego obywatela PRL;
- natychmiastowego zniesienia tzw. nomenklatury, jako praktyki sprzecznej z konstytucją PRL;
- uznania prawa społeczeństwa do swobodnego obchodzenia rocznic upamiętniających wydarzenia historyczne o wielkim znaczeniu dla narodu polskiego;
- natychmiastowego dopuszczenia do rozpowszechniania filmu *Robotnicy '80* w jego wersji autorskiej oraz wznowienia realizacji filmu *Grudzień* w reżyserii Adama Sobolewskiego;
- wprowadzenia do ogólnego rozpowszechniania dzieł kultury i nauki polskiej stworzonych na emigracji bądź w kraju, a nieznanymi szerzej społeczeństwu;
- natychmiastowej rejestracji NZS;
- prawa do nabywania, posiadania i korzystania ze środków „małej poligrafii” przez osoby fizyczne;
- powołania komisji sejmowej do zbadania nadużyć popełnionych przez funkcjonariuszy MO i SB;
- zajęcia stanowiska przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki w sprawie drastycznej rozbieżności między ustawodawstwem dotyczącym ochrony środowiska naturalnego a praktyką nagminnego łamania tego ustawodawstwa;
- ujawnienia treści umów kulturalnych polsko-amerykańskich, polsko-francuskich i innych oraz ustalenia zasad realizacji wymiany kulturalnej, naukowej i osobowej.

– Dziadku, widzę, że wasze postulaty dotyczyły bardzo wielkich spraw. Spodziewam się, że negocjacje nie były łatwe.

– Tak, dialog między MKP a Komisją Międzyresortową, której przewodniczył minister Górski, był bardzo trudny.

„Mistrzowie” kontra „uczniowie”

– Rozmowy o powyższych postulatach rozpoczęły się dopiero po tygodniu. Pod wieczór 29 stycznia w gmachu instytutów Filologii Polskiej i Angielskiej UŁ przy ul. Kościuszki 65 naprzeciw siebie zasiedli „mistrzowie” i „uczniowie”. Już w pierwszych słowach wypowiedzianych przez ministra Górskiego brzmiała nuta „belferska” i pogarda dla braci studenckiej. Pouczał strajkujących studentów takimi słowami: „Uroczyste chciałem oświadczyć, że my strajku się nie boimy [...]. Strajki nie szkodzą rządowi. Rząd strajki przetrzyma [...]. Strajki studenckie nie szkodzą mnie, nie szkodzą bezpośrednio profesorom, szkodzą wam samym. Ja już mam dyplom magistra, co więcej – od siedmiu lat mam stanowisko profesora zwyczajnego. Wyższego stanowiska w Polsce otrzymać nie mogę, a wy nie macie jeszcze dyplomów. I po prostu strajk bije w Was, bije w Waszą możliwość ukończenia

Msza św. w gmachu Wydziału Matematyczno-Fizycznego UŁ, 1981 r. Fot. AIPN



studiów”. Te słowa spotkały się z dezaprobatą strajkujących. Tak zaczęte rozmowy nie zapowiadały się na łatwe i nie wróżyły szybkiego zakończenia negocjacji.

Pierwsze spory uwidoczniły się przy omawianiu spraw dotyczących tworzenia ciał kolegialnych uczelni. Górski był niechętny głównie podziałowi miejsc w senacie według zasady: 1/3 studenci, 1/3 młodzi pracownicy nauki i 1/3 samodzielni pracownicy. W trakcie dyskusji nad tym postulatem minister stwierdził: „nie chcę, żeby inni profesorowie w Uniwersytecie Łódzkim śmiali się ze mnie prze 30 lat [...], że oto idzie ten głupi Górski, który tak głupi postulat przyjął”. Na te słowa ostro zareagował przewodniczący MKP Walczak: „W momencie, kiedy cztery tysiące studentów Łodzi strajkuje, nazywać ich postulaty głupimi jest co najmniej nietaktem”. Z kolei Adam Więckowski zadał ministrowi pytanie: „w której części postulat jest głupi – czy w części mówiącej o 1/3 studentów, 1/3 młodszych pracowników nauki, czy 1/3 profesorów?”. Górski przeprosił za swój nietakt. Odnośnie do podziału miejsc w senacie nie uzyskano porozumienia. Ten postulat i postulat przyznania radom wydziałów samodzielności programowej, który także nie uzyskał aprobaty ministra, znalazły się w końcowym protokole rozbieżności.

W kolejnym dniu strajku i rozmów emocje wśród osób z MKP oraz KM ponownie rosły. Tym razem dyskusja dotyczyła postulatu w sprawie zakazu działalności MO i SB na terenie uczelni. Minister zwyczajowo stwierdził, że nie zna

Rozmowy strajkujących studentów z przedstawicielami władz; Uniwersytet Łódzki, 1981 r. Fot. AIPN



przypadków interwencji tych służb. Po podaniu przez przedstawicieli MKP przykładów takich działań, Górski zgodził się na rozpatrzenie tego postulatu.

Nie był to koniec spornych problemów i ostrych ataków ministra na studentów. Kolejną okazją do słownej utarczki była dyskusja nad postulatem swobodnego wyboru dwóch lektoratów języków obcych. Górski stał na stanowisku, że nauka rosyjskiego musi być kontynuowana, i użył takiego argumentu: „Fachowcy nam powiedzieli, że nie można nauczyć się obcych języków od początku na studiach. Dlatego trzeba kontynuować naukę języków, które się zna”. W trakcie dalszych negocjacji w sprawie lektoratów Górski zarzucił Perlińskiemu lekceważące podejście do rosyjskiego, po czym zwrócił się do przewodniczącego MKP: „Pan, panie Walczak, przez swój stosunek do języka rosyjskiego nigdy profesorem nie zostanie”. W sprawie tego postulatu również nie uzyskano porozumienia.

Niechęć ze strony KM wzbudził także postulat zmian w systemie wojskowego szkolenia studentów. Swoją dezaprobatę do tych propozycji mocno wyrazili pułkownicy Aleksy Sułek i Kazimierz Figurski, którzy tak argumentowali: „Dowódcy drużyn, dowódcy czołgów czy dowódcy dział będą to artyści niezwykle wysoko cenieni w szeregach wojska. O tym możemy zapewnić i takie jest nasze zamierzenie, ażeby artysta malarz, ażeby artysta rzeźbiarz pełnił również te funkcje, żeby był swoistym instruktorem, nauczycielem i żeby dla tego wojska coś zrobił”. Brak wspólnego stanowiska w tej kwestii zakończył turę postulatów dotyczących problemów uczelnianych i studenckich.

W czasie omawiania spraw uczelnianych poruszono najważniejsze zagadnienie i jednocześnie główną przyczynę strajku – rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Także tutaj nie obeszło się bez złośliwości ze strony Górskiego. W pewnym momencie minister zażądał od Czaputowicza wytłumaczenia się z oświadczeń Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS. Po wysłuchaniu przedstawiciela OKZ Górski stwierdził: „Wyjaśnienia kolegi Czaputowicza bez żadnego elementu samokrytyki są co najmniej dziwne. Świadczą, jak silnie upadają obyczaje polityczne”. Po tych słownych polemikach minister zobowiązał się do rozpatrzenia wniosku o rejestrację NZS, a o swojej decyzji miał poinformować do 16 lutego.

Druga tura rozmów przyniosła jeszcze więcej emocji, ponieważ poruszano postulaty ogólnospołeczne. Wtedy to padło pytanie Górskiego, które miało wyrazić jego zdziwienie: „Czy te postulaty wyrażają zapatrywania wszystkich studentów?”

Z sali studenci odpowiedzieli chóralnie „Tak”. W takiej sytuacji postanowiono rozpatrywać najtrudniejsze postulaty.

Zanim jednak przystąpiono do dalszych rozmów, pojawiła się prośba jednej z zachodnioeuropejskich stacji telewizyjnych o możliwość nagrania negocjacji. Proponowano tzw. umowy czas nagrywania sali, który miał wynosić ok. 5 minut. Minister Górski nie chciał się zgodzić na tak długie nagranie i zaproponował „nieumowny termin – minutę”. Po czym dodał: „Nie zgadzam się, aby prasa zachodnia kiedykolwiek mnie filmowała i przeprowadzała wywiad ze mną, ponieważ zamieszcza nieprawdziwe informacje”. Po tych słownych utarczkach przystąpiono do omawiania postulatów ogólnospołecznych.

Jednym z nich był postulat ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności winnych brutalnego tłumienia robotniczych wystąpień w grudniu 1970 i czerwcu 1976 r. Górski w tej kwestii był nastawiony negatywnie. Studził chęć rozmów na ten temat i apelował, by nie załatwiać wszystkich spraw za środowiska, które są do tego powołane. Gdy studenci domagali się utworzenia komisji sejmowej do ustalenia winnych tłumienia robotniczych wystąpień, Górski oponował: „Jeżeli wzywa się kogoś do rozejścia i ktoś nie rozchodzi się, to broń strzela. Po prostu nie sama strzela, ale strzelają ludzie, którzy znowu nic nie są winni, że strzelają, czy do tłumu strzela się wszędzie”. Minister dodał, że prawda historyczna wyjdzie na jaw i że odmawia poparcia tego postulatu. Na te i podobne słowa strony rządowej Walczak odpowiedział następująco: „My już znamy takie prawdy, które wychodzą od 1940 [r.] i do dzisiaj prawdy po prostu na ten temat nikt nie widział. I naprawdę nie chcemy czekać następne 40 lat, aby wiedzieć, co stało się w Gdańsku i kto jest odpowiedzialny. Chodzi nam w tej chwili – jeszcze raz przypominam – o to, czy tych ludzi należy pociągnąć do odpowiedzialności prawnej, czy należy посадzić w więzieniu bądź zastosować jakikolwiek inny wymiar kary – o tym powinien zdecydować niezawisły sąd. Natomiast to, żeby było wiadomo, kto jest za to odpowiedzialny – możemy się tego domagać i mamy prawo domagać się tego właśnie tutaj, już na tej sali. Ponieważ domagamy się tego nie tylko my – nie tylko studenci Łodzi. Jest to potrzeba chwili”.

W sprawie cenzury, a także nowych podręczników historii Polski studenci nie uzyskali zbyt wiele. Przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości poinformowali ich, że trwają prace nad nową ustawą o cenzurze, jednak nie ustosunkowali się do propozycji przedstawionych przez MKP. Postulat wyłączenia spod cenzury

wszystkich publikacji uczelnianych nie spotkał się z aprobatą KM. Górski wyraził zgodę na publikowanie przez uczelnię bez cenzury tylko prac naukowych. Sukcesem MKP zakończyła się natomiast batalia o dostęp do zbiorów specjalnych bibliotek naukowych szkół wyższych. Wydawnictwa bezdebitowe w wyniku tych rozmów stały się dostępne dla pracowników naukowych i studentów.

W trakcie dyskusji o swobodnym dostępie do paszportu minister ponownie skarcił Walczaka: „Chcieć to sobie możecie dużo, natomiast to jest mało realne. Niepoważne tezy zaczynacie głosić. Jak my was traktujemy poważnie, to musimy powiedzieć, że to żądanie ostatnie jest zupełnie niepoważne”. Górski często wypowiadał takie zdania, nie uzasadniając, dlaczego postulaty studentów są niepoważne. Mimo negatywnego stanowiska ministra, KM przychyliła się do postulatu dotyczącego spraw paszportowych.

Postulat uznania prawa społeczeństwa do swobodnego obchodzenia rocznic historycznych spotkał się z niejasnym stanowiskiem KM, która uznawała tylko rocznice niegodzące w sojusze PRL. W tym momencie Walczak zadał pytanie: „Czy ogłoszenie 17 września Dniem Żałoby Narodowej byłoby godzeniem w obowiązujące sojusze?”. Wtedy Górski ripostował: „Niech kolega Walczak sam sobie na to odpowie”. Dodał jeszcze: „Jest taka zabawa ciepło-zimno. Ja powiem »ciepło«”. Niestety, studenci nie uzyskali porozumienia w sprawie obchodzenia rocznic historycznych.

—
Członkowie Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej: od lewej Maciej Maciejewski, Adam Więckowski, od prawej Marek Perliński i Piotr Kociołek. Fot. AIPN



Trzecia tura rozmów między MKP a KM obejmowała ponownie zagadnienie rejestracji NZS; uzgadniano też w jej trakcie treść porozumienia. Wynikiem tej rundy rozmów była w końcu – wieczorem 17 lutego 1981 r. – decyzja o rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Złamane porozumienie

Nazajutrz, po 44 dniach akcji protestacyjnej i 29 dniach strajku okupacyjnego, minister Janusz Górski i student Wojciech Walczak podpisali porozumienie między Komisją Międzyresortową a Międzyuczelnianą Komisją Porozumiewawczą. Dzięki temu dokumentowi łódzcy studenci wywalczyli:

- rejestrację NZS;
- autonomię i swobodę programową uczelni;
- udział studentów w ciałach kolegialnych uczelni;
- zniesienie praktyk robotniczych;
- wydłużenie studiów z 4 do 5 lat;
- zniesienie cenzury w wydawnictwach naukowych;
- dostęp do zakazanych dzieł kultury;
- zmianę w organizacji szkolenia wojskowego;

Demonstracja NZS
na Krakowskim Przedmieściu
w Warszawie, 5 maja 1981 r.
Fot. AIPN



- prawo do swobodnego wyjazdu za granicę;
- powrót na uczelnie nauczycieli zwolnionych za przekonania polityczne.

Wiosną 1981 r. struktury NZS obejmowały wszystkie uczelnie w kraju. Zrzeszenie liczyło ok. 80 tys. członków, działających na 89 wyższych uczelniach. Co trzeci student był wówczas związany z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. W tej sytuacji OKZ zwołał ogólnokrajowy zjazd, który odbył się w Krakowie w dniach 3–6 kwietnia 1981 r. Uczestniczyło w nim 240 delegatów z 66 uczelni. Wybrano dwudziestoosobową Krajową Komisję Koordynacyjną. Przewodniczącym został Jarosław Guzy (Uniwersytet Jagielloński), a jego zastępcami Teodor Klincewicz (Politechnika Warszawska), Leszek Przysiężny (Politechnika Gdańska) i przywódca strajku łódzkiego Wojciech Walczak (Uniwersytet Łódzki). Dyskusję programową odłożono do II Zjazdu NZS, który ostatecznie nie odbył się z powodu wprowadzenia w PRL stanu wojennego.

Po 13 grudnia władza komunistyczna nadal obawiała się NZS. Dlatego już 5 stycznia 1982 r. Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki wydało rozporządzenie o rozwiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Była to pierwsza niezależna organizacja zlikwidowana przez organizatorów wojskowego zamachu stanu. Jako przyczynę podano „jaskrawe naruszenie dekretu o stanie wojennym [...] NZS – pisano – systematycznie naruszał Konstytucję PRL i inne przepisy prawne, głównie przez: prowadzenie działalności wymierzonej w zasady ustrojowe naszego kraju, jego sojusze, szkalujące władze socjalistycznego państwa”. Tym samym rządzący przyznawali, że Zrzeszenie było organizacją szczególnie groźną dla komunistycznego systemu władzy.

– Dziadku, faktycznie, wiele osiągnęliście.

– Tak, to było zwycięstwo młodości. Niestety, późniejsze miesiące, a zwłaszcza wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, zaprzepaściły pełną realizację porozumienia łódzkiego.



Radosław Peterman (ur. 1968) – archiwista, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: (z M. Goliczką-Jabłońską) *Ojciec Stefan SJ* (o Stefanie Miecznikowskim, 2009); (z F. Dąbrowskim) *Memory of nations. Democratic transition guide: the Czech, Egyptian, Estonian, German, Polish, Romanian, Russian experience* (2017); (z F. Dąbrowskim) *Memoria de naciones. Guía de transición democrática. La experiencia de Polonia* (2019) i in.



Wicepremier Mieczysław Rakowski na spotkaniu z wybraną częścią zaradki Stoczni Gdańskiej, 25 sierpnia 1983 r. Fot. PAP

Dariusz Zalewski

PZPR – partia władzy, pieniędzy i bezwstydu

Gdy zawalił się system komunistyczny, nikt nie płakał po Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jej dotychczasowe elity myślały już, jak zadbać o siebie w nowej rzeczywistości.

Wnocy z 28 na 29 stycznia 1990 r. w miejscu symbolicznym dla komunistów, Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, została rozwiązana PZPR, powstała w grudniu 1948 r. na tzw. kongresie zjednoczeniowym Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. W swoim ostatnim, pełnym goryczy wystąpieniu – jakże odmiennym od pamiętnej, butnej

mowy w czasie spotkania z robotnikami Stoczni Gdańskiej w 1983 r.¹ – I sekretarz Komitetu Centralnego Mieczysław Rakowski apelował do członków PZPR, aby zachowali godność i dumę: „Poczekajmy jeszcze, co powie historia o tej Partii. [...] Ja apeluję po prostu o to, by nie znęcać się nad PZPR, bo jest to znęcanie się także często nad swoim życiem. Ja [...] mówiłem [...] na różnych spotkaniach, że powstała taka przedziwna sytuacja, że sami siebie nie lubimy. Nie lubimy tej Partii, już tej byłej Partii. Otóż chciałoby się chodzić jednak z podniesioną głową”.

Bezwstyd

Dawni członkowie PZPR nie posłuchali swojego ostatniego przywódcy. Na plakatach wyborczych, w ulotkach i publicznych wypowiedziach postkomunistów aspirujących do pełnienia funkcji publicznych w nowej rzeczywistości ustrojowej próżno szukać informacji, że w okresie PRL byli członkami PZPR i są z tego dumni. Wręcz przeciwnie – raczej głęboko skrywają ten fakt, liczą na niepamięć wyborców i ich niewiedzę, czym w istocie była ta partia. I trzeba przyznać, że ich strategia okazała się skuteczna, gdyż wielu dawnych PZPR-owców pełniło lub pełni z wyboru ważne funkcje publiczne w III RP. Dochodzi też niekiedy do sytuacji kuriozalnych – prominentna działaczka postkomunistycznej lewicy, posłanka Joanna Senyszyn, obwieściła niedawno w programie publicystycznym, że w 1970 i 1980 r. protestowała przeciwko ówczesnej władzy łamiącej prawo. Zapomniała jednak dodać, że od 1975 r. była członkiem PZPR, a tym samym legitymizowała system i władzę, która wysyłała ZOMO i wojsko przeciwko własnemu społeczeństwu. Na pytanie dziennikarza, co wówczas robiła w PZPR, Senyszyn odpowiedziała: „no byłam przeciwna i dyskutowałam”.

Postawę byłych członków PZPR ubiegających się o funkcje publiczne i skrywających przynależność do komunistycznej partii można określić mianem „bezwstydu”. Bezwstyd jest przeciwieństwem wstydu, a wstyd ma pozytywną konotację, gdyż oznacza refleksję i wyciągnięcie wniosków z własnej postawy, którą po jakimś

¹ 25 sierpnia 1983 r. Mieczysław Rakowski spotkał się z załogą Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Próbował m.in. przekonać zgromadzonych o wyższości ustroju komunistycznego. W sposób niezwykle bezczelny atakował robotników wyrażających dezaprobatę dla ustroju i władz komunistycznych. Transmisja ze spotkania była relacjonowana w telewizji. Zob. Pomorska Biblioteka Cyfrowa, *Premier Rakowski w Stoczni Gdańskiej: transmisja TVP [dokument dźwiękowy]*, <https://pbc.gda.pl/dlibra/publication/26213/edition/21099>, [dostęp: 15 XII 2020 r.].



Pochód pierwszomajowy w Warszawie, 1987 r. Fot. PAP

czasie uważa się za błędną, powodującą dyskomfort psychiczny. Poczucie wstydu jest ważną kategorią regulującą jednostkowe i społeczne zachowania, gdyż informuje, jakie postępowanie jest społecznie akceptowane i nieakceptowane w opinii jednostek tworzących wspólnotę. Wstyd jest niezwykle istotnym – i należy dodać, że skutecznym – narzędziem kontroli społecznej odwołującym się do zinternalizowanych wartości obowiązujących w danym społeczeństwie. Bezwstyd, przeciwnie, narusza społeczne granice tego, co dopuszczalne i niedopuszczalne. Człowiek bezwstydny ignoruje pewne zasady współżycia społecznego; tworzy własną przestrzeń prawdy i fałszu, dobra i zła czy przyzwoitości i niktzemności. Często wypiera z pamięci zdarzenia, które uważa za niekorzystne dla własnego interesu, albo przedstawia własną interpretację, korzystną z jego punktu widzenia. Bezwstydni postkomuniści przemilczają swoją przynależność do PZPR, a kiedy ich wprost o to zapytamy, uprawniają własną imaginację odwołującą się do uwarunkowań geopolitycznych, poczucia odpowiedzialności za państwo w warunkach ograniczonej suwerenności, chęci czynienia dobra wspólnego itp. Żaden bezwstydny postkomunista nie powie publicznie, że zapisał się do partii

o totalitarnych korzeniach dla własnej korzyści i wspierał swoim członkostwem system niedemokratyczny i antywolnościowy. Chętnie za to będzie mówił o wolności, demokracji i rządach prawa, licząc na społeczną amnezję obejmującą jego bezwstydną przeszłość.

Władza i pieniądze

Postkomuniści udzielający się dziś publicznie stanowią znikomy ułamek wszystkich członków PZPR. To głównie ludzie, którzy zapisali się do partii w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a zatem w okresie największego jej rozkwitu (z apogeum w 1980 r., gdy PZPR miała ponad 3 mln członków) oraz implozji (w okresie rewolucji Solidarności i po wprowadzeniu stanu wojennego z partii wystąpiło 850 tys. członków). Struktura społeczna PZPR i indywidualne motywacje przynależności do niej były różne. Z pewnością w pierwszej dekadzie jej działalności, tzn. w latach 1948–1956, oraz w okresie tzw. małej stabilizacji, tj. 1956–1970, wśród członków partii byli ideowi komuniści², wierzący w antynaukowe brednie profetycznego marksizmu i gotowi w imię swojej wiary dokonywać zwykłych zbrodni na rzeczywistych i wymaginionych przeciwnikach politycznych. Wśród nich byli także tacy, którzy stopniowo porzucali komunizm wbrew własnym partykularnym korzyściom i narażali się na represje ze strony systemu, który wcześniej wspierali³. „Ukąszeni Heglem”, by posłużyć się znaną metaforą Czesława Miłosza z książki *Zniewolony umysł*, tworzyli niegdyś awangardę partii i systemu; interpretowali nauki swoich mistrzów (Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina) i stosownie do nich realizowali politykę partii-państwa, która rzekomo miała wyrażać interesy całego społeczeństwa. Zbigniew Herbert, jeden z tych nielicznych intelektualistów, którzy oparli się „heglowskiemu ukąszeniu”, powiedział, że komunizmowi sprzeciwili się ludzie prości, kierujący się w życiu

² Andrzej Walicki przytacza analizę Jaffa Schatza, który stwierdził, że autentyczny komunizm w PRL skończył się w 1968 r. Zob. A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, Warszawa 1996, s. 9. Tego stwierdzenia nie należy rozumieć dosłownie, gdyż z całą pewnością wśród ideowych komunistów nie brakowało także Polaków o innym niż żydowskie pochodzeniu (casus Bolesława Bieruta, Władysława Gomułki, Stanisława Radkiewicza i in.).

³ Casus Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, autorów słynnego listu otwartego do członków PZPR z 18 marca 1965 r., odwołującego się do idei marksizmu i praktyki komunistycznego systemu. Kuroń został skazany na trzy lata więzienia, Modzelewski na trzy i pół roku.

czytelnymi zasadami pozwalającymi odróżnić dobro od zła, prawdę od fałszu, a dali się mu uwieść intelektualisci dzielący włos na czworo, usilnie dociekający prawdy tam, gdzie jej nie ma. Z wypowiedzią Herberta korespondują słowa Ozjasza Szechtera (ojca Adama Michnika), z pewnością ideowego komunisty w okresach międzywojennym i stalinowskim, który podobno powiadał, że kiedy przed wojną policjant bił go nahajką za działalność polityczną, to życzył mu wszystkiego, co najgorsze; po latach Szechter zrozumiał, że to ów prosty policjant miał rację.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była formacją masową, ale nie partią robotniczą (robotnicy nie stanowili w niej bezwzględnej większości) ani klasową – chyba że przyjmiemy uproszczoną definicję klasy Marksa, odwołującą się do stosunku do środków produkcji, a wówczas każdy, kto nie jest właścicielem środków produkcji i utrzymuje się z pracy najemnej, należy do tej samej klasy. Socjolog Jakub Karpiński podawał, że w 1982 r. robotnicy stanowili 40,2 proc. członków PZPR, chłopi 9,1 proc., inni 51,7 proc.⁴ Szczególną rolę w partii odgrywała tzw. nomenklatura, czyli grupa ludzi mająca stały dostęp do rozmaitych przywilejów i dóbr, niedostępnych dla przeciętnego obywatela. Liczebność nomenklatury jest różnie szacowana i zależy od sposobu jej definiowania. Jeśli uwzględnimy wszystkie poziomy władzy, aktyw partyjny w zakładach pracy i urzędach, aparat propagandy, kierownictwo większych zakładów pracy, przynajmniej średnią kadre IWP i MO oraz funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, to grupa ta mogła liczyć ok. 300 tys. osób⁵. Ze względu na przysługujące jej przywileje nomenklatura była wewnętrznie zróżnicowana. Innych korzyści mogli się spodziewać członkowie Biura Politycznego KC PZPR czy rządu, a innych należący do lokalnych egzekutyw partyjnych. Większość szeregowych członków partii nie mogła liczyć na stałe profity, choć członkostwo było okolicznością sprzyjającą temu, by w korzyściach

⁴ J. Karpiński, *Ustrój komunistyczny w Polsce*, Warszawa 2005, s. 168.

⁵ Jakub Karpiński, powołując się na szacunki Zbigniewa Byrskiego, podawał, że liczebność nomenklatury nie przekraczała 300 tys., ale nie wliczał do niej członków elity komunistycznej władzy. Zob. J. Karpiński, *Ustrój komunistyczny w Polsce...*, s. 93. Marcin Żukowski przywołuje wyliczenia Andrzeja Paczkowskiego, według którego było ok. 273 200 „stanowisk nomenklaturowych”, oraz Jana Winieckiego, szacującego liczebność nomenklatury na 250 tys. Zob. M. Żukowski: *Wybrane aspekty dotyczące PZPR w latach 1948–1990 (liczebność, skład społeczny, dewizowe składki członkowskie i nomenklatura kadry)*, „Komunizm: System – Ludzie – Dokumentacja” 2013, nr 2, s. 123–140.



Ćwiczenia oddziałów ZOMO,
lata osiemdziesiąte. Fot. AIPN

partycypować chociażby okazjonalnie⁶. Masowy odpływ z PZPR w okresie kryzysu – powstania Solidarności i wprowadzenia stanu wojennego – świadczy o tym, że uświadomione profity szeregowych członków partii były znacznie mniejsze niż koszty legitymizowania systemu komunistycznego, odpowiedzialnego za katastrofę gospodarczą i cywilizacyjną zapaść państwa. Opuszczenie szeregów partii raczej nie wiązało się z utratą apanaży wcześniej uzyskanych. Gdy Adam Podgórecki, wybitny polski socjolog, w latach siedemdziesiątych kierował Zakładem Socjologii Norm i Patologii Społecznej w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego, w którym nie było żadnego członka partii, na poczynioną uwagę, że ktoś z akademików oddał legitymację partyjną, ironicznie pytał: „a czy mieszkanie też oddał?”

Upadek systemu komunistycznego i samorozwiązanie się PZPR nie oznaczały bynajmniej degradacji członków byłej nomenklatury komunistycznej. Socjolog Jadwiga Staniszkis sformułowała w początkowym okresie transformacji ustrojowej hipotezę o konwersji władzy politycznej we władzę ekonomiczną. W publicystycz-

⁶ W połowie lat osiemdziesiątych w dużych zakładach pracy rozdzielano wśród załóg, według określonej punktacji, talony na samochody. Jednym z kryteriów była przynależność partyjna. Cena urzędowa nowego samochodu była kilkakrotnie niższa od ceny wolnorynkowej. Szczęśliwy posiadacz samochodu na talon mógł sprzedać auto po roku użytkowania za kwotę kilkakrotnie większą od pierwotnie zapłaconej. Była to ogromna korzyść, której doświadczali także szeregowi członkowie partii zatrudnieni w dużych zakładach pracy.

nym żargonie proces ten jest nazywany „uwłaszczeniem nomenklatury”. Hipotezę tę poddano empirycznej weryfikacji w ramach badania procesu kształtowania się elity polityczno-gospodarczej III RP⁷. Uwaga badaczy była skupiona m.in. na procesie reprodukcji elit, która ma kilka form: wymiar reprodukcji prostej, reprodukcji przez konwersję oraz reprodukcji wertykalnej. Reprodukacja prosta zachodzi wówczas, gdy członkowie elity komunistycznej zachowują te same stanowiska po upadku komunizmu. Z reprodukcją przez konwersję mamy do czynienia wtedy, kiedy członkowie elity komunistycznej zachowują swoje uprzywilejowane pozycje, ale w innych segmentach. Reprodukacja wertykalna oznacza zaś, że członkowie nowej elity stanowili zaplecze elity komunistycznej (byli subelita) i dysponowali określonymi zasobami, aby w nowych warunkach polityczno-gospodarczych zająć elitarne pozycje społeczne.

Analiza empiryczna dostarczyła dowodów potwierdzających, że w Polsce doszło do reprodukcji elit postkomunistycznych. Gil Eyal i Jacek Wasilewski podzielili nomenklaturę z 1988 r. na pięć kategorii (partyjną, państwową, organizacji masowych, gospodarczą i kulturalną) i zbadali proces odpływu członków każdej z tych grup nomenklatury do wyróżnionych pozycji społeczno-zawodowych do 1993 r. (prywatny biznes, polityka, biznes i polityka, klasa menedżerska sektora państwowego, „normalna praca”, renta i klasa niższa, emerytura). Do prywatnego biznesu trafiło 24,8 proc. nomenklatury partyjnej, 19,6 proc. nomenklatury państwowej, 31,6 proc. osób z organizacji masowych, 30,8 proc. nomenklatury gospodarczej i 17,9 proc. nomenklatury kulturalnej. Klasę menedżerską sektora państwowego zasiliło 6,1 proc. nomenklatury partyjnej, 5 proc. nomenklatury państwowej, 5,3 proc. członków organizacji masowych, 34,2 proc. nomenklatury gospodarczej i 28,5 proc. nomenklatury kulturalnej. „Normalną pracę”, pozostając na rynku, ale nie odczuwając specjalnego awansu, wykonywało w 1993 r. 39,4 proc. dawnej nomenklatury partyjnej, 28,6 proc. nomenklatury państwowej, 12,3 proc. osób z organizacji masowych, 12,9 proc. nomenklatury gospodarczej i 25,2 proc. nomenklatury kulturalnej. Klasę niższą oraz rencistów zasiliło 25,5 proc. nomenklatury partyjnej, 23,6 proc. nomenklatury państwowej,

⁷ G. Eyal, J. Wasilewski, *Pochodzenie społeczne i postkomunistyczne losy nomenklatury*, [w:] *Elity w Polsce, w Rosji i na Węgrzech. Wymiana czy reprodukcja?*, red. I. Szelenyi, D. Treiman, E. Wnuk-Lipiński, Warszawa 1995, s. 105–132.



Pracownicy Polskiej Agencji Interpress na pochodzie pierwszomajowym w Warszawie, 1986 r. Fot. PAP

12,3 proc. członków organizacji masowych, 17,5 proc. nomenklatury gospodarczej i 18,7 proc. nomenklatury kulturalnej⁸.

W tym miejscu należy poczynić uwagę o charakterze metodologicznym, a mianowicie, że próba badawcza obejmowała nomenklaturę partyjną z 1988 r. rozumianą jako pula stanowisk kontrolowanych przez KC PZPR. Analiza nie uwzględniała np. funkcjonariuszy służb mundurowych (w tym SB) podległych MSW, którzy po 1989 r. – aż do tzw. ustawy dezubekizacyjnej z 16 grudnia 2016 r. – otrzymywali wysokie świadczenia emerytalne, a w okresie PRL z pewnością należeli do elit komunistycznych.

Konwersja władzy politycznej na ekonomiczną w ramach tzw. kapitalizmu politycznego nie jest niczym zaskakującym, biorąc pod uwagę kilka obiektywnych czynników: dość wysoki poziom wykształcenia członków nomenklatury partyjnej

⁸ *Ibidem*, s. 129.



Gen. Czesław Kiszczak, Aleksander Kwaśniewski
i Ireneusz Sekuła w ławach rządowych sali
posiedzeń Sejmu, 2 sierpnia 1989 r. Fot. PAP

w 1988 r. (kapitał kulturowy), ich znajomości i powiązania w ramach organizacji komunistycznych (kapitał społeczny), zdolność do zamiany kapitału społecznego lub kulturowego na dobra materialne (kapitał symboliczny). Upadek systemu komunistycznego, który członkowie PZPR legitymizowali, otworzył im nowe możliwości rozwoju dzięki wykorzystaniu kapitałów zdobytych w okresie PRL. Pozostał niesmak, ale ci, którzy ochoczo wstępowali do partii i przy niej trwali, raczej nie rozumieją, co znaczy potęga smaku, i nie wiedzą, że:

[...] estetyka może być pomocna w życiu
nie należy zaniedbywać nauki o pięknie
Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać
kształt architektury rytm bębnów i piszczalek
kolory oficjalne nikczemny rytuał pogrzebów
[...]

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku

(fragment wiersza Zbigniewa Herberta *Potęga smaku*).



Dariusz Zalewski (ur. 1965) – socjolog, dr, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie. W 1987 r. współzałożyciel Ruchu Wolność i Pokój w Bełchatowie. Autor książek: *Partnerstwo polityczne – NSZZ „Solidarność” i OPZZ jako reprezentacje zbiorowych interesów* (1998); *Opieka i pomoc społeczna. Dynamika instytucji* (2005) i in.

Kinga Hałacińska

Ocalał, by dać świadectwo

Władysław Siemaszko

**Nawet nie liczył, ile razy uniknął śmierci.
Nie wiedział, że ostatnią walkę w życiu
stoczy nie z bronią w ręku, lecz piórem.
Ocalił pamięć tych, których zdradziła
historia.**



Władysław Siemaszko. Fot. ze zbiorów Ewy Siemaszko

Odmawiam wyjaśnień. Nie macie prawa nas sądzić, jesteśmy obywatelami polskimi – rzucił odważnie dwudziestojednoletni Władysław Siemaszko sowieckim sędziom. Rozprawa odbywała się 6 listopada 1940 r. w więzieniu w Łucku. NKWD aresztowało go pół roku wcześniej w Werbie, wsi w powiecie włodzimierskim. Tuż potem jego mama z siostrą i jej mężem zostali deportowani do Kazachstanu. W łuckim więzieniu cele były przepełnione, wśród więźniów panowały wszawica i zaduch. – Spaliśmy pokodem jeden przy drugim bezpośrednio na podłodze, sprzętów nie było, tylko wiadro z wodą do picia i kubek na odchody wynoszony dwa razy dziennie. Nie zmieniłem ani razu bielizny czy ubrania, a buty, w których mnie aresztowano, rozleciały się i dano mi jakieś szmaciaki – wspomina.

Tego dnia sądzono go wraz z 33 członkami Związku Walki Zbrojnej z Włodzimierza Wołyńskiego. Nie miał w sobie pokory, czym wzbudził wściekłość sowieckich urzędników, ale szczerzy podziw u koleżanki, Janiny Holcówny.

Widzieli się przedtem kilka razy w przelocie. On zajmował się wywiadem wojskowym, zbierał informacje o sowieckich represjach wobec ludności polskiej. Ona opiekowała się uchodźcami i rannymi, ukrywała ludzi. W styczniu 1940 r. oboje zostali zaprzysiężeni w ramach Okręgu Wołyń Związku Walki Zbrojnej. Szybko ich rozpracowano. Janinę aresztowano w kwietniu, jego miesiąc później. Przesłuchiwano ich po kolei, potem wydano wyrok: trzynaście osób, w tym dwie kobiety – kara śmierci, pozostali od pięciu do dziesięciu lat pobytu w łagrach ZSRS. Po procesie rozdzielono Polaków do cel śmierci i tych „transportowych” – do wywózki.

Siemaszko znalazł się wśród skazanych na karę śmierci. Czekał na koniec sześć miesięcy. Wraz z nim byli księża: Bronisław Galicki, Stanisław Kobyłecki i Józef Kazimierz Czurko, który zaprzysięgał konspiratorów. Jeszcze Marceli Kaźmierczak i członkowie konspiracji kowelskiej: Aleksander Pśnik, Władysław Szkoda, kpt. Piotr Pióro, Zygmunt Łuszczewski i Zygmunt Wróblewski oraz dwóch innych Polaków i Ukrainiec, których nazwisk Siemaszko nie zapamiętał. W zatłoczonej celi z trudem mieściło się ich trzynastu.

W sąsiednim pomieszczeniu czekały na wykonanie wyroku: Janina Dynowska, sekretarka komendanta Okręgu Wołyń ZWZ płk. Tadeusza Majewskiego „Szmigła”, „Maja”, Janina Holc z Włodzimierza Wołyńskiego i Janina Grabowska z Horochowa. Porozumiewali się więziennym alfabetem, stukając w ścianę. Każdej literze odpowiadała znana wtajemniczonym liczba dźwięków. Władysław robił to godzinami. Cicho, ostrożnie, musiał unikać oczu i uszu strażnika. Ale zapominał o bożym świecie, choć zdawał sobie sprawę z tego, że każde zdanie, które „depszuje”, mogą odszyfrować wszyscy. To, co pisał, dawało mu chwilę nieznaną dotąd radości. Był młody, życie się dopiero zaczynało, a tak bardzo chciał, by trwało nadal. Po drugiej stronie muru słuchała go dziewczyna, w której właśnie się zakochał, Janka. – Między mną a Janiną Holcówną zawiązała się nić sympatii – opowiada o tych emocjach. Każdego dnia mogli się spodziewać, że dziś ich zabiją. Właśnie wtedy, wbrew rozpaczy, postanowili się pobrać. Był początek kwietnia 1941 r., prawie Wielkanoc. Stukając w więzienny mur, powiedzieli sobie „tak” przed Bogiem. Błogosławił im ks. Czurko, o zawarciu małżeństwa mieli zaświadczyć Kaźmierczak i ks. Kobyłecki, a po stronie Janiny – koleżanki. Wzruszenie w obu celach było ogromne.

Ocaleni małżonkowie

Opatrzności Bożej zawdzięczają, że uniknęli najgorszego. 10 kwietnia zamieniono im wyroki śmierci na kary dziesięciu lat pobytu w łagrach. Poszli do cel transportowych, potem już nie mieli ze sobą kontaktu. Siemaszko się modlił, mijały dni. Do kwietnia 1941 r. w łuckim więzieniu przebywali prawie wyłącznie Polacy. Potem cele powoli zapełniały się ukraińskimi nacjonalistami z północnej części Wołynia. – Na kilka dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej przyprowadzono do nas chłopca, Ukraińca, w wieku 14–15 lat, który sprzedawał zapalki na ulicy, wykrzykując: „U nas wsio, daże spiczki” (Mamy wszystko, nawet zapalki). Byli też nieliczni Żydzi i Rosjanie – wspomina Siemaszko. 22 czerwca 1941 r., w niedzielę o świcie, wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Więźniowie słyszeli wystrzały z armat przeciwlotniczych, na miasto spadały niemieckie bomby. Straż więzienna zabrała z cel skazanych na karę śmierci, w tym ks. Czurkę, i wszystkich ich rozstrzelała.

23 czerwca kazano zejść wszystkim na parter, pytano o narodowość i paragraf, z którego byli sądzeni. Polaków kierowano na plac spacerowy z jednej strony więzienia, a Ukraińców na dziedziniec więzienny z drugiej strony budynku. Niektórzy Polacy, spodziewając się łagodniejszego potraktowania, podali się za Ukraińców. Tak trafił do grupy ukraińskiej ks. Galicki, proboszcz kościoła farnego we Włodzimierzu. – Ja i ksiądz Kobyłecki poszliśmy na plac spacerowy. Nagle padły strzały z karabinów maszynowych. Padliśmy na ziemię, niektórzy



kryli się w zakamarkach, kilku próbowało sforsować mur więzienny. Z górnego piętra obrzucono dziedziniec granatami. Skryliśmy się za metalowym kotłem do roznoszenia zupy i on ochronił nas przed kulami. Nie byliśmy nawet draśnięci. Dookoła martwi, ranni, ciała rozszarpane granatami i zaledwie kilkunastu żywych. Na drugim dziedzińcu dokonano takiej samej masakry. Z obu miejsc mogło ocaleć ok. 150 osób. – Nocą enkawudziści wyłuskiwali z pomieszczeń kolejnych więźniów i dalej rozstrzeliwali – zapamiętał Siemaszko. Okna celi Janiny wychodziły na dziedziniec. Podczas tej masakry do jej celi wszedł osmolony NKWD-zista. Spytał, czy nie boi się śmierci. – Przecież ona nie kończy życia – odpowiedziała. Machnął tylko rewolwerem i wyszedł.

Następnego dnia zabrano ocalałych do przenoszenia zwłok. Rzucano je do łów na dziedzińcu. – Byliśmy wyczerpani przeżyciami, brakiem jedzenia i picia, nie mieliśmy siły, więc we czterech ciągaliliśmy na kocu po jednej zabitej osobie. Zamordowani leżeli też w celach i na korytarzach. Zwłoki NKWD-ziści posypywali wapnem. Był upał. Kazano nam pozbierać rzeczy z cel, korytarzy i znieść na jedno miejsce – wspomina Siemaszko. Masakra pochłonęła ok. 2 tys. ofiar. Potem na teren więzienia weszli Niemcy. NKWD-zistów rozstrzelali, a pozostałym przy życiu ludziom powiedzieli, że zostaną zwolnieni. Oszołomiony przeżyciami Siemaszko biegał po całym budynku. Odnalazł żonę. Okazało się, że prawie wszystkie kobiety ocalały.

Powrót do rodzinnej Werby

26 czerwca rano Niemcy i Ukraińiec identyfikowali więźniów. Żydów zatrzymmano, pozostałych wpisywano na listę i wypuszczano na wolność. Siemaszko dostał numer 90. Potem ruszył z żoną w kierunku Włodzimierza. Ukraińcy po drodze wypytywali ich o swoich znajomych, krewnych w więzieniu. Płakali, a wokół rozbrzmiewały wiwaty na cześć maszerujących Niemców. Po przybyciu do miasteczka Siemaszko z żoną poszli do kościoła; tam na nabożeństwie spotkali matkę i siostrę Janiny. Znowu były łzy, tym razem radości, i niedowierzanie, że oto są, żyją. Błyskawicznie rozeszła się wieść, że ocaleli.

10 lipca 1941 r. powtórzyli swe ślubowanie w kościele farnym w obecności ks. kanonika Stanisława Kobyłeckiego. – Uważał, że należy powtórzyć ceremonię, ponieważ nie może podać w księdze metrykalnej nieżyjących już świadków



Łuck; widok na basztę zamkową i Stare Miasto, przed 1939 r. Fot. NAC

naszych zaślubin – wspomina Siemaszko. Inna była to uroczystość – stali przy sobie, widzieli twarze bliskich. Oboje czuli się bardzo zżyci z tą ziemią. Ich małą ojczyzna była Werba. Zwłaszcza dla Władysława. Właśnie tam dziadek, Józef Siemaszko, nabył ziemię w 1884 r.

Dziadek był postępowym rolnikiem, do uprawy łąk sprowadził maszyny – konne kosiarki i grabiarki. Narzędzia rolnicze wypożyczał za opłatą okolicznym dworom i bogatszym gospodarzom. Tuż przed I wojną światową zdążył kupić ziemię i dla synów. – Tyle że mojego ojca, Mieczysława, nie pociągało rolnictwo. Wyjechał i zatrudnił się w fabryce pomp Skibniewskiego w Białogonie. Ponadto zaangażował się w działalność Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Padło na niego podejrzenie, że jako członek „Sokoła”, posiadający umiejętności pirotechniczne, ma coś wspólnego z zaginięciem środków wybuchowych w fabryce. W 1911 r. zdobył fałszywe dokumenty i uciekł. Daleko, bo do Brazylii. Zamieszkał w Kurytybie, budował linię kolejową w dżungli nad rzeką Rio de Peixe. Po roku

sprowadził do siebie żonę. – Urodziłem się w Kurytybie w 1919 r. jako ich drugie dziecko – opowiada Władysław. Na emigracji Mieczysław pomagał w rekrutacji ochotników do Wojska Polskiego, zbierał pieniądze dla Ojczyzny.

Praca w dżungli okazała się zabójcza. Tropikalny klimat, choroby, ukąszenia owadów, ataki dzikich zwierząt i napady miejscowych Indian utrudniały życie. Odszedł na zawał w wieku 38 lat. Żona przez rok starała się utrzymać dzieci z szycia. W 1924 r. rodzina ściągnęła ją na powrót do Polski, do Werby.

Rzeź wołyńska i komunistyczne więzienie

Małżonkowie Janina i Władysław nie pojechali na miesiąc miodowy, tylko przystąpili do odtwarzania siatki ZWZ. On zajął się punktami przerzutowymi łączników oraz utrzymywaniem łączności z Obwodem ZWZ/AK Włodzimierz Wołyński („Ława”) i Inspektoratem Rejonowym ZWZ/AK „Łuna” w Łucku. Został adiutantem komendanta Obwodu Wiktora Smolińskiego, a później oficerem wywiadu. Janina zaś – szefem łączności. Udało się im zatrudnić w niemieckich instytucjach. Jemu w skupie płodów rolnych, jej w urzędzie gospodarki i wyżywienia.

W 1943 r. Wołyń ogarnęły rzezie. Ukraińska Armia Powstańcza przy współudziale ludności cywilnej mordowała Polaków. We Włodzimierzu był duży garnizon niemiecki, który wykorzystywał zabudowania przedwojennej Szkoły Podchorążych Artylerii; jego obecność powstrzymywała Ukraińców od napadów. W lipcu na południe od Włodzimierza zlikwidowano wszystkie polskie osiedla i Polaków żyjących we wsiach ukraińskich; w sierpniu zaś osiedla na północ i wschód od Włodzimierza. – Byliśmy bezradni. Po rzeziach w Bielinie i Spaszczynie, 10 km od Włodzimierza na północny zachód, powstała samoobrona, której komendantem został Jan Wyszomirski „Mirek”, jeden z naszych. Tam też zorganizował się oddział partyzancki pod dowództwem Władysława Cieślińskiego „Piotrusia Małego”. Dzięki tym formacjom skupisko osiedli polskich wokół Bielina ocalało od rzezi. Dlatego teren ten był później wyznaczony na miejsce koncentracji polskich sił do akcji „Burza” – opowiada Władysław.

Na początku stycznia 1944 r. Siemaszkowie zgłosili się do formującego się zgrupowania pułkowego „Osnowa”, które było częścią 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Władysław został przerzucony przez strzeżoną przez Niemców granicę na Bugu do miasteczka Horodło, w celu rozpoznania umocnień i bun-



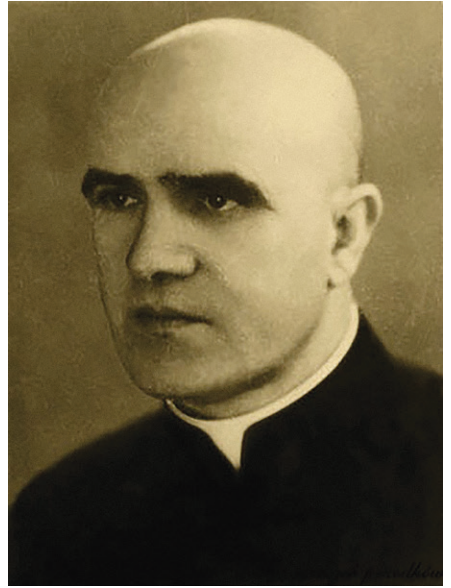
Budynek dawnego klasztoru sióstr Brygidek w Łucku; w latach 1939–1941 mieściło się tu więzienie NKWD. Fot. Wikimedia Commons

krów oraz ustalenia miejsc do przewazy oddziałów 27. Dywizji na Lubelszczyznę. W drugiej połowie kwietnia 1944 r., podczas ciężkich walk z Niemcami, przy przekraczaniu torów kolejowych koło stacji Terebejki na linii kolejowej Chełm – Luboml – Kowel, Siemaszkowie wraz z innymi żołnierzami ze Zgrupowania „Osnowa” dostali się do niewoli niemieckiej. Trafili do obozu przejściowego w Lublinie, ale zorganizowano im ucieczkę. Potem Władysław nawiązał kontakt z przybyłym do Lublina por. Janem Kubalskim „Grotem”, z którym od połowy maja 1944 r., w porozumieniu z komendą Okręgu AK Lublin, organizował pomoc żołnierzom-rozbitkom z 27. WDP AK na ziemi lubelskiej. Niejednokrotnie przewoził pieniądze dla dywizji z Komendy Głównej AK w Warszawie. 12 lipca 1944 r. otrzymał zadanie przetransportowania z Lublina do miejscowości Głębokie nowo mianowanego dowódcy, płk. Jana Kotowicza „Twardego”. Kolejną trudną misją z polecenia Komendy Okręgu AK Lublin było doprowadzenie z Lublina do Kozłówki por. Zygmunta Kulczyckiego „Olgierda”, który opuścił dowodzony przez siebie batalion 27. WDP AK w czasie walk z Niemcami. – Było to niebezpieczne. Przymykaliśmy się pomiędzy wycofującymi się na zachód wojskami niemieckimi i nacierającymi wojskami sowieckimi – wspomina Siemaszko.

Ks. Stanisław Kobyłecki. Fot. ze zbiorów Ewy Siemaszko

Po wykonaniu zadania pozostał w sztabie dywizji, którą 25 lipca 1944 r. Sowieci rozbroili w Skrobowie k. Kozłówki.

Siemaszkowie zatrzymali się na pewien czas u wuja Janiny Jana Zameckiego w Lublinie. Kilka dni później Władysław próbował dotrzeć do powstańczej Warszawy, ale w Otwocku został ostrzeżony, że Sowieci przeszukują domy, wyłapują AK-owców. Wrócił i ponownie zgłosił się do Komendy Okręgu AK Lublin. Wojna się niby kończyła, ale Sowieci rozpoczęli polowanie na nich, jak dawniej robili to Niemcy. Siemaszko z kolegą udzielali AK-owcom pomocy finansowej, zaopatrywali ich w dokumenty. Stale musieli zmieniać miejsce stacjonowania. Gdy przebywali u Zameckiego, namierzyli ich Rosjanie. Kocioł trwał dwa tygodnie. – Dowodów w postaci dokumentów nie znaleźli, bo zostały spalone przez teściową w obecności strażnika sowieckiego w piecu kuchennym, jako tzw. rozpałka – wspomina Siemaszko. On, Janina i jej wuj zostali aresztowani przez Smiersz i uwięzieni w gmachu przy ul. Chopina 18. Tam poddano ich wielomiesięcznemu śledztwu. – W zasadzie nic nam nie mogli udowodnić. Zwłaszcza że nie działaliśmy przeciw Sowiетom – wspomina Siemaszko. Żonę i wuja zwolniono w lutym 1945 r., jego przekazano polskim władzom komunistycznym i przetransportowano do więzienia w Zamku Lubelskim. Cele były już zapełnione AK-owcami. – Każdy z nas był wzywany do stolika, przy którym siedziało trzech w wojskowych mundurach. Tu odczytywano formułkę stwierdzającą, że taki a taki, postanowieniem sądu wojskowego, z artykułu pierwszego Dekretu o ochronie państwa, został skazany na tyle a tyle lat więzienia. Następnie każdy dostawał polecenie: podpisać – wspomina Siemaszko. Został skazany na pięcioletnią odsiadkę. Po tym wyroku wywieziono go do Wronek, gdzie przesiedział dwa lata. W 1947 r. ogłoszono „amnestię”.



W „ludowej” Polsce

Wrócił do Lublina, gdzie czekała na niego Janina. Zaczął szukać zatrudnienia, co nie było łatwe. Każdego pracownika dokładnie prześwietlano. Dzięki pomocy znajomego przyjęto go do młyna „Samopomocy Chłopskiej” w charakterze księgowego. – Wtedy do Bielska-Białej pojechał wuj, który jakoś się urządził i nas ściągnął. Pojechaliśmy. Na mieszkanie przyjął nas znajomy, jeszcze sprzed wojny. Wywieziono go do Kazachstanu, a wrócił wraz z Armią Berlinga – wspomina Siemaszko. W Bielsku-Białej też, gdziekolwiek się zgłosił, personalni kręcili nosem. Pierwsze pytanie zawsze brzmiało: „Czy jesteście partyjni?”. Odpowiadał, że nie. Wtedy następowało stwierdzenie: „No to wam dziękujemy”. Znów pomogły znajomości. Zaprotegowano go na księgowego do fabryki urządzeń technicznych. Później przeniósł się do fabryki pasmanterii.

To był pierwszy spokojny czas w jego życiu, w końcu mógł nadrobić młodościencze lata, stracone przez wojnę. Poszedł na studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Przyszły na świat dzieci. Ewa urodziła się w 1947 r. Tak wspomina tamte lata: – Ojciec na dobranoc opowiadał mi i bratu, jak wyglądał Wołyń. To były cudowne opisy przyrody, którą był zafascynowany. Opowiadał o drzewach, trawach, o niezliczonych gatunkach ptaków, o rybach w stawach itd. Wydawało się, że został wypędzony z raju. Mama zaś koncentrowała się na opowieściach o szkole, harcerstwie, o swojej pracy w sejmiku, partyzantce. Harcerką była do końca życia. Proszę sobie wyobrazić starsze panie, które organizują sobie zbiórki. Przedwojenną Polskę rodzice przedstawiali jako coś wyjątkowego, co bardzo różniło się od tego, co widziałam w PRL. Mama często mówiła: „Ty sobie nie wyobrażasz, jak czuliśmy się wolni”. Po wojnie nie mieli już takiego poczucia. Tęsknota moich rodziców za Wołyniem spowodowała, że długie lata wydawało mi się, że przez jakieś nieporozumienie jestem tu, gdzie jestem, i nigdzie nie czułam się u siebie, choć równocześnie czułam silny związek z Polską jako całością i nie potrafiłabym żyć na emigracji. W mojej rodzinie nie ukrywano przed dziećmi wiedzy o przeszłości z obawy, że „wyniosą z domu” i będą nieprzyjemności. Na przykład gdy miałam osiem lat, babcia Siemaszkowa i ciociababcia, czyli siostra babci, uświadomiły mi, że trzeba posiadać różne umiejętności praktyczne, które pomogą na przykład przetrwać zesłanie. Radziły nauczyć się robótek ręcznych i szycia, bo to pomogło im w Kazachstanie. Przejęłam się tym i z miejsca nauczyłam się szydełkować, w następ-

nych latach robić na drutach i szyć. Gdy byłam przedszkolakiem, mama pozwalała mi bawić się malutkimi torebeczkami, które ojciec zrobił w więzieniu we Wronkach, pokazywała też krzyżyk tam wykonany – mówiła, jakie jest pochodzenie tych przedmiotów i że ojciec siedział za Polskę. Traktowano nas, dzieci, jak dorosłych. Toteż już jako dziewczynka w szkole podstawowej wiele wiedziałam o przeszłości rodziców i nie przychodziło mi do głowy, by o tym opowiadać poza domem. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych rozmawiałam o sowieckich zbrodniach z osobami uznanymi za zaufane i godne tej wiedzy.

Ewa, gdy dorosła, wyjechała z Bielska-Białej. Ukończyła Wydział Technologii Rolno-Spożywczej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i Podyplomowe Studium Pedagogiczne. W latach 1970–1973 pracowała jako asystentka w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach, a także w pozaszkolnej oświacie żywieniowej jako nauczycielka.

Władysław Siemaszko po studiach odbył aplikację i został wpisany na listę radców prawnych. Do 1979 r. pracował w Zjednoczeniu Przemysłu Wełnianego w Bielsku, potem przeszedł na emeryturę. Przenieśli się z żoną do stolicy, do Ewy. Postarała się o większe mieszkanie, aby opiekować się rodzicami. Wydawało się, że czekają ich spokojne lata, kiedy już o nic nie będą musieli walczyć. Tymczasem mieszkając w Warszawie, Władysław zaczął się spotykać z dawnymi kolegami z wojska. Bywali u siebie w domach, rozmawiali. – Od początku lat osiemdziesiątych środowisko kombatanów 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej prężnie działało w ramach oficjalnych struktur – wspomina Ewa Siemaszko.

Kiedy w 1984 r. w poznańskim miesięczniku społeczno-kulturalnym „Nurt” prof. Jerzy Tomaszewski, związany z Instytutem Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego i Żydowskim Instytutem Historycznym, zamieścił kłamiwy artykuł oskarżający Armię Krajową o mordowanie Ukraińców – w tym kobiet i dzieci – zaznaczając, że nie był to akt samoobrony, w kręgu dawnych AK-owców zawrzało. – Ta wypowiedź wywołała wielkie poruszenie wśród żołnierzy wołyńskich. Większość z nich straciła swoich bliskich, niektórzy całe rodziny. Postanowili więc udokumentować tamte wydarzenia – wspomina Ewa Siemaszko. Pamiętali, że gdy polskie dowództwa zabraniały ataków na ludność ukraińską, UPA wydawała rozkazy mordowania ludności polskiej. Wśród ludności ukraińskiej było nieporównanie mniej ofiar, ok. 2 tys., przy co najmniej 60 tys. po stronie polskiej.



Kościół farny świętych Joachima i Anny we Włodzimierzu Wołyńskim, widok dzisiejszy. Fot. Demmarcos/Wikimedia Commons

Władysław Siemaszko uznał wtedy, że nie ma na co czekać, i przystąpił do dokumentowania zbrodni popełnionych przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach. Minęło wówczas prawie czterdzieści lat od końca wojny, a nikt nie dokonał imiennego rejestru strat, których doznali Polacy, zarówno ze strony Niemców, Sowieców, jak i Ukraińców. W okresie PRL wydarzenia na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej z czasów II wojny światowej były zepchnięte w niebyt, a nawet straty z rąk niemieckich nie zostały rzetelnie odnotowane. Uczelnie nie zajmowały się tą sprawą, historycy nie próbowali nawet zbierać materiałów. – Istniało niebezpieczeństwo, że jak wymrze nasze pokolenie, to prawda o zbrodniach popełnionych na Wołyniu zostanie zapomniana lub ofiary staną się katami – wspomina Władysław Siemaszko. Dlatego poproszono o nadsyłanie świadectw pisanych przez tych, którzy ocalili z ludobójstwa. Duże znaczenie odegrał „Biuletyn Informacyjny” środowiska 27. WDP, działającego wówczas przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Właśnie do tej redakcji wiele osób zaczęło nadsyłać swoje relacje. W sumie dostarczono ich 360, a opracowaniem przekazów zajął się Józef Turowski. Pisali je nie tylko żołnierze dywizji, lecz także członkowie ich rodzin i znajomi. Opracowaną dokumentację złożono w Głównej Komisji Badania

Zbrodni Hitlerowskich wraz z wnioskiem o opublikowanie świadectw. Przeleżały tam cztery lata. Dopiero w 1990 r. wydano niewielką książeczkę pt. *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945*. Niestety, Turowski nie doczekał tej publikacji, zmarł przed jej ukazaniem się. Nakład był niewielki, ale dzięki wsparciu finansowemu środowiska dywizji został wykonany dodruk, który rozszedł się po całej Polsce. Czytelnicy nadsyłali uzupełnienia, sprostowania. – Okazało się, że jest jeszcze wiele kwestii, o których nikt nie napisał, a nawet te już opisane wymagają uzupełnienia – na przykład liczby i listy ofiar albo fakty z przebiegu wydarzeń. Postanowiliśmy więc uzupełnić pracę – wspomina Władysław Siemaszko. Środowisko 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK znów usiłowało zainteresować tematem gremia naukowe, ale i tym razem nie było chętnych do podejmowania żmudnych i czasochłonnych badań. Po 1989 r. temat ukraińskich zbrodni był nadal niemile widziany przez rządzących i kręgi opiniotwórcze. Ludzie, którzy doszli do władzy, uznali, że przeszłość jest mniej ważna od przyszłości i z narodem ukraińskim, zgodnie z linią paryskiej „Kultury”, trzeba się pojednać ponad wszystko. Taka koncepcja została zaakceptowana przez Solidarność i była wcielana w życie. – Bez przeszłości nie może funkcjonować żaden naród. Musi być ciągłość wydarzeń, kultury i tradycji, której fundamentem winny być prawda i porządek moralny – tłumaczy Władysław Siemaszko.

Wyprawa na Wołyń

Latem 1991 r. Ewa pojechała z ojcem na Wołyń. Zobaczyła więzienie NKWD, z którego oboje rodzice cudem ocalili. – Dla taty było to coś w rodzaju pielgrzymki do miejsca, które zaważyło na jego życiu. Ja natomiast chciałam zrobić dokumentację, którą mogłabym wykorzystać do wystawy o zbrodniach NKWD w okresie czerwiec–lipiec 1941 r. Byłam dobrze przygotowana do tego wyjazdu, bo o łuckim więzieniu od lat słuchałam opowieści rodziców, zbierałam też informacje od kilku byłych więźniów – opowiada. W tym czasie zajmowała się badaniem zbrodni sowieckich. Jednak w trakcie prac ojciec coraz częściej zwracał się do niej o pomoc, ponieważ ciągle nadsyłano nowe świadectwa zbrodni nacjonalistów ukraińskich. Władysław Siemaszko uznał, że trzeba też sięgać do źródeł innych niż relacje, co sprawiło, że materiałów przybywało, a przecież należało je konfrontować z tymi otrzymanymi wcześniej.

Ewa i Władysław Siemaszkowie – Kustosze
Pamięci Narodowej, 2011 r. Fot. IPN

W rezultacie wszystko przeciągnęło się do 2000 r., kiedy to Siemaszkom, córce i ojcu, udało się wydać dwutomową pracę zatytułowaną *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*. Książka mogła się ukazać dzięki wsparciu wielu instytucji i środowisk, a także osób prywatnych. Okazała się krokiem milowym w przeoraniu świadomości polskich elit odnośnie do zbrodni UPA. Dzięki Siemaszkom zaczęto do opisu wydarzeń na Wołyniu używać terminu „ludobójstwo”. – W ostatnich latach trochę się zmieniło. Jeszcze w 2003 r. w publikacjach prasowych, które się ukazywały w związku z 60. rocznicą rzezi wołyńsko-małopolskiej (takie samo ludobójstwo jak na Wołyniu dotknęło trzy województwa Małopolski Wschodniej: lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie), to słowo było nieobecne, jednak niedawno niektóre media odważyły się na używanie tego terminu. Z definicji ludobójstwa określonej w konwencji ONZ z 1948 r. wynika, że zbrodnie dokonane na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej muszą być tak właśnie traktowane, ponieważ Polacy byli mordowani z powodów narodowościowych. Główną przyczyną unikania właściwej kwalifikacji zbrodni jest przyjęcie jako zasady w stosunkach z Ukrainą, że nie należy podejmować drażliwych kwestii – wyjaśnia Ewa.

Ojciec i córka opublikowali wiele prac dotyczących martyrologii Polaków na Wołyniu w latach II wojny światowej. Do najważniejszych, poza już wspomnianym *Ludobójstwem...*, należą: *Terror ukraiński i zbrodnie przeciwko ludzkości dokonane przez OUN-UPA na ludności polskiej na Wołyniu w latach 1939–1945* (artykuł i broszura); *Wołyń naszych przodków. Śladami życia – czas zagłady. Album*





Order Orła Białego. Fot. prezydent.pl

z okazji 60. rocznicy ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich OUN-UPA na ludności polskiej Wołynia; Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945 (z Józefem Turowskim).

Władysław Siemaszko za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej otrzymał w 2007 r. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, a w roku 2019 Order Orła Białego, najwyższe odznaczenie państwowe. W Pałacu Namiestnikowskim przyjmował je na wózku inwalidzkim. Prezydent dziękował mu za odzyskanie dla Polski ważnej części jej historii. – Do dzisiaj wpływają kolejne świadectwa, docieram do nowych materiałów, nadal pracuję nad rejestrem zbrodni – wylicza Ewa Siemaszko. Podkreśla, że tata wyszedł z komunistycznego więzienia na mocy „amnestii”. To była łaska Boża, bo przecież wielu AK-owców zostało rozstrzelanych bez sądu. Ewa Siemaszko mówi, że jej rodzice przez wiele lat ocierali się o śmierć, a jednak jej uniknęli. Wobec każdego człowieka Bóg ma plan, więc może Siemaszkowie przeżyli właśnie dlatego, by upamiętnić ofiary zbrodni na Wołyniu. Gdy piszę ten tekst, Władysław Siemaszko ma 101 lat.

Poza Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i Orderem Orła Białego Władysław Siemaszko był odznaczany i nagradzany:

- Medalem Polonia Mater Nostra Est (2002).
- Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza (wraz z córką Ewą) za monografię *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945* (2002).
- Medalem „Pro Memoria”, który otrzymała także córka Ewa (2010).
- Nagrodą Kustosz Pamięci Narodowej (wraz z córką Ewą) (2011).



Kinga Hałacińska (ur. 1967) – dziennikarka, współpracowała z „Businessweekiem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Rzeczpospolitą”, „Kombatantem” i „Dobrym Tygodniem”. Członek Warszawskiej Rodziny Katyńskiej oraz Stowarzyszenia Pokoleń Legionowych i Katyńskich.



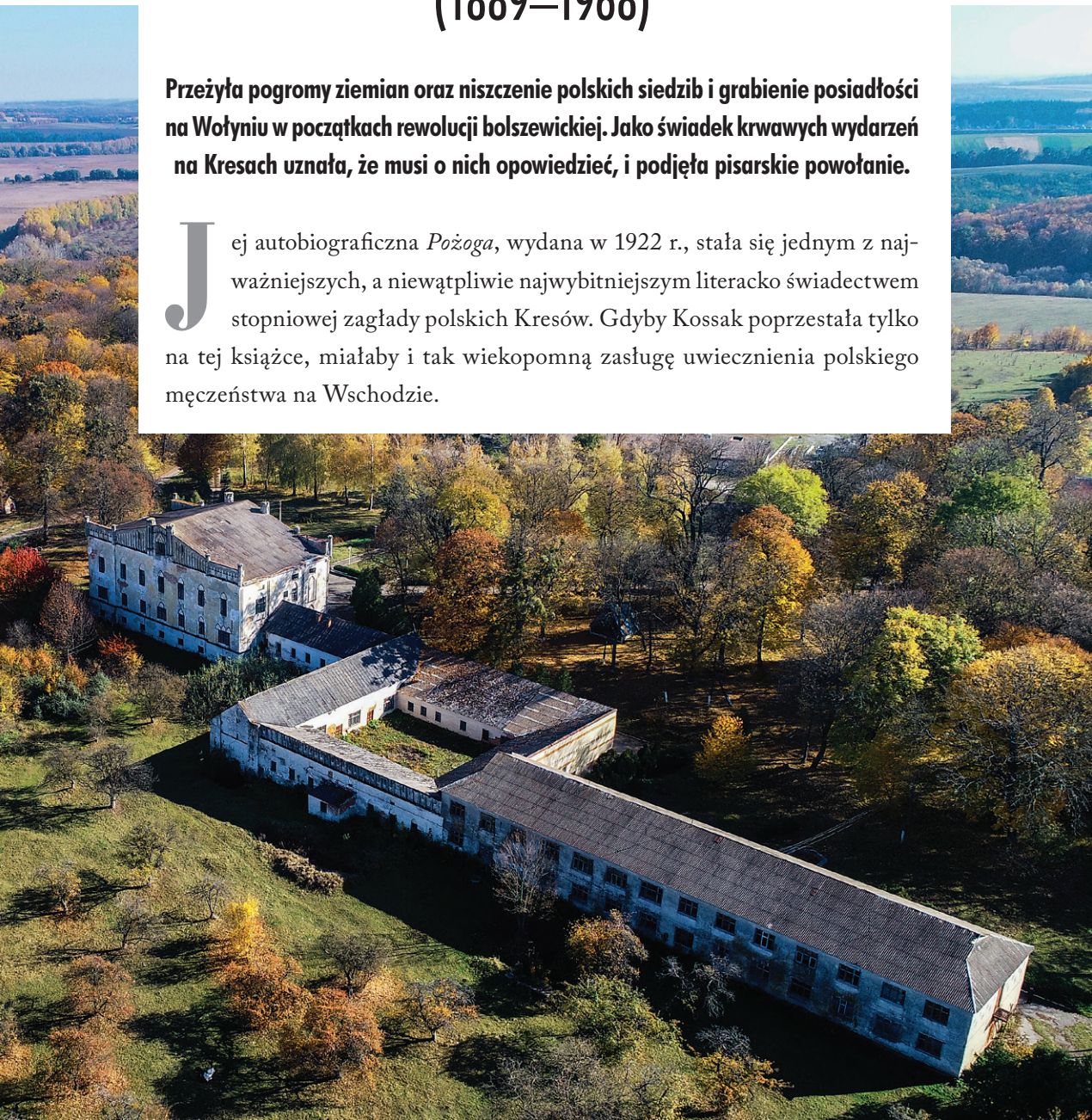
Marek Klecel

Ocalona z zagłady

Żywot heroiczny Zofii Kossak (1889–1968)

Przeżyła pogromy ziemian oraz niszczenie polskich siedzib i grabienie posiadłości na Wołyniu w początkach rewolucji bolszewickiej. Jako świadek krwawych wydarzeń na Kresach uznała, że musi o nich opowiedzieć, i podjęła pisarskie powołanie.

Jej autobiograficzna *Pożoga*, wydana w 1922 r., stała się jednym z najważniejszych, a niewątpliwie najwybitniejszym literacko świadectwem stopniowej zagłady polskich Kresów. Gdyby Kossak poprzestała tylko na tej książce, miałyby i tak wiekopomną zasługę uwiecznienia polskiego męczeństwa na Wschodzie.



A przecież pamięta się głównie jej zaangażowanie w latach II wojny światowej. Podczas okupacji niemieckiej działała w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego, ratowała Żydów. Trafiła do Auschwitz, skąd Niemcy wywieźli ją na Pawiak. Uwolniona dzięki staraniom podziemia, brała udział w Powstaniu Warszawskim. Po jego upadku przedostała się do Częstochowy, gdzie jednak, mimo dalszej konspiracji, odnalazły ją służby komunistyczne. Wezwano ją do Warszawy i dano do zrozumienia, że jeśli nie opuści kraju, czekają ją kłopoty. Jej współpracowników z konspiracji uwięziono w kolejnym roku.

Z legendarnego rodu

Pochodziła ze znanej i bogatej w talenty ziemiańskiej rodziny Kossaków. Jej dziadek Juliusz był wybitnym malarzem batalistą, podobnie jak stryj Wojciech. Córkami tego ostatniego były poetka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i uprawiająca satyryczną prozę Magdalena Samozwaniec. Liczna i szeroko skoligacona rodzina, dziedzicząca malarskie i literackie zdolności, miała swe bogate, barwne i często burzliwe dzieje, zawsze jednak była związana z patriotyczną i powstańczą tradycją. Ciekawostką jest, że ojciec Zofii Tadeusz i jego brat bliźniak Wojciech urodzili się w różnych latach. Wojciech wyprzedził o kilka godzin Tadeusza, urodził się bowiem późnym wieczorem 31 grudnia 1856 r., a Tadeusz już po północy 1 stycznia. Byli tak podobni do siebie, że matka, żeby ich odróżnić, wiązała kolorowe kokardki na głowach. Z tym podobieństwem wiązało się wiele rodzinnych anegdot. W szkole, wywoływani do tablicy, odpowiadali jeden za drugiego. Magdalena Samozwaniec, która nie oszczędzała swej rodziny, wspominała zabawną, choć chyba mało prawdopodobną sytuację, gdy już w dorosłości Wojciech sam pomylił siebie z bratem: „Po jakiejś sutej libacji schodził w dół w Hotelu Europejskim w Warszawie, gdzie w hallu naprzeciw schodów stało olbrzymie lustro. Wojciech rzucił się z otwartymi ramionami na swoje odbicie w lustrze, krzycząc: »Tadeusz, skądś się tu wziął!« – i rymsnął nosem w lustrzaną taflę”¹.

Bracia Kossakowie ożenili się z siostrami stryjecznymi Kisielnickimi z Podlasia. Najpierw Wojciech z Marią, pochodzącą z majątku Stawiska k. Łomży, a później Tadeusz z Anną z niedalekiego Korzenistego. Bracia wydawali się

¹ Cyt. za: M. Pałaszewska, *Zofia Kossak*, Warszawa 1999, s. 14.

nierozłączni, w czym, jak sami mawiali, przypominali dwie strony księżyca, przy czym Tadeusz uważał, że znajduje się raczej po jego ciemniejszej stronie. Nabył majątek ziemski w Kośminie na Lubelszczyźnie i tam, koło Dębina, zaczął gospodarować.

Zofia Kossak przyszła na świat w Kośminie w 1889 r. Miała trzech braci: starszego Witolda oraz młodszych Zygmunta i Juliusza. Otrzymała typowe wtedy dla rodzin ziemiańskich wykształcenie domowe, które zapewniały guwernantka i nauczycielka. Szybko też, bo już w wieku szesnastu lat, sama podjęła na krótko pracę nauczycielską. Uczyła dzieci wiejskie w Kośminie, a później w Macierzy Szkolnej w Warszawie. Miała jednak duszę artystki. Najpierw, jak przyjęło się rodzinnym zwyczajem, próbowała malarstwa, ale niemal równocześnie podejmowała próby pisarskie. W liście do prof. Józefa Birkenmajera pisała: „Wszyscy w rodzinie jesteście mniej lub więcej obciążeni malarsko. Wielki talent mojego dziadka, który przeszedł *»en bloc«* na mego stryja, w trzecim pokoleniu rozprysnął się na sześćcioro wnuków. Talenta te rozdrobione były typowo epigoniczne, zamierające, czyli że w wieku dziecięcym zapowiadały się genialnie, były przedwczesne, pełne obietnic, które nie miały się spełnić, gdyż wtedy gdy normalny talent dopiero się zaczyna rozwijać, »cudowne« wnuczeta Juliusza Kossaka rysować przestawały”². Tak też stało się z Zofią Kossak, która po próbach studiów malarskich poświęciła się już całkowicie pisarskiej pracy.

W rewolucyjnym roku 1905 ojciec Zofii Tadeusz zaangażował się w życie publiczne. Należał do Narodowej Demokracji, ale miał też kolegów z Polskiej Partii Socjalistycznej. Organizował w okolicach patriotyczne manifestacje, pochody i spotkania polityczne. „Kręciliśmy się po Lubelskiem – wspominał później – urządzając wiece i mówiąc do zebranych o tym, co program narodowy polecał. Wiece te nasze natykały się nieraz w tym samym miasteczku lub gminie na wiece PPS, na których głoszono wprost przeciwne rzeczy, kolizje bywały częste i ostre, a skutek wieców wobec tego, że jedni mówili »biało«, a drudzy »czerwono«, bardzo problematyczny. Jednym słowem działo się w tym »Przedwiośniu« to samo co w następnej »Wiośnie« i trwającym obecnie »Lecie«”³.

² *Ibidem*, s. 17–18.

³ *Ibidem*, s. 22–23.



Zofia Kossak-Szczucka, wojenny pseudonim konspiracyjny „Weronika”. Fot. AIPN

Gdy Tadeusz Kossak odkrył, że wójt i naczelnik powiatu dopuszczają się korupcji, zawyżając podatki, zwołał zebranie gminne, by zapobiec oszustwu. Po ujawnieniu sprawy został jednak aresztowany przez władze rosyjskie na początku 1906 r. i osadzony w więzieniu w Dęblinie. Przesiedział tam kilka miesięcy, dopóki żona nie wystarała się o jego zwolnienie za wysoką kaucją. W procesie sądowym, który mu wytoczono w Lublinie, bronił się sam na tyle przekonująco, że został niewinny. Kossakowie zdecydowali się sprzedać zadłużony majątek, ponieważ – mimo pomocy finansowej Wojciecha – trudno go było utrzymywać, i w 1910 r. przenieśli się na Wołyń. Zamieszkali w wydzierżawionym od Józefa Potockiego majątku Skowródki w Antoninach.

Nowa Ojczyzna na Kresach

Po dwudziestu latach spędzonych w Kośminie młoda Zofia Kossak przeniosła się na dalekie Kresy. W latach 1912–1913 za namową rodziny próbowała jeszcze studiów malarskich w Warszawie i w Szwajcarii, dokąd wyjechała z koleżanką Hanną Kossecką z Wołynia. Wtedy jednak ostatecznie uznała, że jej „rozdrobiony” talent malarski będzie tylko „epigoniczny”, nie rokuje zatem większych nadziei; nie odpowiadał jej ponadto styl życia artystycznej cyganerii. W Genewie spotkała za to ciekawe środowisko intelektualne i pogłębiła swoje przekonania religijne. „Dotychczas – zapisała – mój stosunek do wiary był czysto uczuciowy, jak to zresztą bywa często i dzisiaj u wielu ludzi. [...] Wtedy po raz pierwszy owionął mnie wielki dech chrześcijaństwa rzeczywistego. Zobaczyłam, że wiara to nie tylko majowe nabożeństwa lub »złota legenda«, ale najdoskonalszy system filozoficzny, jaki kiedykolwiek wydał świat. Że nie tylko zapewnia zbawienie duszy,

ale jest potężną siłą żywotną, siłą realną, zdolną przeobrazić świat w królestwo Boże⁴. Po powrocie do kraju nie zarzuciła całkiem myśli o dalszych studiach w Szwajcarii. W następnym roku wybuchła jednak Wielka Wojna i pokrzyżowała wszystkie plany.

Posiadłość Potockich na Wołyniu, której małą część dzierżawili rodzice Zofii, była ogromną ordynacją składającą się z dziesiątków folwarków z okazałą rezydencją – główną siedzibą – w Antoninach. „Skowródki – wspominała Zofia Kossak na pierwszych stronach swej *Pożogi* majątek, który objęli jej rodzice. – Ta ostatnia wieś, ogromna, zewnątrz biorąc piękna jak marzenie, miała w okolicy złą sławę jako rojowisko koniokradów i zbiegów z katorgi. Kilka rodzin cnotliwych i uczciwych sztundystów ginęło w zalewie, daremnie próbując ratować opinię. W Skowródkach, w cienistym dworze położonym na spadku wysokiego wzgórza, mieszkali moi rodzice, trzymając wówczas w dzierżawie parę nowosielickich folwarków⁵. Tam przebiegało spokojne życie młodej Zofii Kossak, którego, jak się zdawało, nic nie mogło zakłócić. Wypełniały je domowe i gospodarskie zajęcia, a także pierwsze próby literackie, szkice i obrazki z życia okolicznych majątków, portrety ludzi kresowych. Utwory te zamieszczała w lokalnych czasopismach „Wieś i Dwór”, „Wieś Ilustrowana”.

W 1915 r. wyszła za mąż za Stefana Szczuckiego, syna lekarza i dyrektora szpitala w pobliskiej Nowosielicy, należącej również do dóbr Józefa Potockiego. Nowożeńcy zamieszkali w niewielkim domu niedaleko okazałego pałacu w Nowosielicy. Opis tego niedługiego, jak się okazało, szczęścia pozostawiła autorka na pierwszych stronach *Pożogi*: „Dom, w którym ubiegły najpiękniejsze nasze lata, tak żywo stoi mi zawsze przed oczyma, że nie potrzebuję przymykać ich, aby go przed sobą widzieć jak na jawie. [...] Wokoło domu spoczywała cisza, błogość i zaufanie zupełne do świata. Żadne okiennice nie broniły niskich okien, zamkniętych na zwykłą zaszczepkę. [...] (Po latach walki tak dziwno wspominać ten spokój i bezpieczeństwo... Czy kiedy ono powróci?) Jeżeli jednak wewnątrz naszego domostwa bogi umiarkowania i skromności obrały sobie przybytek – to wokoło sta-

⁴ Cyt. za: J. Jurgała-Jureczka, *Dzieło jej życia. Opowieść o Zofii Kossak*, Częstochowa 2007, s. 29–30.

⁵ Z. Kossak, *Pożoga*, Warszawa 1996, s. 11–12. Sztundyści, o których wspomina autorka, to sekta prawosławna, nieuznająca władzy Cerkwi.

» Zofia Kossak była uczestnikiem i świadkiem – nieraz bezpośrednim – wielu tragicznych wydarzeń ogarniających Wołyń i pobliskie Podole. Jej *Pożoga* stała się kroniką zagłady polskich Kresów. »

re drzewa rozpanoszyły się tak królewskim przepychem, że dech się traciło od barw, szelestów i woni. Byliśmy zgubieni, my i nasz maluteńki domek, wśród

olbrzymiego, trzysta morgów liczącego parku, jednego z najpiękniejszych, jakie w kraju spotkać było można. [...] Żyliśmy w jego głębi, niby na dnie stawu, w otchłani zielonej i swobodnie dumnej, otoczeni Piękmem zewsząd⁶.

To taka sielanka miała wkrótce bezpowrotnie przeminąć. Młode małżeństwo zdążyło jeszcze doczekać się dwóch synów, gdy nadszedł burzliwy rok 1917. „Na nieszczęśliwej ziemi wołyńskiej – pisał we wstępie do wydania *Pożogi* z 1922 r. Stanisław Estreicher – przewalały się wojska rosyjskie, niemieckie i austriackie, pułki bolszewickie, watahy Petlurowców, oddziały galicyjskich biczoowników i bandy zrewolucjonizowanego chłopstwa. W odległym od wydarzeń europejskich zakątku, w szczelnie odciętej od powstającego właśnie państwa polskiego ziemi, działy się rzeczy wielkie, o całej przyszłości tego kraju na długie czasy decydujące. Padał w gruzy dawny porządek, oparty na rządach dynastii carskiej, ale zarazem starano się także doszczętnie zburzyć wszelkie ślady dominującej tam kulturalnie polskość⁷”.

Już wiosną 1917 r. Zofia Kossak zobaczyła pierwsze niepokoje w miasteczku Starokonstantynów, gdy obalono cara i obwieszczono republikę. „Zabloconą i niechlujną ulicą Starego Konstantynowa przeciągnął pierwszy »pochód wolnościowy«. Składał się on z kilkunastu uczniów i kilkudziesięciu Żydów i Żydówek. Na czele, pod sporządzonym »ad hoc« z czerwonej pierzyny sztandarem, biegł z płomieniami w oczach sędzia miejscowy, suchy, drobny staruszek, wieczny marzyciel i lewicowiec, latami prześladowany przez rząd carski, ten sam rząd, którego pogrzeb w owym dniu się święcił. Pochód bohatersko brnął przez grząskie błoto, śpiewając fałszywie i jeszcze niewprawnie: »Podnieś się, ludu roboczy«⁸”.

⁶ *Ibidem*, s. 9–10.

⁷ *Ibidem*, s. 5.

⁸ *Ibidem*, s. 19.



Dwór Kossaków w Kośminie. Fot. Beata Osowiec/polskiezabytki.pl

Pierwsze napady dezertersów z rosyjskiego wojska na okoliczne dwory nastąpiły latem 1917 r. Za bandami żołnierzy ruszyli ukraińscy chłopci. Małżeństwo Kossaków zostało okradzione z wszelkich kosztowności i pamiątek przez zbiegłego oficera rosyjskiego, którego lekkomyślnie przenocowano. Ale to jeszcze nie najgorsze, jak zaznaczała autorka. W sytuacji coraz większego zagrożenia rodzina przeniosła się do pałacu w Nowosielicy, który był lepiej zabezpieczony, wezwano też oddział kozaków do ochrony. Nie była to jednak wcale pewna kryjówka. Nastąpiły bunty w wojsku, żołnierze wypowiedzieli posłuszeństwo dowódcom, zbuntowani rozpoczęli rabunki, poszukując głównie wódki. Najpierw ich ofiarą padły łatwiej dostępne okoliczne dwory. Żołnierze wyciągali zapasy z piwnic, później rabowali już cały dobytek chłopci, niszcząc i paląc to, czego nie mogli zabrać. Tak to opisywała Zofia Kossak: „Rozpoczął się pogrom dworu. Najpiękniejsze meble i kryształowe świeczniki rzucono z piętra przez okna, zerwano część dachu, powyrywano drzwi z zawias, w drzazgi poszły wszystkie ramy okienne, w proch śliczne, turkusowe i złote empirowe stiuki, a okrzyki wesela i triumfu słychać było aż w naszym parku”⁹.

⁹ *Ibidem*, s. 34.

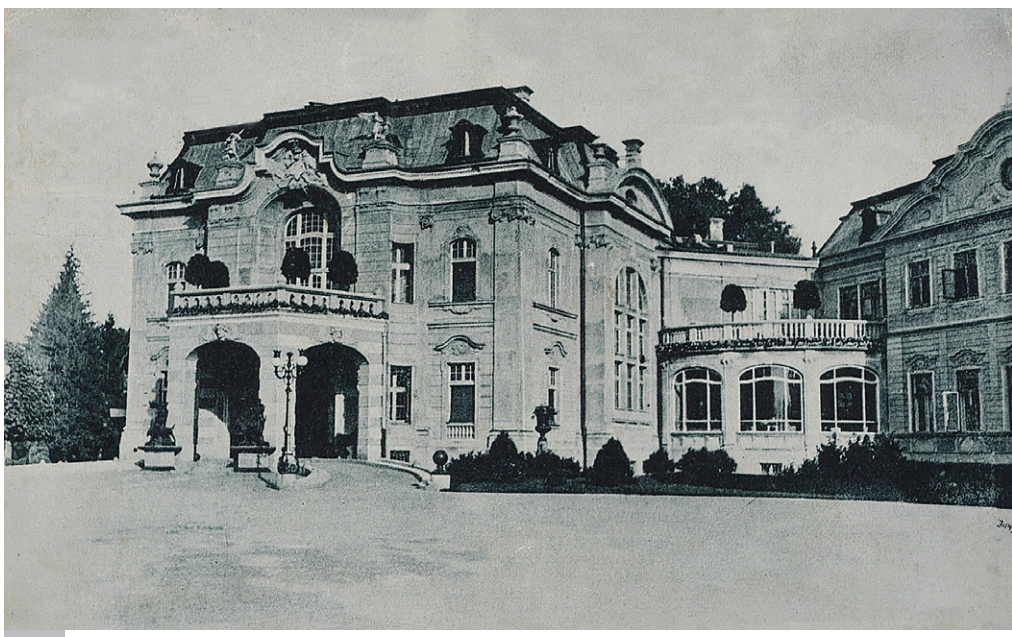
Zagłada Kresów

W pałacu w Nowosielicy stacjonowały na zmianę oddziały kozackie, ukraińskie, a nawet rosyjska Dywizja Zabajkalska, składająca się w dużej części z Mongołów. Dookoła trwały pogromy siedzib polskich, rabunek mienia i zwierząt gospodarskich, wycinanie sadów i parków, nieustanne pochody różnych wojsk – jedne broniły dworów i pałaców, a drugie je rabowały, zostawiając resztę na pastwę rozzuchwalonego chłopstwa ukraińskiego, podburzanego przez komisarzy i agitatorów bolszewickich: „Życie mściło się ze straszną swoją logiką, podczas gdy nieuchronnie i nieubłagane dwór za dworem, folwark za folwarkiem padały w zgliszcza i gruzy”¹⁰. Zofia Kossak była uczestnikiem i świadkiem – nieraz bezpośrednim – wielu krwawych wydarzeń ogarniających Wołyń. Odtąd jej *Pożoga* stawała się kroniką zagłady polskich Kresów: „Runęły zburzone Samczyńce, Beregiele, cudna Eliaszówka z pałacem włoskim tak pięknym, że zdawał się być zjawą; [...] Semerynki, stare ponure muzeum, pełne nieoszacowanej wartości zabytków, drzemiące cicho wśród olbrzymich świerków. Werborodyńce, otoczone niewidzianej piękności dębami; Derkacze o starym parku w stylu XVIII wieku, pełnym »altan westchnień«, kamieni pamiątkowych, posagów, sztucznych ruin i mostów zwodzonych; Wyższa Pohoryła, niegdyś bogata rezydencja Czetyrtyńskich, Ładyhy, rodowa własność Szaszkiewiczów, Werchniaki, Małaszycha, Swinna, Dmitrówka, Łahodyńce – że wymieniam tylko najbliższej od nas leżące”¹¹.

„Na bliskim Podolu – wspominała dalej autorka – były już w tym czasie jeno pogorzeliska. Na ogromnym szmacie kraju, gęsto przedtem usianym dworami, o wysokiej rolniczo gospodarskiej kulturze, nie ostał[y] się ani jeden folwark, ani jeden dom mieszkalny, ani jedno gospodarstwo. Spalono prześliczną Korytnę Kosseckich, drogą mi jak dom rodzinny, a pełną pamiątek i skarbów, jak stara szkatułka zapachu. Zniszczono – rywalizujące z nią co do bogactwa i cenności zbiorów – Skazińce, niebywale piękne Malinicze, Bujwołowce, Knyszyńce. Rozgrabiono doszczętnie, tak że ślad nie został, Skibniewo, Andrejkowce, Rajkowce, Ohremowce i szereg niezliczony innych. Właściciela Ohremowiec, Stanisława Skibniewskiego, nieustraszonego myśliwca-wilczarza, zamordowa-

¹⁰ *Ibidem*, s. 42.

¹¹ *Ibidem*.



Pałac Potockich w Antoninach na Ukrainie, 1914 r.; zniszczony przez bolszewików w 1919 r. Fot. Wikimedia Commons

no i ciało spalono, rozrzucając popiół w cztery strony świata. Niektóre dwory z budynkami rozbierano do ostatniej cegły, wycinano ogród w pień i miejsce po folwarku zaorywano, aby właściciel nie miał dokąd wrócić i nie mógł rozpoznać miejsca, w którym się urodził. Gdzieś tam zostawiano jeden główny komin, jako ślad jedynego byłego majątku, sterczący ku niebu niby żywa skarga. W przeważającej liczbie wypadków na miejscu pogromu zostawały opłakane szkielety budynków, bez dachówek i belek, z wydartymi futrynami, podobne do żałosnych, osmalonych trupów¹².

Zagłada nie ominęła przedstawicieli najwybitniejszych rodów. W listopadzie 1917 r. w Sławucie zamordowano starego księcia Romana Sanguszkę. Jego legendarny przodek, również Roman, był tym syberyjskim zesłańcem po Powstaniu Listopadowym, którego car osobiście skazał na pieszą katorgę w kajdanach razem z kryminalistami. Przeżył Sybir i schorowany wrócił do kraju. Jego potomek, ordynat na Sławucie, nie przeżył rewolucyjnego pogromu. „Powszechnym szacunkiem i czią otoczony, dostojny w swej bezbronności – opisywała Zofia Kossak jego tragiczny kres – zamordowany bez powodu przez tysięczny tłum, który go

¹² *Ibidem*, s. 42–43.

przedtem na oczy nie widział, stanowił symbol nie tylko jako jednostka, ale jako cała sfera, której tak doskonałym był przedstawicielem. Potężny zamek, urągający wiekom, obrócony w perzynę i popiół; mnóstwo bezcennych pamiątek narodowych polskich puszczonej z dymem i straconych bezpowrotnie; straszliwa bezkarność całego wypadku i obojętność, z jaką »władze« przeszły nad nim do porządku dziennego, wszystko to składało się, aby utworzyć z powszedniego w swej treści dramatu groźną zapowiedź przyszłości”¹³.

Wielką nadzieją dla polskich mieszkańców stał się oddział Feliksa Jaworskiego, wydzielony z wojska rosyjskiego i występujący już jako oddział partyzancki. Jego część zajęła pałac w Nowosielscy. Zofia Kossak wyprawiła dzieci do Antonin i sprowadziła stamtąd większe posiłki do pałacu. Omal nie nastąpił wtedy moment krytyczny, podburzony tłum chłopski chciał bowiem porwać męża Zofii Kossak i postawić przed rewolucyjnym trybunałem w najbliższym mieście. Załoga pałacu była przygotowana do obrony, ale do tłumy nie pozwolił strzelać Stefan Szczuczki. Przewieziono go do miasta, ale chłopcy po drodze wdali się w walkę z innymi rabusiami i niepiłnowanego męża żona mogła odbić w Starokonstantynowie.

Sytuacja stawała się jednak coraz bardziej niebezpieczna. Rodzice Zofii Kossak ledwie uszli z życiem z pogromu ich dworu w Skowródkach, który został doszczętnie zrabowany i zniszczony. Był to szczególnie bolesny cios dla autorki *Pożogi*. Tadeusz Kossak z żoną uciekli tylnym wyjściem, gdy tłum wdzierał się do domu: „Za nimi podpalono dom. Odjeżdżając, widzieli zagładę całego mienia, pamiątek, wieloletniej pracy, wszystkiego. Z dużego folwarku pozostały mury. [...] krowy, cielęta, świnie bito na środku dziedzińca. Wyłamano drzwi kute do kaplicy, stojącej w zadumanyj o tych strasznych rzeczach parku, nie oszczędzono świętego jej wnętrza. Ręce, między którymi były i katolickie, polskie, wywlokły ubożuchny dobytek kapliczki, ornaty, komże, kielichy. [...] Tego dnia śmierdzące buty żołnierzy i chłopów przeszły boleśnie i po moim sercu, depcąc wszystko, co wiązało drogą nitkę wspomnień między mną a odległym dniem mego dzieciństwa. Porąbano w kawałki stare, gdańskie, ciężkie meble, wśród których wzrosłam, których niezliczone kanty były wygładzone dziecinnymi rękami moich braci i moimi. Pijany żołdat wylegiwał się w łóżku mojej matki; brudne dzieci wśród chichotów darły

¹³ *Ibidem*, s. 50.



Grabież majątku ziemskiego – obraz Iwana Władimirowa, 1919 r. Fot. domena publiczna

wyblakłe dagerotypy, dawne listy i mnóstwo innych pamiątek niezmiernie bliskich i drogich. Wielkie szafy, niegdyś źródło nienasyconej ciekawości, niezliczone drobiazgi, z których każdy miał historię, piękne i dobierane książki w ogromnej ilości – wszystko to zostało gorzej niż spalone, bo sponiewierane i sprofanowane”¹⁴.

Dopóki w Nowosielicy mieli obronę żołnierzy Jaworskiego, mogli się czuć w miarę bezpiecznie. Gdy jednak ci musieli połączyć się ze swym oddziałem w Antoninach, Szczuccy zdecydowali się opuścić pałac i odjechać razem z nimi. Zabrali ze sobą wszystko, co mogli wywieźć na wozach, a także całe duże stado koni, ku wielkiej złości chłopstwa obserwującego ten wyjazd. Wiedzieli, że pałac zostanie splądrowany. W Antoninach spotkali rodziców Zofii i pozostawione tam wcześniej dzieci. Tadeusz Kossak, mimo podeszłego wieku, zdecydował się wstąpić do polskiego wojska.

¹⁴ *Ibidem*, s. 64.



Zofia Kassak, 1933 r. Fot. Wikimedia Commons

W okolicy działały nie tylko oddziały polskie (nieliczne zresztą), lecz także ukraińskie, niemieckie i coraz większe bolszewickie. Toczyły się regularne bitwy o Antoniny i miasteczko Starokonstantynów, a też o poszczególne wsie i osady. Na początku 1918 r. tereny te zajęły ostatecznie wojska niemieckie i oddziały polskie; połączywszy się z armią gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, idącą z Rosji, miały jednak odejść do kraju. Oznaczało to duże osłabienie polskiej obrony tych ziem, choć okupacja niemiecka uspokoiła na jakiś czas rewolucyjną sytuację. Dla polskiej ludności pojawiła się pewna nadzieja, wydawało się nawet, że wszystko powróci do stanu poprzedniego. Latem 1918 r. państwo Szczuczcy postanowili wrócić do Nowosielicy. Zastali pałac całkowicie zrujnowany i rozgrabiony. Przystąpili do żmudnej odbudowy, zaczęli na nowo gospodarować. Jednakże jesienią tegoż roku znów nastąpiły pogromy, nowa fala bezwzględnej rewolucji, odbywająca się już pod hasłem „mordować polskich panów”. Wojsko niemieckie nie interweniowało. Małżeństwo Szczuckich się rozdzieliło: Stefan wstąpił do woj-

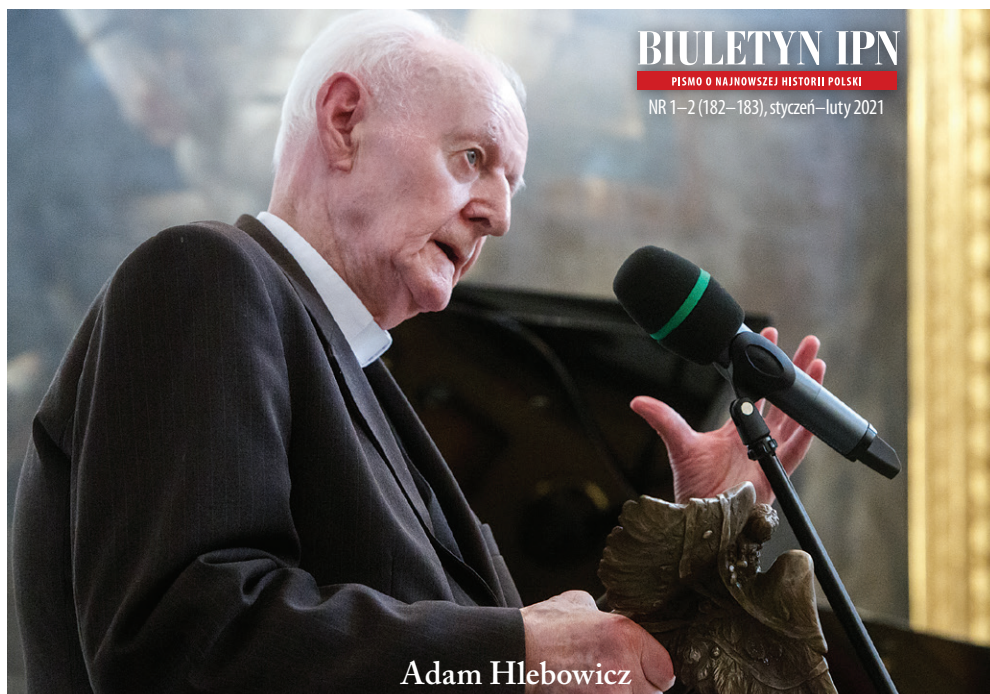
ska gen. Dowbora-Muśnickiego, a Zofia z dziećmi – które przeszły w tym czasie tyfus i gripę hiszpankę – przeniosła się do Starokonstantynowa i tam przeżyła parę miesięcy pod zmieniającą się okupacją bolszewicką i ukraińską. Musiała zmienić wygląd i ubiór, by nie zostać rozpoznana. Udawała prostą szwaczkę, żeby nie rzucać się w oczy, co jednak omal się nie wydało, gdy bolszewicy zajmujący dom kazali jej uszyć przez noc ubranie ze zrabowanego materiału. Z pomocą znajomej, z którą mieszkała, udało się jej wywiązać z zadania.

Wypędzenie z Kresów

Myślała jednak o ucieczce. Gdy dostała wiadomość od męża, który stacjonował niedaleko granicy w Ostrogu, postanowiła za wszelką cenę się tam przedostać. W chłopskim przebraniu z dziećmi i znajomą na wynajętym z trudem wozie nocą przez lasy i bolszewickie stráže wydostała się z Kresów, do których – jak się okazało – nie dane już było jej powrócić. Po wielu miesiącach rozłąki spotkała się z mężem w Ostrogu. Postanowili szukać nowego miejsca do życia, w którym mogliby się na nowo zadomowić. Niestety, wkrótce po wojnie Stefan Szczucki nagle zmarł. Zofia znalazła w końcu swe miejsce na Śląsku Cieszyńskim w majątku Górki Wielkie k. Strzyżowa, najpierw dzierżawionym, a później wykupionym. Tam na nowo wrosła w okolicę, która przypominała jej Kresy; zakorzeniała się na dobre w miejscu znów pogranicznym, uznała Śląsk z jego różnorodnością i jego mieszkańców za tę nową Polskę. Tam też została pisarką. Tam w dwudziestoleciu międzywojennym powstawały jej główne powieści i szkice historyczne, utwory o tematyce religijnej, książki dla młodzieży, publicystyka o dziejach nowej śląskiej ojczyzny i losach Polski: *Krzyżowcy*, *Błogosławiona wino*, *Szaleńcy Boży*, *Bez oręża*, *Na Śląsku* i wiele innych tytułów.



Marek Klecel (ur. 1945) – filolog, dr, publicysta. Redaktor antologii *Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts. Eine Anthologie* (1995). Autor rozprawy doktorskiej *Pisarstwo Stanisława Vincenza (1888–1971)* (2004, niepubl.).



Ks. prof. Roman Dzwonkowski, laureat nagrody Semper Fidelis, 22 października 2019 r.
Fot. Sławomir Kasper/IPN

Na samotnej widecie

Wspomnienie o ks. prof. Romanie Dzwonkowskim SAC (1930–2020)

Był wielki siłą uporu w docieraniu do dziejów Kościoła katolickiego na Wschodzie w czasach, gdy tematyką tą nie zajmował się prawie nikt. Stworzył pierwsze monumentalne dzieła o męczeństwie ludzi wiary i przywrócił pamięć setkom ofiar bolszewickiego reżimu.

W czasach mojego dzieciństwa powszechnie czytało się *Opowiadania miesięczne* Edmonda de Amicisa, zazwyczaj publikowane w zbiorze pod tytułem *Serce*, a spośród nich – jedną z bardziej popularnych powiastek *Mała wideta lombardzka*. To przejmująca historia małego włoskiego chłopca, który – aby pomóc swoim wojskom – wdrapał się na drzewo, z którego przekazywał informacje o ruchach austriackich oddziałów. Los chłopca był tragiczny, opowiadanie poruszało najczulsze, najbardziej wrażliwe struny dziecięcej wyobraźni, a jednak w pamięci po-

zostało słowo tajemnicze i dzisiaj zapomniane – wideta. Miejsce nie dla wszystkich dostępne, skąd świat widać z innej perspektywy, a horyzont się poszerza.

Są ludzie, którzy nie wspinając się na drzewo, widzą więcej i dalej. Do takich osób należał zmarły pod koniec 2020 r. ks. prof. Roman Dzwonkowski, pallotyn.

Tajemniczy „Mirski”, „Lida” i „Tynna”

Zanim się poznaliśmy na początku lat pięćdziesiątych XX w., przeczytałem większość jego tekstów poświęconych dziejom najnowszym katolików w ZSRS – a może wszystkie. Nie wiedziałem jednak, że to Roman Dzwonkowski był ich autorem. Dlaczego? Bo nie były podpisane jego nazwiskiem, lecz pseudonimami: „Józef Mirski”, „Paweł Lida”, „Paweł Tynna”. Czytałem je wszystkie w czasie kilkumiesięcznego pobytu w Londynie w latach 1988–1990, na przełomie dawnej epoki i nadchodzącej niepodległości. Zbierałem m.in. w archiwach i bibliotekach londyńskich materiały do moich późniejszych opracowań na temat sytuacji Kościoła katolickiego w ZSRS po II wojnie światowej. Wtedy był to nadal owoc zakazany, cenzura komunistyczna wycinała wszelkie wzmianki o tamtejszych katolikach, a nade wszystko o cierpieniach i prześladowaniach, jakie ci ludzie przeżyli. W czasie kwerendy natrafiałem na ciekawe teksty w paryskiej „Kulturze” i „Zeszytach Historycznych”, w polskiej prasie emigracyjnej ukazującej się w Kanadzie oraz w USA – teksty wnikliwe, dobrze oddające realia życia Polaków i katolików w Sowietach, podpisane właśnie – „Mirski”, „Lida”, „Tynna”. Te nazwiska prowadziły myśli za Bug, za sowiecki kordon, do zamku w Mirze, do ludzkich kościołów i na tamtejsze cmentarze, do sanktuarium maryjnego w Tynnie na Podolu.

Głos z głębi katakumb

Kiedy niewiele później zacząłem redagować w tygodniku katolickim „Ład” dwie rubryki: „Katolikom na Wschodzie” i „Polakom na Wschodzie”, odezwał się do mnie i do redakcji autor, ks. prof. Roman Dzwonkowski. Choć nie historyk, lecz socjolog z wykształcenia, to jego artykuły poświęcone tematom wschodnim były rzeczowe i uderzały głęboką wiedzą o tamtych ziemiach i ludziach. Nade wszystko zaś mówiły o sprawach, które – jak się wtedy wydawało – niespecjalnie interesowały rządzących Polską: o odradzaniu się polskości na Wschodzie, o niezwykłej determinacji katolików w odzyskiwaniu i odbudowie swoich świątyń, o młodzieży garnącej się do Boga.

Kiedy się bliżej poznaliśmy, obaj byliśmy zdziwieni, że nasze losy skrzyżowały się dopiero przez Warszawę, a nie Lublin, gdzie profesor pracował od kilkunastu lat, ja zaś studiowałem historię na KUL.

Niebawem wyjaśniła się sprawa autorstwa ciekawych artykułów w prasie emigracyjnej. Intrygowało mnie, dlaczego znaczna część tych ważnych prekursorskich tekstów ukazała się w mediach wydawanych przez Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte. Redaktor „Kultury” z dużym dystansem patrzył na obecność polską na Wschodzie, choć sam przecież urodził się w Mińsku, wtedy jeszcze Litewskim. Z pewną rezerwą odnosił się także do tematyki kościelnej. Okazało się, że ks. Dzwonkowski, który początkowo prowadził badania socjologiczne Polonii francuskiej, często bywał w Paryżu i tam przez swojego współbrata ks. Józefa Sadzika SAC, szefa Centre du Dialogue, trafił na łamy Giedroyciowych czasopism. Ksiądz Sazdik zasugerował mu, że najlepszym miejscem publikacji jego opracowań byłoby Maisons-Laffitte. Trzeba przyznać zasłużonemu redaktorowi „Kultury”, że miał dobre wyczucie, gdy chodzi o dobór autorów i tekstów, nawet gdy ich treści niezupełnie zgadzały się z jego poglądami.

Inaugurujący współpracę tekst ks. Romana Dzwonkowskiego, podpisany „Józef Mirski”, ukazał się w „Kulturze” w 1973 r. Było to pokłosie pierwszej wizyty pallotyńska w ZSRS w 1970 r. i kolejnych odwiedzin w różnych zakątkach imperium sowieckiego w następnych latach. Ksiądz Dzwonkowski pisał jakby reportaże z tych wypraw, często wymieniając nazwy miejscowości i niektóre nazwiska. Na owe czasy była to rewelacja – głos z głębi katakumb, wołający o prawdę, sprawiedliwość, niewahający się piętnować postaw nacjonalistycznych, np. części litewskiego kleru. KUL-owski profesor spierał się m.in. z przełożonym marianów na Litwie ks. Václavem Aliulisem MIC o głoszenie półprawd, o brak wystarczającej opieki nad polskimi wiernymi, o prymat hasel narodowych nad katolickimi.

Pomniki piórem tworzone

W latach dziewięćdziesiątych XX w. stał się ks. Dzwonkowski głównym badaczem dziejów Kościoła katolickiego w ZSRS – zarówno wśród uczonych w Polsce, jak i na świecie. Napisał kilka podstawowych opracowań dotyczących dziejów Kościoła i jego ludzi, stworzył kalendarium najważniejszych wydarzeń minionej epoki, wreszcie oddał hołd setkom zamordowanych i prześladowanych duchownych, publikując *Martyro-*



Ks. prof. Roman Dzwonkowski na spotkaniu w Kamyszynce, polskim osiedlu w Kazachstanie.
Fot. ze zbiorów ks. Romana Dzwonkowskiego

*logium*¹ im poświęcone. W wielu przypadkach są to jedyne pomniki-wspomnienia osób, które oddały życie za Chrystusa.

Nie zapomniał profesor też o pisaniu bardziej popularnym, świadom, że tylko taka twórczość może trafić do szerszego grona czytelników i otworzyć im oczy na to, co naprawdę działo się i dzieje „za wschodnią granicą” – jak brzmi tytuł obszernego wywiadu-rzeki, którego udzielił współbratu zakonnemu ks. Janowi Pałydze SAC². Książka miała dwa wydania, w 1993 i 1995 r., mam oba, opatrzone dedykacjami autora, jak zwykle ciepłymi i nawiązującymi do naszej bliskiej współpracy. To z tej publikacji dowiedziałem się, co zaprowadziło czterdziestoletniego wówczas księdza,

¹ R. Dzwonkowski, *Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917–1939. Martyrologium*, Lublin 1998; także: *idem, Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939–1988*, Lublin 2003.

² *Za wschodnią granicą 1917–1993: o Polakach i Kościele w dawnym ZSRR z Romanem Dzwonkowskim rozmawia Jan Pałyga*, Warszawa 1993, 1995.

rodem z powiatu ostrołęckiego, nad Dźwinę, Niemen, Dniepr i Dniestr. Po pierwsze, wychowanie patriotyczne w domu. Z lektur dzieciństwa zapamiętał młody Roman strofy wiersza *Co ci polski żołnierz dał*:

„To, że możesz dzisiaj śmiało,
Jestem wolny Polak – rzec,
I za dawną polską chwałą,
W nową chwałę możesz biec”.

Po wtóre zaś, seminarium pallotyńskie w Ołtarzewie i jeden z wykładowców, ks. Donat Nowicki – profesor z niezwykłym życiorysem, który uczył kleryków języka rosyjskiego. Kapłan obrządku wschodniego, żonaty, wyświęcony na księdza w łagrze na Wyspach Sołowieckich, cudem uratowany dzięki wymianie więźniów politycznych z Polską, znalazł się w Rzeczypospolitej w 1932 r. Był proboszczem w Torokaniu na Polesiu, a po wojnie wykładowcą we wspomnianym seminarium. Taki oto wykładowca potrafił zaszczerpić klerykom jeszcze w latach pięćdziesiątych XX w. zainteresowanie Wschodem, tamtejszymi ludźmi, ich cierpieniami i martyrologią na miarę chrześcijan pierwszych wieków.

Zabawna była historia z językiem rosyjskim ks. Dzwonkowskiego. Myślę, że nie był złym uczniem ks. Nowickiego, jednak często powtarzał, że nie zna mowy Puszkina i Dostojewskiego. Myślę, że kryła się za tą deklaracją pewna myśl: profesor sprawdzał w ten sposób, ile języka polskiego i polskiej kultury przetrwało u jego licznych wschodnich rozmówców. I zazwyczaj skutkowało to wydobytymi z zakamarków pamięci zwrotami, niekiedy odnowioną modlitwą, pieśnią kościelną, przywróconym fragmentem dzieła literackiego.

Ostatni list

W czasach niepodległej Litwy, Łotwy, Białorusi, Ukrainy oraz postsowieckiej Rosji ks. Dzwonkowski nadal, już otwarcie, przyjeżdżał do tamtejszych środowisk katolickich i polskich. Wykładał w seminarium duchownym w Gródku Podolskim. Uczestniczył w niezliczonych sympozjach i konferencjach naukowych. Starał się przypominać miejscowym biskupom o prawach mniejszości polskiej do nabożeństw i nauczania dzieci religii w ojczystym języku. W wielu przypadkach miał krytyczne zdanie na temat polityki wschodniej Watykanu. Ze znanostwem przypominał błędy popełnione przez dyplomację watykańską w okresie międzywojennym, przede wszystkim

nieudaną misję bp. Michela d’Herbigny’ego z 1926 r. Ale też postulat jak największego separowania Polaków od tematyki wschodniej w Kościele. Twierdził, i miał na to wiele przekonujących dowodów, że żaden Włoch – nawet najbardziej wykształcony w tym zakresie – nie zrozumie Rosji, bolszewizmu, mentalności totalitarnej lepiej niż Polak, który dysponuje własnym doświadczeniem.

Choć często wyjeżdżał za Kuźnicę i Bug, a ja także czyniłem to regularnie po 1989 r., to nigdy się na Wschodzie nie spotkaliśmy. Za to w kraju – wielokrotnie. Obaj byliśmy przez wiele lat zaangażowani w prace Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, razem odbyliśmy kilka kadencji jako członkowie jego Rady Krajowej i zawsze była okazja do spotkania, wymiany myśli czy naszych najnowszych publikacji. W ostatnich miesiącach wielokrotnie słał mi maile. Książkę profesor napisał bardzo dobrą recenzję pierwszego tomu publikacji *Zostali na Wschodzie. Słownik inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991*, którą niebawem wyda IPN pod moją redakcją naukową. Ostatni raz korespondowaliśmy 15 grudnia 2020 r., wspominając przedwcześnie zmarłego, niezwykle zasłużonego dla odrodzenia wiary katolickiej w Królewcu i obwodzie kaliningradzkim ks. Jerzego Steckiewicza.

Sam po kres

Na swojej dobrze ulokowanej widoczności, którą zbudowały lata doświadczeń, badanie tematu bezpośrednio u źródła oraz profesjonalizm naukowca, ks. Dzwonkowski był zazwyczaj samotny. Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. podejmowano próby zorganizowania zespołu badawczego, powołania katedry naukowej, zebrania grona współpracowników, żeby w sposób systematyczny, kompleksowy badać dzieje katolików, a zarazem Polaków, choć nie tylko ich, w tragicznych latach istnienia Związku Sowieckiego. Nic z tych planów nie wyszło. Nie było ani zainteresowania, ani środków, choć bardzo poważnie przygotowywaliśmy się do takich rozwiązań. A zatem sam jeździł, sam gromadził materiały, prowadził rozmowy, opłacał kwerendy w postsowieckich archiwach. A potem publikował w dostępnych mu językach i wydawnictwach. Reprezentował sobą nieistniejący już typ polihistora, a jego samotne dzieło można porównać do wieloletniej, żmudnej i wytrwałej pracy Romana Aftanazego nad dziejami rezydencji kresowych. Skoro brakuje instytucji, ich miejsce zajmują ludzie-instytucje, tacy jak ks. prof. Roman Dzwonkowski. Oby nie ostatni!



ŚP.

Szczepan Siekierka

Prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia
Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów
Zmarł 15 stycznia 2021 r. w wieku 92 lat
Żołnierz Armii Krajowej

Szczepan Siekierka całe swoje życie poświęcił na dokumentowanie i upamiętnianie tragicznych losów Polaków, którzy w czasie niemieckiej i sowieckiej okupacji padli ofiarą OUN i UPA. W 2017 roku Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, którego był prezesem, zostało uhonorowane nagrodą IPN „Kustosz Pamięci Narodowej”. Szczepan Siekierka odbierając nagrodę powiedział: „W minionych latach fałszywie zakładano, że prawda historyczna o ukraińskich zbrodniach miałaby szkodzić polskiej racji stanu. Dzisiejsza nagroda Kustosza dla Stowarzyszenia, jakie reprezentuję, to ukoronowanie naszej wieloletniej pracy”.

Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów to organizacja pozarządowa z siedzibą we Wrocławiu, działająca na rzecz upamiętnienia tragicznego losu Polaków, którzy w latach 1943–1945 padli ofiarami zbrodni ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA. Stowarzyszenie posiada własne archiwum, w którym zgromadziło ponad 20 tys. relacji bezpośrednich świadków ludobójstwa, a także unikalne fotografie. W zakresie dokumentowania zbrodni OUN i UPA Stowarzyszenie od lat współpracuje z Instytutem Pamięci Narodowej. Od 1992 roku wydaje kwartalnik historyczno-publicystyczny „Na Rubieży”. Opublikowało kilka monumentalnych tomów, dokumentujących morderstwa dokonane na Polakach na obszarach należących przed wojną do województw: tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego, a także książkę o zbrodniach na duchowieństwie rzymskokatolickim. Z inicjatywy Stowarzyszenia w 1999 roku wzniesiono we Wrocławiu pomnik Ofiar Zbrodni Ludobójstwa Ludności Polskiej, poświęcony Polakom zamordowanym przez OUN i UPA. Dzięki działaniom Stowarzyszenia udało się także ustalić dziesiątki nazwisk ukraińskich Sprawiedliwych, którzy informowali Polaków o grożącym im niebezpieczeństwie.

PRENUMERATA

gwarancją regularnego otrzymywania „Biuletynu IPN”

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
POSTĘPU 18 02-676 WARSZAWA
7 11 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0
PLN 54 WP

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPŁACIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

PRENUMERATA BIULETYNU IPN
OD NR.3 / 2021 DO NR.12 / 2021

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
POSTĘPU 18 02-676 WARSZAWA
7 11 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0
PLN 54 WP

odcinek dla zleceniodawcy

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPŁACIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

PRENUMERATA BIULETYNU IPN
OD NR.3 / 2021 DO NR.12 / 2021

Zamów „Biuletyn IPN” bezpośrednio do domu!



Koszt prenumeraty 3 do 12/2021 wynosi **54 zł.**
Otrzymają Państwo 9 kolejnych numerów
(w tym osiem po 160 stron i jeden podwójny o objętości 200 stron).

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**

Do każdego numeru dodajemy płytę DVD z filmem lub muzyką.
Zamówienie prenumeraty można składać za pomocą blankietu płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie.
Prosimy o przesłanie informacji o wpłacie
- mailem pod adresem: prenumerata@ipn.gov.pl
- lub pocztą: Księgarnia IPN, ul. Postępu 18, 02-676 Warszawa
Na te adresy można też przysyłać zamówienia z prośbą o podanie możliwych form płatności.
Wszelkie informacje, w tym o prenumeracie zagranicznej, pod numerami: (22) 581-86-78, (22) 581-86-79.
Informacje związane z ochroną danych osobowych: <https://ipn.gov.pl/pl/o-ipn/ochrona-danych-osobowych>



Fot. Piotr Żydowski

Śp. Lidia Lwow-Eberle
(1920–2021)

W następujących numerach:

Operacja „Lawina” – komunistyczny mord żołnierzy NSZ

„Wołyniak” i jego walka o wolną Polskę

W lesie pod Hunowem. Tajemnica zagłady oddziału „Zagłoby”

Obława w Targowiskach i śmierć „Mundka” – zastępcy Żubryda

Badania IPN na terenie praskiego więzienia „Toledo” w Warszawie

Gorzki pokój. Traktat ryski 1921 r.

Polaków rozstrzelać, zagłodzić, wygubić